

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 3/582**

**1996**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

W. J. STANKIEWICZ:

**CZYM JEST POST-TOTALITARYZM**

A. CZERNIAWSKI: **ŻYCIE BEZ POEZJI JEST  
NIEMOŻLIWE...**

A. POSPIESZALSKI: **KOŚCIÓŁ ŻYWY**

A. WOLICKI: **ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ**

## SPIS RZECZY

Bogdan Czaykowski:	<i>Władysław J. Stankiewicz</i> . . . . .	3
Władysław J. Stankiewicz:	<i>Czym jest post-totalitaryzm</i> . . . . .	6
Leszek Szaruga:	<i>Rekonstrukcja rzeczywistości</i> . . . . .	10
Pola Żydkowicz:	<i>O szkole – z troską i nadzieją (I)</i> . . . . .	20
<b>WIERSZE</b>		
Stanisław Dłuski:	<i>Krople miłości</i> . . . . .	37
Wacław Iwaniuk:	<i>Powrót do domu</i> . . . . .	37
Ks. Jan Sochoń:	<i>Sila</i> . . . . .	38
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Stefan Abner:	<i>Balticum</i> . . . . .	39
<b>WYWIADY „KULTURY”</b>		
Piotr Skórzyński:	<i>Rozmowa z prof. Reykowskim</i> . . . . .	43
<b>O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA</b>		
Antoni Pospieszalski:	<i>Kościół żywy</i> . . . . .	50
<b>KRAJ</b>		
Krzysztof Wolicki:	<i>Życie toczy się dalej</i> . . . . .	59
SMECZ:	<i>Z ukosa</i> . . . . .	70
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Ryszard Surmacz:	<i>Kontrakt regionalny dla woj. katowickiego</i> . . . . .	85
Quidnunc:	<i>Wyjaśnienie</i> . . . . .	88
<b>SĄSIEDZI</b>		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i> . . . . .	89
Bohdan Osadczyk:	<i>Między historią a teraźniejszością</i> . . . . .	95
<b>NOTATKI REDAKTORA</b> . . . . .		
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Jan Lebenstein:	<i>„Być sobą”: o Leonor Fini</i> . . . . .	106
Kazimierz Wierzyński:	<i>Rysunek Leonor Fini</i> . . . . .	111
Krzysztof Pomian:	<i>Roman Cieślewicz (1930-1996)</i> . . . . .	112
–	<i>Josif Brodski</i> . . . . .	116
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Adam Czerniawski:	<i>Życie bez poezji jest niemożliwe...</i> . . . . .	118
Ziemowit Fedeci:	<i>Symboliczny krzyż na grobie Dymitra Filozofowa</i> . . . . .	127
George Gömöri:	<i>Konferencja o literaturach emigracyjnych</i> . . . . .	128
–	<i>Nagrody</i> . . . . .	132
–	<i>Polska katedra na Uniwersytecie Jerozolimskim</i> . . . . .	133
–	<i>Uniwersytet Letni Kultury Polskiej w Rzymie</i> . . . . .	135
–	<i>Komunikat o pracach nad Słownikiem Emigracyjnej Kultury</i> . . . . .	136

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176

# KULTURA

**Szkice • Opowiadania • Sprawozdania**

**PARYŻ**      **Marzec/Mars**      **1996**

**INSTYTUT**  **LITERACKI**

## WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Edward Abramowicz, Milwaukee WI (USA) – po raz 4-ty – Dol. 306,00 .....	F. 1530,00
Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) – po raz 6-ty – DM 100,00 .....	F. 335,00
H.M. Arter, Padstow, N.S.W. (Australia) – po raz 2-gi .....	F. 300,00
Ewa Bierezin-Sułkowska, Chicago, IL (USA) – zamiast kwia- tów na grób Jacka Bierezina .....	F. 200,00
Teodor i Fanny Blachut, Ottawa ON (Kanada) – zamiast kwia- tów na trumnę Wandy Samolewicz, zmarłej w Ottawie 1 grudnia 1995 .....	F. 250,00
Wiesław K. Brodowski-Prus, Grzesie Prusy, East Flat Rock, NC (USA) – zamiast bukietów na groby moich ukocha- nych: mego braciszka Grzesia, zabitego w grudniu 1970 przez komunę, Jędrusia Bobkowskiego, człowieka, intelek- tualistę i pisarza oraz wielkiego malarza i uroczego pisarza Józefa Czapskiego – Dol. 84,00 .....	F. 420,00
Zbigniew Brzeziński, Mc Lean VA (USA) – po raz 20-ty – Dol. 250,00 .....	F. 1250,00
Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA) – po raz 23-ci – Dol. 34,00 .....	F. 170,00
Dla uczczenia pamięci Przyjaciół: Karola Wagnera Pień- kowskiego, Romana Palestra i Feliksa Konarskiego (Ref- rena) – Weronika i Jacek Machniewiczowie, Paryż ...	F. 500,00
Stefan Ginilewicz, Bakersfield CA (USA) – po raz 18-ty – Dol. 33,00 .....	F. 300,00
Halina Grodzicka, Buenos Aires – po raz 16-ty – Dol. 100,00	F. 165,00
Jacek Hejnar, St. Hubert, Quebec (Kanada) – po raz 8-my – Dol. can. 60,00 .....	F. 500,00
Maria i Wojciech Hermanowscy, Jamaica NY (USA) – dla uc- czenia pamięci naszego szwagra i brata, Andrzeja Her- manowskiego w 4-tą rocznicę Jego śmierci – Dol. 25,00 .	F. 210,00
Jadwiga Juchniewicz, Lugano (Szwajcaria) – po raz 20-ty .	F. 125,00
Kazimierz Karwowski, Toronto, ON (Kanada) – po raz 4-ty	F. 226,45
Władysław Kossakowski, Cascais (Portugalia) – po raz 9-ty – Dol. 21,00 .....	F. 70,00
Kazimierz Laski, Wiedeń – po raz 24-ty .....	F. 105,00
Jerzy Lipschytz, Göteborg (Szwecja) – po raz 2-gi – k. szw. 150,00 .....	F. 300,00
Leszek Łabno, Nussbaunen (Szwajcaria) – po raz 16-ty ...	F. 110,00
Mila i Emanuel Łopatto, Florencja (Włochy) – zamiast kwia- tów na grób w 7-mą rocznicę śmierci Przyjaciela Witolda Zahorskiego .....	F. 300,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja) – po raz 12-ty ....	F. 100,00
Edward Majchrowicz, Gary NC (USA) – po raz 3-ci – Dol. 10,00 .....	F. 50,00
Józef Masiewicz, Toronto ON (Kanada) – po raz 17-ty ....	F. 100,00
Ilsa Maybach, Heilbronn/N – po raz 32-gi .....	F. 582,00
Witold i Renata Mikułowscy, Yakunde (Camerun) – po raz 16-ty .....	F. 495,00

Dalszy ciąg WPLĄT na str. 175

## Władysław J. Stankiewicz

W 1979 roku ukazała się w *Kulturze* (Nr 9/384) obszerna recenzja Zygmunta Hładkiego z książki *Aspects of Political Theory: Classical Concepts in an Age of Relativism* (1976), w którym autor recenzji charakteryzował książkę Stankiewicza jako „nie tylko krytyczną rewizję podstawowych problemów filozofii politycznej i ich powiązań z dzisiejszą praktyką”, ale również będącą „w swoich filozoficznych pogłębieniach... sięganiem do poznawczych podstaw teorii i wykryciem roli, jaką w kształtowaniu się błędnych orientacji odgrywa relatywizm”. Jeśli nie brać pod uwagę dużo wcześniejszej recenzji niżej podpisanego z antologii Stankiewicza wydanej w 1964 roku pt. *Political Thought Since World War II* („Współczesna myśl polityczna”, *Kultura*, 5/1965), oraz artykułu Zygmunta Stermińskiego o tej książce („Głębsze spojrzenie na politykę”, *Tydzień Polski*, 14 V 1966), był to bodajże jedyny istotniejszy sygnał w czasopiśmie polskich po obu stronach już wówczas nie tak w końcu szelnej granicy, że wśród Polaków na Zachodzie znajduje się filozof polityczny z prawdziwego zdarzenia, którego prace pisane po angielsku torują sobie drogę w dziedzinie bogatej w tym języku w dzieła klasyczne, choć znajdującej się już wówczas w defensywie wobec naporu scjentyście zorientowanych kierunków politologicznych, takich jak behawioryzm. Od czasu ukazania się *Aspects of Political Theory* Stankiewicz ogłosił dwa dalsze tomy swojej trylogii z dziedziny teorii politycznej, a mianowicie *Approaches to Democracy: Philosophy of Government at the Close of the Twentieth Century* (1980) oraz *In Search of Political Philosophy: Ideologies at the Close of the Twentieth Century* (1993). Z wcześniejszych prac Stankiewicza z zakresu teorii politycznej trzeba także

wymienić jego ważną *In Defense of Sovereignty* (1969). Te cztery prace stanowią ambitną i oryginalną próbę przemyślenia od nowa podstawowych, klasycznych pojęć filozofii politycznej w kontekście kierunków ideologicznych i przemian instytucjonalnych, politycznych i społecznych drugiej połowy dwudziestego wieku. Ideologie polityczne i społeczne, takie jak konserwatyzm, liberalizm, socjalizm, komunizm i ideologia demokratyczna zostają w nich skonfrontowane z zasadniczą treścią kluczowych pojęć wolności, równości, suwerenności, prawa naturalnego, praw obywatelskich i politycznych oraz z politycznym zachowaniem się społeczeństw zachodnich, przemianami instytucji państwowych i kultury politycznej i zasadniczo nowym w historii zjawiskiem totalitaryzmu.

Konfrontacja kluczowych pojęć klasycznej filozofii politycznej ze współczesnym ich funkcjonowaniem w myśleniu ideologicznym i w politycznej praktyce prowadzi zarówno do swoistej rehabilitacji i współczesnej re-definicji ich podstawowych treści jak i do krytyki ich obiegowych, niejednokrotnie wypaczonych (nie tylko w piśmiennictwie komunistycznym), zaciemnionych czy czysto sloganowych znaczeń. Autor dąży przy tym do określenia i wyważenia ich pojęciowego zakresu nie tyle za pomocą formalnych definicji, co poprzez ukazanie granic logiczno-semantycznych jakie pojęcia te sobie nawzajem wyznaczają w zestawieniu z rzeczywistym charakterem swoich odniesień. To dążenie do określenia istoty klasycznych pojęć odbywa się przy tym w formie dialogu i polemiki z szerokim wachlarzem poglądów współczesnych politologów, które autor analizuje krytycznie.

Jedną z istotnych konkluzji prac Stankiewicza jest konstatacja przemożnego wpływu na współczesne polityczne przekonania o relatywnym charakterze wszelkich wartości i kryteriów. Ten przemożny wpływ relatywizmu można traktować jako podstawową ideologię dwudziestego wieku, przyjmowaną najczęściej nieświadomie i bezkrytycznie. Ujawnianie relatywistycznej podszewki współczesnych dyskursów polityczno-społecznych i krytyka relatywizmu jako systemu myślenia, jego założeń i skutków, łączy w sposób spójny całość pisarstwa Stankiewicza, od prac teoretycznych przez analizę poszczególnych nurtów ideowych i form instytucjonalnych (państwo opieki, ekologia, władza i instytucja państwa, system demokratyczny) po jego polityczne aforyzmy.

Zdumiewające, że w niezbyt w końcu bogatym w nowe przemyślenia i teorie polityczne polskim świecie intelektualno-akademickim książki te przeszły całkowicie bez echa. Nie zauważył ich Leszek Kołakowski, nie zauważył ich Henryk Skolimowski czy Jakub Karpiński, głucho o nich w rozmyślniach J.M. Bocheńskiego. Głucho w niezależnych pismach w Polsce. Co jeszcze bardziej zdumiewające, teorią polityczną Stankiewicza nie zainteresowano się w Polsce po roku 1989, choć, podkreślę raz jeszcze, potrzeba myśli politycznej w tym post-totalitarnym kraju jest raczej nagląca, a umiejętność myślenia politycznego nikła. Jest interesujące, że pierwszą publikacją Stankiewicza w krajach post-totalitarnych (świadomie nie używam terminu: post-komunistycznych) jest właśnie wydany w Republice Czeskiej, w Brnie, dwujęzyczny, angielsko-czeski zbiór jego aforyzmów i litanii politycznych\*.

Jak wspominałem, Stankiewicz zajmuje się nie tyle politologią, w powojennej Polsce traktowaną nieraz jako odmiana socjologii (a przed rehabilitacją tej ostatniej, jako po prostu część marksizmu-leninizmu), co teorią polityczną. Na obszarze języka angielskiego na większości wydziałów politologicznych *political philosophy* zepchnięta została przez kwalifikatorów, empirystów i behawiorystów na margines, zredukowana do historii myśli i teorii politycznych i dopiero ostatnio można mówić, chociaż ostrożnie, o jej odradzaniu się. W tym kontekście nie jest rzeczą dziwną, że prace Stankiewicza, mimo iż wydane przez liczące się wydawnictwa, nie zyskały sobie jeszcze należnego im miejsca w dyskusjach i pracach politologów brytyjskich czy północno-amerykańskich. Można jednak mieć nadzieję, że odradzanie się nurtu myśli i teorii politycznej w świecie anglo-amerykańskim doprowadzi do wzrostu zainteresowania dorobkiem myślowym Stankiewicza. Jednym z sygnałów tej zmiany była konferencja, która odbyła się w zeszłym roku na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej w Vancouver, gdzie Stankiewicz był profesorem nauk politycznych przez trzydzieści lat, poświęcona całości jego dorobku pisarskiego i myślowego (a można tu jeszcze wspomnieć o innych pracach, jak na przykład *British Government in an Era of Reform*, oraz wcześniejszych książkach na temat gospodarki planowanej oraz religii i polityki w XVII-wiecznej Francji). Konferencja zgromadziła szereg wybitnych politologów kana-

\* W. J. Stankiewicz, *Záznamy: Jottings*, Atlantis, Brno, 1995.

dyjskich i amerykańskich. Obecnie jest w przygotowaniu do druku tom referatów konferencji, poszerzony o prace kilku autorów którzy w konferencji udziału nie brali, jak np. J.B. Elshtain, autorka szeroko dyskutowanej książki *Democracy on Trial*, czy wybitny polityczny filozof kanadyjski, Barry Cooper (zresztą były student Stankiewicza).

Bogdan CZAYKOWSKI

## Czym jest post-totalitaryzm

Post-totalitaryzm jest systemem przejściowym, w którym czynniki etyczne, polityczne, psychologiczne, gospodarcze, społeczne i kulturalne walczą ze sobą o pierwszeństwo w toku przekształceń prowadzących od „realnego socjalizmu”, czyli komunizmu (a więc formy totalitaryzmu) do jakiejś innej formy ustrojowej, przypuszczalnie do liberalnej demokracji. Charakter tego systemu kształtuje całe mnóstwo spraw, trosk, dążeń, celów i dylematów, które w swojej sumie określają jego istotę i kierunek przeobrażeń. Stanowi on przy tym niezwykle bogate źródło wiedzy o systemie go poprzedzającym. Co więcej, jest jak lustro, w którym demokracje zachodnie mogą dojrzeć zarysy swoich wcześniejszych faz, uchwycić w wielkim skrócie czasowym ów stan „pierwotny”, czyli społeczeństwo na progu nowej umowy społecznej. Dla filozofa politycznego – sytuacja wręcz wymarżona.

Jaką więc szczegółową wiedzę daje nam ten system, i co pozwala przewidzieć? Inaczej mówiąc, czym jest post-totalitaryzm?

*Post-totalitaryzm to „system”*  
który

nie posiada określonej formy

jest ambiwalentny wobec własnej przeszłości  
zakochany w liberalnej demokracji  
pełen entuzjazmu dla gospodarki wolnorynkowej  
szuka po omacku swoich celów  
ma mętny obraz środków  
nie wie ku czemu zdąża  
dreńczy się procesem przemian  
nadal miesza pojęcia „socjalizmu” i „komunizmu” (do czego przyczynia się dążność partii komunistycznych by występować w barwach socjalizmu lub demokracji)  
to „system” w którym  
czyni się wysiłki aby przedłużyć życie partii komunistycznych pod nową postacią

*Post-totalitaryzm to społeczeństwo*  
w którym

obumarły tradycyjne więzi społeczne  
to społeczeństwo osłabione  
rozpaczliwie łakące nowych form spójności  
mające wielką potrzebę stworzenia nowych więzi  
pozbawione „autonomicznej dziedziny politycznej”  
poszukujące mnóstwa gospodarczych i politycznych rozwiązań  
obarczone brakiem wspólnego języka zachodniej wiedzy  
szukające przywódców-ekspertów którzy mogliby je wydobyć z obecnego bagna  
społeczeństwo któremu brak specjalistycznych umiejętności powszechnych na Zachodzie  
jak i nieraz świadomości swojej niewiedzy  
któremu już czas rozprawić się z Wielkim Kłamstwem komunizmu  
to społeczeństwo świadome swojej trudnej sytuacji  
gotowe przyjąć pluralizm ideologiczny  
gotowe porzucić biegunowo skrajne poglądy dzielące je na „my” i „oni”  
wkraczające na wolny rynek idei  
to społeczeństwo w którym to co przyjęło się określać jako „prawdziwa polityka” ma dopiero powstać

to społeczeństwo upośledzone przez brak „rządów prawa” uczące się jak żyć z pojęciem prywatnej własności i jak pogodzić się z wszystkimi konsekwencjami tego faktu zmuszone uważać nagminny brak kompetencji (w dużej mierze pozostałość niedawnej przeszłości) za nieudolność poszczególnych jednostek i zło gospodarczo-społeczne ale zaczynające rozumieć że wyeliminowanie niekompetencji jest podstawowym warunkiem pomyślnego przejścia do gospodarki wolnorynkowej

to społeczeństwo które musi być gotowe odrzucić miraż pełnego zatrudnienia (roszczenie typowe dla realnego socjalizmu)

to społeczeństwo któremu przyszło wreszcie pogrzebać szczytki „socjalistycznej dyscypliny pracy”

społeczeństwo zdecydowane stworzyć podwaliny nowej etyki pracy, która wykluczy bumelanctwo i przemysłowy sabotaż (uważana uprzednio za cnoty opozycjonisty)

to społeczeństwo które musi wykorzenieć apatię i lęk przed zmianami

które musi rozbudzić chęć wśród tysięcy jednostek do zdobycia nowych umiejętności

które ma za zadanie rozwijać odpowiedzialność indywidualną i ugruntować odpowiedzialność publiczną

to społeczeństwo od którego oczekuje się uznania dla inicjatywy i samodzielności

któremu przypadło wdzieć umiejętność obywatela się bez przywilejów grupowych

społeczeństwo obarczone dziedzictwem wypaczonych stosunków międzyludzkich łączące obciążenia przeszłości z załączkami nowych struktur przeżywające psychiczny dylemat który wynika z dążenia do „małej stabilizacji” osobistej

w ramach demokratycznej niepewności

stojące przed trudną sytuacją kulturową: zanurzenia w świecie relatywizmu

społeczeństwo na rogach etycznego dylematu: jak współżyć z byłymi złoczyńcami

stawiające pytanie: jak tolerować byłych ciemiężycieli i katów? jak uznać ich za współobywateli?

społeczeństwo które nadal musi mieć do czynienia z komunizmem jako stanem umysłów

i musi uporać się z żałosnymi próbami odrodzenia i usprawiedliwienia martwej doktryny marksistowskiej

społeczeństwo uczące się jak przejść do porządku dziennego nad cynizmem uprzednich zwolenników komunistycznego reżymu którzy (pełni zdumienia) pytają byłych dysydentów: jak wyście mogli przewidzieć rozwój wypadków?

społeczeństwo które musi otrząsnąć się z kultury „należy-mi-się” – a więc z przyzwyczajenia że to państwo ma obowiązek zapewnić każdemu znośne warunki życia

### Postskrypt

Totalitarny komunizm skazał miliony ludzi na śmierć; teraz, kiedy komunizm jest już chorobą przeszłości (choć niezupełnie jeszcze uleczoną), czyli w systemie post-totalitarnym, niektórzy uważają że na komunizm ciągle można umrzeć.

Z nadejściem post-totalitaryzmu, termin „totalitaryzm” odzyskał swoje znaczenie i przydatność w oczach tych, którzy dawniej je negowali. Zachodni liberałowie nie mają obecnie problemów z używaniem go na określenie byłych reżymów komunistycznych – coś co przez mniej więcej dwadzieścia lat było dla nich nie do pomyślenia. Jest to być może rezultat faktu że wschodnioeuropejczycy nie tylko się tym terminem posługują ale analizują jego znaczenie i zakres.

1992

Władysław J. STANKIEWICZ  
(Z angielskiego przełożył Bogdan Czaykowski)

## Rekonstrukcja rzeczywistości

1.

W całym okresie powojennym literatura polska borykała się z poczuciem utraty rzeczywistości. Trwające niemal pół wieku, powracające w różnych ujęciach dyskusje dotyczące konieczności odbudowy „literatury realistycznej” (przy czym pojęcie to ma tyle definicji, ilu autorów podejmuje ten temat) bez wątpienia określały jeden z podstawowych wątków tego pisarstwa. Przy czym sprawa ta wydaje się rzeczywiście kluczowa: przemiany historyczne, zaszłości geopolityczne będące wynikiem II wojny światowej, wielkie ruchy migracyjne, rozpadanie się struktur społecznych w systemie komunistycznym, kwestia utraty kulturowo ważnych obszarów, sprawa zasiedlania ziem poniemieckich i przestrzeni pożydowskich (dość przypomnieć strukturę ludnościową olbrzymiej większości nie tylko wielkich miast, ale przede wszystkim miasteczek prowincjonalnych), zmiany mentalności i tożsamości społecznej, swoiste „pomieszanie języków” – wszystko to, mimo wysiłków, nie znalazło pełnego wyrazu w literaturze. Nie ulega wątpliwości, że jednym z czynników decydujących o tym stanie rzeczy była cenzura. Lecz nie był to czynnik do końca decydujący. Równie istotny był brak dystansu, nie-  
możność ogarnięcia długofalowych skutków nowego stanu rzeczy. Trafnie zauważył w połowie lat sześćdziesiątych Stefan Żółkiewski: „Powieść polska nie znalazła jeszcze formuły, która by odkrywała dominantę współczesnych konfliktów polskich i ukazywała wzajemne związki i zależności poszczególnych problemów, mających już swój wyraz literacki”<sup>1</sup>.

1. Stefan Żółkiewski: „Zagadnienia stylu. Szkice o kulturze współczesnej”, Warszawa 1965, s. 63.

Dziś, pół wieku po zaszłych przemianach, dystans ten jest już możliwy. Likwidacja cenzury ułatwia artykulację obserwacji i ocen. Mamy więc obecnie do czynienia z bardzo ważnym nurtem rekonstruowania w literaturze kształtu przestrzeni, w jakiej żyjemy, z próbą określenia jej charakteru. Jeśli jawiła się ona jeszcze w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych jako chaotyczna, bezkształtna breja, to dziś – szczególnie w pisarstwie młodych – odnajduje nagle ukryte dotąd struktury: może nawet należy powiedzieć, że struktury te są przez ową literaturę w nasz świat wnoszone, wpisywane. To już nie świat „Miazgi” Andrzejewskiego, „Obłędu” Krzysztonia, „Nierzeczywistości” Brandysa, utworów Stefana Kisielewskiego, „Kompleksu polskiego” i całkiem już groteskowej „Małej apokalipsy” Konwickiego, „Wirówki non-sensu” lub noweli „Moc truchleje” Janusza Głowackiego, prozy Marka Nowakowskiego czy „Gry na zwłokę” i „Zabawy w głuchy telefon” Janusza Andermana. Tam dominowało poczucie rozpadu, rozsypki, zapaści. Już wcześniej Tomasz Burek zwracał uwagę – w tomie o znaczącym tytule: „Zamiast powieści” – na brak perspektywy scalającej. Podobne przekonanie pojawiło się w tomie szkiców Kornhausera i Zagajewskiego „Świat nie przedstawiony”. Właśnie sprawa scalenia doświadczeń, znalezienia języka dla ich wyrażenia, stała się jednym z głównych motywów krytyki literackiej upominającej się o „przedstawienie świata”. Jak bowiem pisał Burek, komentując rozwój form hybrydycznych, które dziś otrzymały w szkicu Ryszarda Nycza nazwę „sylwy współczesnej”: „improwizacja, szkic, „scenariusz” konfliktów, luźna kronika terażniejszości, połączone razem w utwór „nieprzejrzysty”, w brulion, otrzymują jeszcze jedno uzasadnienie. Powieść-hybryda bądź powieść-brulion wyrażałyby bezstylowość kształtującego się dopiero życia, z jego chwiejnymi jeszcze normami i wzorcami zachowań, z sypkimi konstelacjami wyobrażeń i pojęć, z płynnością grupowych powiązań, z nietrwałymi skupieniami indywidualnych pragnień i aspiracji”<sup>2</sup>. Ten sposób wypowiedzi właśnie w latach siedemdziesiątych zyskał w literaturze krajowej (podobne formy w piśmiennictwie emigracyjnym funkcjonują trochę inaczej) pełne

2. Tomasz Burek: „Zamiast powieści”, Warszawa 1971, s. 36.

prawo obywatelstwa: choćby w „łże-dziennikach” Konwicznego czy „Miesiącach” Brandysa.

Zapewne – dopiero przemiany zachodzące po roku 1989 – bez względu na ich ocenę polityczną – stwarzają warunki po temu, by Polacy mogli czuć się „u siebie”. Więcej nawet – dopiero teraz możliwe jest jakieś „dochodzenie do siebie”, pochwylenie efektów przemian historycznych i społecznych. Rzeczywistość, którą dotąd można było przedstawiać raczej jako życie na lotnych piaskach niż na twardym gruncie, staje się uchwytna, opisywalna. Takie książki jak „Dom, sen i gry dziecięce” Juliana Kornhausera, „Inne rozkosze” Jerzego Pilcha, „Weiser Dawidek” i „Opowiadania na czas przeprowadzki” Pawła Huelle, „Zagłada” Piotra Szewca, „Ucieczka” i „Rekonstrukcja” Stanisława Bieniasza, „Lida” Aleksandra Jurewicza, „Krótka historia poważnego żartu” i „Hanemann” Stefana Chwina, „Ulice Szczecina” Artura D. Liskowackiego, „Bresław” Andrzeja Zawady, „Urodzony w Święto Zmarłych” Feliksa Netza czy kolejne tomy poetyckie oraz eseistyka autorów skupionych w kręgu olsztyńskiej „Borussi” – tu przede wszystkim liryka Kazimierza Brakonieckiego – wyznaczają rytm przemian, tworzą ważną w najnowszej literaturze konstelację.

## 2.

Pytania zasadnicze to pytania o własną tożsamość. Stawiane są przez autorów urodzonych po wojnie, tych więc, dla których II Rzeczpospolita to świat historyczny, nie wpisany w doświadczenie własnej biografii. Uzyskuje on czasami – jak w dziejącej się w przedwojennym Krzemieńcu powieści Włodzimierza Paźniewskiego „Krótkie dni”, cyklu liryków Michała Liniewskiego „Album rodzinny” czy w wierszu Adama Zagajewskiego – postać ważnego „mitu” rodzinnego, stanowiącego odniesienie do świata, w którym przyszło żyć, lecz nie jest rzeczywistością osobistego przeżycia. Można, rzecz jasna, dowieść, jak ważną rolę w całej polskiej literaturze, także najmłodszej, odgrywa pamięć Kresów, lecz nie decyduje ona o kształcie własnej świadomości historycznej – tą określają już inne czynniki, związane z rzeczywistością własnego czasu. Niemniej istotne w tym kontekście wydaje się odkłamanie języka narzuconego w ubiegłych dziesięcio-

leciach – języka, w którym wypędzonych z własnej ojczyzny nazywano „repatriantami” czyli tymi, którzy do ojczyzny powracają.

Do tych ważnych czynników decydujących o specyfice młodej literatury w pierwszym rządzie trzeba zaliczyć odczucie „płytkiego zakorzenienia”. W końcu – wyjąwszy Kraków (choć i tu pojawiają się współczesne problemy z pamięcią żydowskiego Kazimierza) i po części może także Poznań – żaden z głównych ośrodków Polski powojennej nie zachował swej tożsamości. Wielkie migracje – pomijając już sprawy przekształceń pejzażu – odmieniły Polskę: Warszawa współczesna niewiele ma wspólnego z Warszawą znaną z „Lalki” Prusa czy choćby z „Dziewcząt z Nowolipek” Gojawicyńskiej – jej mieszkańcy nie są tu od dziesięcioleci (jeśli nie od stuleci) zasiedziali, przynajmniej w olbrzymiej większości. Podobnie jest i gdzie indziej: na Śląsku, we Wrocławiu, w Szczecinie, Gdańsku, Olsztynie: przemieszanie różnych grup ludności dawnej Polski, swoiste „pomieszanie języków”, częste poczucie wykorzenienia z własnej „małej ojczyzny”, stąpienie po „cudzych śladach”, konieczność odnajdywania się w nowej rzeczywistości, częste, przynajmniej na początku, poczucie tymczasowości i niepewności losu – wszystko to spowodowało zapaść dotychczasowych norm i wzorców. Można zaryzykować twierdzenie, że w tej sytuacji opresja będąca efektem życia w systemie komunistycznym stanowiła czynnik, choć ważny, jednak drugorzędny. I ta właśnie sytuacja wyznaczała okoliczności dojrzewania autorów urodzonych po wojnie, a tym samym bohaterów tworzonej przez nich literatury.

Przestrzeń, w której przyszło im żyć, jest, rzecz jasna, ich światem własnym, lecz zarazem nie jest wciąż jeszcze światem oswojonym. Zderzają się tu odczucia swojskości (tu się urodziłem, tu dorastałem) i obcości (historycznej przede wszystkim). Dążenie do znalezienia między nimi jakiegś równowagi jest jednym z głównych motywów tego pisarstwa. Dotyczy to w szczególności terenów „poniemieckich”, ale w końcu nie tylko ich. Zarazem, co istotne, towarzyszy temu poczucie degradacji świata prowincji: przez kilka dziesięcioleci życie kraju – w tym szczególnie życie kulturalne – uległo silnej centralizacji. Nic więc dziwnego, że w chwili obecnej następuje odbudowa światów „małych ojczyzn”: widać to



choćby w ruchu czasopiśmiennictwa kulturalnego, także w treści publikowanych tu materiałów – tak dzieje się z wrocławską *Odrą*, która w ostatnich latach sporo uwagi poświęca historii miasta, tak też jest w wypadku takich czasopism jak lubelskie *Kresy* i *Akcent*, gdański *Tytuł*, olsztyńska *Borussia*, śląskie *Opcje* i *Fa-Art*, ostrołęcka *Pracownia*, szczecińskie *Pogranicza*, bydgoski *Kwartalnik Artystyczny*, rzeszowska *Fraza* czy – by tylko przy tych przykładach pozostać – wydawana w Sejnach *Krasnogruda*. Ta zmiana perspektywy – z centralnej na „prowincjonalną” (w pozytywnym, twórczym rozumieniu tego pojęcia) – nie dla wszystkich wydaje się oczywista. Dała temu wyraz poetka Helena Raszka, która, komentując „modę na mówienie o ‘małych ojczyznach’” stwierdziła, iż od chwili zamieszkania w Szczecinie nie widzi tu żadnej lokalnej specyfiki, myśli o nim jako o mieście polskim po prostu. Taka postawa wydaje się zrozumiała: Szczecin, gdy doń się sprowadziła, nie był „jej miastem” tak, jak stał się nim dla żyjących tu i tu urodzonych młodszych koleżanek i kolegów, dla których problem jego polskości jest mniej ważny od specyfiki wyznaczającej odmienny klimat życia niż choćby w Warszawie.

## 3.

Omawiając rozgrywającą się po części na Śląsku powieść Feliksa Netza „Urodzony w Święto Zmarłych” Krzysztof Uniłowski niezwykle trafnie pochwylił jeden z problemów, który dotyczy nie tylko tego utworu, lecz całej konstelacji debiutów prozatorskich ostatniego dwudziestolecia: „Netz ma do powiedzenia rzecz niesłychanie ważną o tych, których doświadczeniem były migracyjne przetasowania w czasach PRL. Skoro to, co utracone i zniszczone przez historię, utracone zostało bezpowrotnie, a moja tożsamość jest tożsamością wydziedziczonego, to trwanie przy tym, co utracone, byłoby kłamstwem wobec samego siebie, byłoby gestem fałszywym. Obcojęzyczne i gwarowe wtręty w tekście nie mają wiele wspólnego z dialogiem kultur. Ilustrują stan pomieszania języków. (...) PRL jako wieża Babel – myślę, że taka diagnoza jest nie tylko interesująca, ale z wielu powodów zasadna. Ingrediencjami swego hybrydycznego języka – z punktu widzenia tradycji i puryzmu nieskładnego, niegramatycznego

i brzydkiego – jakim wtedy mówiliśmy i jakim wciąż mówimy, były również mowa propagandy i to wszystko, co wniosły weń migracje wewnętrzne. Życ w PRL to znaczy żyć bez pierwszego języka, wtajemniczenia w tradycję historyczną, kulturową, nawet metafizyczną”<sup>3</sup>. Przy czym pierwsza część cytowanych uwag zasługuje na osobną dyskusję – tu zauważyć jedynie wypada, że nie zawsze „trwanie przy tym, co utracone” musi być kłamstwem i pustym gestem: otwartym pozostaje jednak pytanie o to, w jaki sposób owo utracone zyskuje status „pamięci głębokiej”, jaką rolę odgrywa w zaplocie tradycji współczesnej.

Warto jednak w kontekście spostrzeżeń Uniłowskiego, dotyczących utraty „pierwszego języka” raz jeszcze uważnie się przyjrzeć tezom Henryka Berezę dotyczącym „rewolucji” językowej w prozie debiutantów lat siedemdziesiątych (tu m.in. utwory Marka Słyka, Krystyny Sakowicz, Dariusza Bitnera, Józefa Łozińskiego, Ryszarda Schuberta czy Andrzeja Tuziaka). Wydaje się bowiem, że odczucia Berezę dotyczące zasadniczych przeobrażeń – w stosunku do tradycji – języka literackiego lansowanych przezeń autorów są w zasadzie uprawnione. Tyle, że w odniesieniu do twórczości autorów starszych, o zakorzenionej jeszcze w tradycji międzywojnia tożsamości kulturowej, język części przynajmniej pisarzy kręgu nazywanego potocznie „szkołą Berezę” to nie żadna „rewolucja”, lecz zapaść. Narracje prowadzone w owym „nieskładnym, niegramatycznym i brzydkim” języku nie zaświadczały wnoszenia jakichś nowych wartości, lecz poświadczają rozpad wartości dotychczasowych. To język dokumentujący wykorzenienie z tradycji, jej nie tyle odrzucenie – by to uczynić, należy pierwiej wiedzieć, co się odrzuca – lecz nieznaną jej znaczeń, które w procesie „kształcenia” w PRL zostały rozmyte i zdruzgotane, zmiażdżone. Z tego chaosu, jakim była PRL-owska „wieża Babel”, wyjścia poszukiwano w odwołaniach do przypadkowo, niejako na chybił-trafił wybieranych punktów odniesień – raz był to w gruncie rzeczy dość powierzchownie odczytywany Gombrowicz, kiedy indziej modna w tamtych latach proza iberoamerykańska: te wzorce przechwytywane były w oderwaniu

3. Krzysztof Uniłowski: „Bez pierwszego języka”, *Fa-art* 1995 nr 3.

od ich głębokiej kulturowej tradycji, zredukowane do „sposobów” czy „chwytów” literackich. Nic więc dziwnego w tym, że między reprezentowaną przez Berezę koncepcją literatury, premiującą owo wykorzenienie i życie „bez pierwszego języka” a sposobem czytania takich krytyków jak Błoński czy Burek, posiadających – każdy swój własny – punkt odniesienia w tradycji i dbających o łączność współczesności z przeszłością, musiało wytworzyć się dość silne napięcie, które znalazło wyraz w dość ożywionej dyskusji (głównie na łamach *Literatury*) w połowie lat osiemdziesiątych.

Warto też jednak zauważyć, że koncepcje Berezy nie zawsze zasługują na całkowite odrzucenie. Jego poszukiwania „rewolucji” w młodej prozie lat 70. i 80. nakładają się na jego postulat konieczności odejścia literatury polskiej od sztucznego „języka inteligenckiego” ku językom mniej „abstrakcyjnym” a bliższym temu, co nazywa „nastawieniem empirycznym”<sup>4</sup>. Nie ulega wątpliwości, że język autorów „kręgu Berezy” jest językiem empirii, dokumentuje wykorzenienie całych grup społecznych z tradycji: jest „bliższy życia”. Rzecz w tym tylko, iż nie można się tu cofać przed dość oczywistym pytaniem: ale co to za życie, jaki jest doń stosunek narratorów i bohaterów tej literatury? Bereza na takie pytania nie udziela odpowiedzi z tego prostego powodu, iż ich ani sobie ani literaturze nie stawia. Można powiedzieć, że – świadomie lub nieświadomie – dokonuje swoistej redukcji estetycznej całej literatury, przy tym takiej redukcji, która ogranicza się jedynie do rekonstruowania „chwytów narracyjnych” bez troski o to, by zdać sprawę z ich innych znaczeń niż funkcja czysto artystyczna. Lecz nie można też udawać, że krytyka języka polskiej kultury jako języka „słabego”, nie unoszącego ciężaru doświadczenia, w niektórych punktach jest tu zbieżna z podobnymi odczuciami Czesława Miłosza wypowiedzianymi m.in. w tomie „Nieobjęta ziemia”. Analiza owych zbieżności i ujawnienie różnic koncepcji wymaga jednak odrębnego szkicu. Niezależnie jednak od owych różnic i zbieżności jedno jest pewne: teza Berezy o „rewolucji” w prozie odnosi się przede wszystkim do debiutantów połowy lat 70., tych więc, których cała biografia

4. Henryk Bereza: „Prozaiczne początki”, Warszawa 1971, s. 11.

przypada na „czas PRL” i przez ten właśnie czas jest kształtowana – i właśnie w stosunku do ich utworów (inaczej niż to się działo i dzieje w omówieniach twórczości starszych od nich Wiesława Myślińskiego czy Piotra Wojciechowskiego) następuje u Berezy owo „estetyczne zredukowanie” odczytań. Miało to swoje istotne konsekwencje, które pochwycił Mieczysław Orski charakteryzując „azyl estetycznej nirwany w Peerelu”: „Tak jak społeczeństwo polskie stawało się w nasilającym się stopniu społeczeństwem odmowy udziału w funkcjach państwa i narodu, niechęci do wszelakich form zorganizowanej i zinstytucjonalizowanej działalności, emigracji zewnętrznej, tak narratorzy i bohaterowie omawianej tu prozy wyrażając nastroje autorów pocztywaliby sobie za zasługę odmowę uczestnictwa w jakimkolwiek ponadindywidualnym pozasubiektywnym świecie i emigrację wewnętrzną do krain fantazji, nie skażonej żadnymi realnymi powiązaniem”<sup>5</sup>. Okazało się – paradoksalnie – że ów „empiryzm” językowy w kulturze pozbawionej „pierwszego języka” oddalił, jeśli nie odizolował literaturę od realiów życia.

#### 4.

Nie ulega wątpliwości, że sytuacja ta zmieniła się zasadniczo na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Wspomniana wyżej konstelacja utworów wydanych w ostatnich latach zdaje się zaświadczać powrót do wziętych w nawias realiów, dążność do rozpoznania swego tu i teraz nie tylko w doraźnym rozumienia tego pojęcia, lecz także w kontekście historycznym.

Tak właśnie się dzieje w tomie Andrzeja Zawady „Bresław”. Podtytuł tego zbioru „eseje o miejscach” wydaje się najlepiej charakteryzować poszukiwania całego wyodrębnionego tu nurtu młodego pisarstwa. Neologizm spinający ze sobą dwie nazwy – „Breslau” i „Wrocław” – jest niezwykle nośny i zarazem trafny: zaświadcza głębokość zmian, które zaszły w ciągu półwiecza nowej Polski. Nie tylko w końcu Wrocławia tyczyć mogą te oto refleksje: „Ci, których tu przesiedlono po drugiej wojnie światowej i ci, którzy przyjechali tutaj dobrowolnie, w poszukiwaniu swobodniejszej przestrze-

5. Mieczysław Orski: „A mury runęły”, Wrocław 1995, s. 53.

ni życiowej, starannie i gorliwie zacierali, a mówiąc realistycznie niszczyli ślady niemieckiej przeszłości. Dziwić się ich postępowaniu specjalnie nie należy. Przybyli do miasta obcego, zniszczonego i pokonanego, do miasta wroga, który gnębił ich i mordował przez sześć lat. (...) Przybysze reprezentowali naturalną w takiej sytuacji świadomość, iż dźwigając z ruin miasto, odbudowują je dla siebie. (...) Z czasem, z zasiedzeniem, z wrośnięciem w miasto przyjsć miało bardziej obiektywne zainteresowanie jego przeszłością. Przyjsć miało również przekonanie, że dzielenie tradycji według kryteriów narodowości, a więc na polską, niemiecką, żydowską jest w gruncie rzeczy umowne i nie odbija rzeczywistych kształtów przeszłości, która jest procesem pełnym związków i zrostów<sup>6</sup>. Usytuowanie się w sieci tych powiązań stało się dla przybyszy wyzwaniem – nie od razu jednak, lecz po dziesięcioleciach. Więcej nawet: świadomość tej zmiany, już wcześniej uformowana, mogła znaleźć literacki wyraz dopiero po zmianach roku 1989. I tak właśnie tworzony jest własny Gdańsk w utworach Huelle i Chwina, tak na tradycję Ostpreussen nakładana jest współczesność Warmii i Mazur w poezji Brakonieckiego. Ale podobnie ważne są opinie ocalonej w nonsensownej wirówce historii luterańskiej odrębności Śląska Cieszyńskiego w prozie Pilcha lub odwołanie się do żydowskiej tradycji Zamościa w „Zagładzie” Szewca, a wreszcie – by przywołać jeszcze jeden tytuł z tego kręgu – opowieść o wędrownicy ulicami Gdańska, Warszawy, Bydgoszczy i Szczecina bohatera „Czeskiej biżuterii” Grzegorza Musiała.

Interesujące uwagi na temat procesu prowadzącego do krystalizowania się nowej świadomości znaleźć można w szkicu Brakonieckiego „Nowa poezja Warmii i Mazur”: „Powojenne, obecnie średnie już pokolenie inteligencji, które wchodziło w dojrzałe życie na przełomie lat 70. i 80., wykorzystało nie tylko „łaskę późnego narodzenia”, ale i zachowane dziedzictwo polskie i obce (niemieckie głównie) w celu wykreowania własnej tożsamości regionalnej, polskiej oraz – ponownie – zachodnioeuropejskiej. Pełnym głosem

6. Andrzej Zawada: „Bresław. Eseje o miejscach”, Wrocław 1995, s. 53-4.

przemówiły do nich zniszczone cmentarze żydowskie, niemieckie, pruskie, ewangelickie, polskie, świątynie i kaplice gotyckie i barokowe, niepowtarzalne krajobrazy Warmii i Mazur. Dokonywało się tak nie tylko dlatego, że tak chciały „obiektywne procesy historyczne”, lecz również dlatego, iż w sposób naturalny rozwijały się autentyczne potrzeby duchowe ludzi urodzonych już na swoich ziemiach, u siebie, a którzy – w sposób dramatyczny – i być może po raz ostatni (ostatni w znaczeniu konsekwencji zmian wynikłych po II wojnie światowej) przepytują sens i ciągłość swojej biografii<sup>7</sup>. Słowa te stanowią fragment wstępu do antologii najnowszej poezji regionu, specjalnego zeszytu *Borussi*, przynoszącego wiersze tropiące lub tylko odnotowujące wpisane we współczesność ślady cudzej przeszłości. Dialog czasów – jak w „Liście do Ernsta Wiecherta” napisanym przez urodzonego w 1970 roku Mirosława M. Markowskiego – określa otwarcie zamkniętych i obcych dotąd przestrzeni. I można, nawiązując do słów Jerzego Stempowskiego, zaryzykować tezę, iż w ten właśnie sposób „historia spuszczone z łańcucha” odzyskiwać zaczyna powoli swe ludzkie miary.

Leszek SZARUGA

7. Kazimierz Brakoniecki: „Nowa poezja Warmii i Mazur”, *Borussia* 1995 nr 11.

## O szkole – z troską i nadzieją (I)

### 1. Co i jak pisze się obecnie o oświacie?

#### Kilka przykładów i refleksji

O szkole – i szerzej – o stanie oświaty i wychowania oraz o poziomie wykształcenia społeczeństwa pisze się w polskiej prasie nieczęsto i na ogół dość powierzchownie<sup>1</sup>. Zazwyczaj tematyka ta pojawia się okolicznościowo, na początku roku szkolnego czy akademickiego, w okresie egzaminów maturalnych, rzadziej – wstępnych do szkół średnich i wyższych, no i przy wyliczaniu zadłużonych instytucji bądź komentowaniu struktury budżetu państwa, w którym wydatki na oświatę zawsze okazują się dalekie od potrzeb. Takie przypadkowe teksty przemijają bez większego echa – jak pory roku.

Czasami ukazują się jednak artykuły na szczęście obszerniejsze, dwojakiego rodzaju.

Niektóre teksty są wykazem ciężkich zarzutów, dotyczących metod i celów nauczania i wychowania, krytykowanych ogólnie – od przedszkola do uniwersytetu. Jako największe zło wymienia się stosowanie metod stosujących narzucanie gotowych opinii oraz kształtowanie modelu „ucznia-kujona” i „lizusa” przez nauczycielskie „stado” ograniczonych nieudaczników, „którzy, jeśli się ożywią, to na dźwięk dwóch haseł: „pensja” i „pensum”<sup>2</sup>.

1. W uwagach tych pomijam czasopiśmiennictwo specjalistyczne – podaję przykłady wyłącznie z prasy ogólnej, kształtującej opinię publiczną.

2. Np. B. Górski: „Szkolne tresowanie”, „Stado nauczycielskie”, „Kiedy wreszcie zdechnie nasza szkapa”, *Gazeta Polska* n-ry 18, 19, 20, maj 1995.

Przyjąć wypada, że tego rodzaju artykuły piszą osoby, które szkoła nie najlepiej wykształciła (nie mówiąc o wychowaniu), gdyż autentycznie negatywne zjawiska przedstawiane są wyłącznie jako spuścizna PRL: „Nad dzisiejszą polską edukacją ciąży jako dorobek czterdziestopięciolecia niewolniczy wzorzec kształcenia, którego głównym celem było produkowanie uległych, pokornych poddanych. I to na wszystkich szczeblach – od pierwszoklasisty do... profesora”<sup>3</sup>.

Tak, jakby przed wojną szkoła nie była przedmiotem i poważnej krytyki i ciętej satyry, że wspomnę tu tylko „Ferdydurke” (1937) Gombrowicza i jego groteskowe obrazy „upupienia” uczniów i przyprawiania im „gęby” oraz wyróżniania kujonów-Syfonów, którzy nie tylko powtarzali za Bładaczką, że „Słowacki wielkim poetą był” (czego Bładaczka, oczywiście nie dowodził), lecz także poddawali się określonej indoktrynacji ideowej, przyjmując ją za własne credo. Zresztą Gombrowicz nie oszczędził również rodziny mieszczańskiej i ziemiańskiej jako środowiska wychowawczego. A drwił K.I. Gałczyński z wychowania w duchu bezkrytycznej afirmacji władzy („Zima z wypisów szkolnych” – 1936) albo z naiwnego infantylizmu radia dla dzieci („Audycja dla dzieci” – 1935)!

We wspomnieniach autobiograficznych przedwojenna szkoła oceniana jest obiektywnie, ale też z dystansem. Np. J. Giedroyc pisze o swoim gimnazjum, że „...było bardzo endeckie. Było to gimnazjum dla burżuazji. Trafiałem tam, gdyż przyznano mi stypendium. (...) Do endeckości poczuwała się znaczna część uczniów. Inaczej było z nauczycielami”<sup>4</sup>. I tu autor wymienia nauczycieli i duchownych – jednych z wdzięcznością za tolerancję i nieortodoksyjność, innych – krytycznie, z powodu stosowanych metod nauczania i wychowania, które były nieefektywne i budziły bunt. Z kolei np. Aleksander Hertz pisze, że rodzice wybrali dla niego szkołę polską, ale protestancką: „W szkole protestanckiej – sądzili moi rodzice – będę mniej narażony na dokuczliwość antysemicką, niż w katolickiej”<sup>5</sup>. Tak też się stało i autor dość

3. *ibidem*

4. J. Giedroyc: „Autobiografia na cztery ręce”, Warszawa 1994, s. 18-19.

5. A. Hertz: „Wyznania starego człowieka”, Warszawa, 1991, s. 159-161.

dobrze tę szkołę wspomina, mimo pewnych negatywnych doświadczeń.

Anachroniczne metody nauczania i wychowania (także w PRL...) <sup>6</sup> mają swoją długą historię (i geograficznie też, bo nie tylko w Polsce występowały), ale skoro wciąż trwają i prowadzą do niedobrych konsekwencji, to warto się głębiej zastanowić nad przyczynami tego zjawiska, nie upraszczając ich aż tak bardzo, zwłaszcza że taka „odwaga polityczna” dziś nic nie kosztuje.

Tego rodzaju powierzchowne artykuły powtarzają też łatwe mity, np. o tym, że wszystkie dzieci zrazu są genialne, tylko szkoła niszczy ten geniusz.

Dzieci są na ogół rzeczywiście spontaniczne i ciekawe szkoły, ale też już na starcie w bardzo różnym stopniu rozwinięte i uzdolnione. Tak jest wszędzie i w naszym społeczeństwie, w którym tyle się pije, liczne rodziny rozpadają się, mało czasu poświęca się dzieciom – nie może być inaczej. Bywa, że nauczyciel najpierw musi spełnić funkcję opiekunczą, zainteresować się zdrowiem dziecka, dożywieniem i ubraniem, a jak zacznie uczyć – to i miejscem, gdzie mogłoby spokojnie odrabiać lekcje (tak jest np. w niektórych środowiskach warszawskich). Oczywiście – wobec innych zadań staje nauczyciel uczący dość zamożnych, liberalnie wychowywanych jedynaków, którzy wszystko mają i „wszystko wiedzą” a nauczyciel wiejski, który musi brać pod uwagę w swojej pracy jeszcze inną okoliczność, jeśli praca ta ma przynieść rezultaty.

Dzieci były i są bardzo różne: bystre lub zahamowane, nadpobudliwe lub nieśmiałe, spokojne lub znerwicowane – rzecz w tym, aby każde zostało możliwie szybko rozpoznane i aby można mu było pomóc w jego rozwoju, a jeśli trzeba, to i w rozwiązywaniu problemów życiowych. Czy i na ile szkoła daje sobie z tym radę, jest sprawą godną najwyższej uwagi, analiz i wniosków. Wymagają one kompetencji, pracy i obiektywnych ocen (zwłaszcza przy obecnym zróżnicowaniu

6. Wspomnieć tu warto np. pracę dydaktyków z UW, upowszechniających idee nauczania problemowego, techniki nauczania w zespołach uczniowskich, a także – zasady nauczania programowego i teorii testów. Oczywiście trzeba rozróżniać treści i metody nauczania.

typów szkół, liczebności klas, obsługi przez lekarzy, psychologów itd.), gdyż należałoby określić, jakie powinny być spełnione niezbędne warunki pracy szkoły, aby zapewnić dzieciom optymalny rozwój.

Znacznie łatwiej pisać ogólnie o niedobrych zjawiskach, choć i one wymagają doświadczeń. Szkoda tylko, że brane są pod uwagę jedynie negatywne doświadczenia. Ponadto – jeśli dziennikarz pozwala sobie tak gruntownie i nie licząc się ze słowami degradować intelektualnie i moralnie jakieś środowisko zawodowe, zaczyna się ono bronić. U najwrażliwszych, którzy wiele przeżyli w szkole (choćby w niedawnych czasach stanu wojennego, przy działaniu Komisji Dyscyplinarnej, konieczności ochraniań młodzieży itp.) budzi się gorycz i niesmak. Intencją pisania o szkole powinno być myślenie o tym, co można by zmienić na lepsze. Nawet dane statystyczne o wynikach egzaminów do szkół średnich w Warszawie irytują, jeśli nie towarzyszy im komentarz, że licea mają prawo do przeprowadzania własnych egzaminów i do przyjmowania kandydatów już w kwietniu (przed maturami), na czerwiec zostawiając wolne miejsca dla tych, którym się wcześniej nie powiodło.

Drugi rodzaj artykułów o tematyce szkolnej jest wartościowszy, przede wszystkim dzięki licznym konkretnym. Np. z zainteresowaniem czyta się o szkole, której się jednak powiodło (jak wynika z relacji), a zwłaszcza o stosowanych w niej metodach nauczania, egzekwowania odpowiedzi, oceniania; o stosunku do programu i rozkładu materiału nauczania w poszczególnych poziomach klas; o osiągnięciach w olimpiadach i konkursach; o klimacie wychowawczym, współpracy nauczycieli, rodziców i przyjaciół szkoły<sup>7</sup>. Najrzadsze są jednak publikacje prasowe głębiej penetrujące jakieś wybrane, szersze zagadnienie (np. losy szkół społecznych) i ukazujące przykłady osiągnięć, ale też trudności bądź niepowodzeń – przy równoczesnym, bardzo rzeczowym, wskazaniu na ich uwarunkowania<sup>8</sup>. Takiej głębszej, spokojnej, opartej na konkretnym materiale publicystyki jest stanowczo za mało, a

7. A. Paciorek: „Po pierwsze: nie szkodzić. Szkoła przy Bednarskiej”, *Rzeczpospolita* Nr 200, z dn. 30.08.95.

8. E. Nowakowska: „Rozczarowani entuzjaści. Czy szkoły społeczne przetrwają?”, *Polityka* Nr 47, z dn. 19.11.94.

przecież dopiero ona staje się źródłem interesujących informacji, inspiruje do porównań i szukania lepszych metod pracy oraz rozwiązywania problemów własnej szkoły.

O Ministerstwie Edukacji Narodowej też pisze się dość rzadko i to zwykle, niestety, nie o trwających tam pracach dla dobra polskiej szkoły... Na ogół opinia publiczna dowiaduje się o przykrych wydarzeniach. I tak np. czytamy o konflikcie MEN ze St. Sławińskim, kierującym od kilku lat Pracownią Programów Kształcenia Ogólnego i przeniesieniu tej Pracowni z MEN do Instytutu Badań Edukacyjnych – w atmosferze wzajemnych oskarżeń<sup>9</sup>. Dowiadujemy się też o nieprzyjemnych rezultatach kontroli NIK lub o urzędnikach, których opinia – w świetle informacji prasowych – musi razić, zwłaszcza w resorcie z urzędu zajmującym się kształceniem i wychowywaniem innych<sup>10</sup>. Na początku roku szkolnego wraca informacja o długach, jakie ciążyą na szkolnictwie (6 bln 200 mld starych zł na koniec czerwca b.r.), mimo to z oporami przyjmuje się do wiadomości program oszczędnościowy MEN (mniej nauczycieli, liczniejsze klasy, likwidacja zajęć pozalekcyjnych) – ponieważ prasa pisze tylko o oszczędnościach kosztem uczniów, ale ani słowa o poszukiwaniu także innych ograniczeń wydatków<sup>11</sup>.

Przy dotychczasowym tempie zmian na stanowisku ministra oświaty trudno sobie wyobrazić konsekwentną i tak potrzebną politykę informacyjną MEN, stwarzającą w państwie klimat dla szerokiego zainteresowania sprawami oświaty – na miarę wagi tego problemu.

Trzeba jednak przyznać, że pojawiają się niekiedy bardzo ważne i potrzebne teksty (niestety, nie pochodzą one z MEN), które problem oświaty ujmują globalnie, a ich autorzy wiążą przyszłość naszego społeczeństwa z jakością jego wykształcenia i z aktualnego stanu rzeczy wyciągają logiczne

9. Wywiad K. Gacka ze St. Sławińskim: „Nowe programy szkolne już może za dwa lata”, *Życie Warszawy* z dn. 3.06.95; M. Krassowski: „Spór o reformę szkolną”, *Wiadomości Kulturalne* Nr 3/61, z dn. 23.07.95.

10. J.S. Mac: „Państwo bezprawia”, *Wprost* Nr 36, z dn. 30.09.95; E. Mistewicz, A. Witoszek: „Żywią i bronią” – j.w.

11. M. Roszkowska, T. Ozdowy, PAP: „Oświata tonie w długach”, *Życie Warszawy* z dn. 2.09.95.

wnioski. Chodzi nie tylko o to – jak piszą – że: „Nie siła armii, nie zapóźnienia technologiczne, gdyż te można nadrobić, lecz słabość naszego systemu edukacyjnego może się okazać największą barierą w drodze do Europy, co wynika z raportu o stanie polskiej oświaty, przygotowywanego przez Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD)”<sup>12</sup>.

Poza tym ogólnie niskie wykształcenie naszego społeczeństwa, a także zaniedbania wychowawcze, tak bardzo widoczne w poziomie etyki, kultury bycia i życia – mogą się okazać największą barierą również na drodze do przeobrażeń wewnętrznych w naszym państwie i do tak pożądanых przemian w życiu osobistym ludzi.

Nie mamy dziś optymizmu i złudzeń wieku oświecenia, ale też nie mamy chyba wątpliwości, że człowiek wykształcony i starannie wychowany – to dojrzały obywatel, choćby przez to, że więcej wie i rozumie, a także świadomy wartości, które szanuje. Taki człowiek może podejmować trafniejsze decyzje, funkcjonując w ustroju demokratycznym choćby tylko w roli wyborcy. Jest też szansa, że taki człowiek lepiej ukształtuje swoje życie osobiste, na wyższym poziomie kultury, co wpływać może na jego stosunek do pracy, rodziny, innych ludzi, przyrody, rozrywki, języka, a także na określenie sensu i celu życia – całej tzw. życiowej filozofii.

Jeżeli z tego punktu widzenia spojrzeć na aktualną sytuację i znaczenie poziomu oświaty dla przyszłości naszego społeczeństwa, to jasne jest, że staje się ona obecnie elementem polskiej racji stanu.

## 2. Jaki jest obecnie poziom wykształcenia naszego społeczeństwa? Niektóre liczby i wnioski.

Zacznijmy od pytania, czy tzw. „szerszy ogół” zdaje sobie sprawę, że w Polsce istnieje jakiś poważny problem oświaty? Wydaje się, że nie. E. Mistewicz podaje wyniki badań CBOS, które miały na celu sprawdzenie, co Polacy dostrzegają jako

12. B. Leśniewski, A. Szoszkiewicz: „Piętno niewiedzy”, *Wprost* Nr 36, z dn. 3.09.95.

„najważniejsze problemy Polski”<sup>13</sup>. Wskazano ich 12, ale nie ma wśród nich problemu, który określono by jako „zbyt niski poziom wykształcenia i kultury społeczeństwa”, choć na 3-cim miejscu wymieniono „rządy ludzi niekompetentnych, nieodpowiedzialnych”, a na 8-mym „demoralizację”. Jako problem nr 1 dostrzeżono „bezrobocie”, wątplię jednak, czy ze świadomością, że bezrobocie jest odwrotnie proporcjonalne do poziomu wykształcenia, bo w 1994 r. mieliśmy tylko 1,6% bezrobotnych mężczyzn z wykształceniem wyższym, podczas gdy z zasadniczym zawodowym było ich aż 46,1%; analogicznie rzecz się miała z kobietami: 1,8%-33,4%<sup>14</sup>.

Okazuje się, że np. wytrwała, wieloletnia popularyzacja tematyki ekologicznej dała rezultaty: „zatrucie środowiska” wymieniono jako problem nr 4 – podczas gdy kwestia poziomu wykształcenia wystąpiła tylko pośrednio (w odniesieniu do rządzących). No, ale kto u nas uświadamia ludziom wagę tego problemu i wyjaśnia konsekwencje słabej edukacji? A wykształcenie nasze, wg danych Narodowego Spisu Powszechnego, które podaje „Rocznik statystyczny 1994” GUS jako stan z roku 1988 – przedstawia się jak następuje<sup>15</sup>:

#### Wykształcenie ludności w wieku 15 lat i więcej

wyszczególnienie	Liczba osób objętych spisem - w tysiącach		
	Ogółem	Miasta	Wieś
Ogółem	28269	17481	10788
Wyksz. wyższe	1838-6,5%	1640	198
wyksz. średnie	6980-24,8%	5565	1415
wyksz. zasadnicze*	6666	4060	2606
zawodowe	10961	68,7%	5652
wyksz. podstawowe			5309
wyksz. niepełne podst. i bez wykształcenia	1721	509	1212

\* tego typu wykształcenia nie klasyfikuję jako „wykształcenie średnie”

13. E. Mistewicz: „Zielona alternatywa”, *Wprost* Nr 37, 10.09.95.

14. *Mały Rocznik Statystyczny 1995*, GUS, W-wa 1995, s. 196.

15. *Rocznik Statystyczny 1994*, GUS, W-wa, s. 54; odsetki wyliczyłam sama.

Jak widać – w 1988 r. 68,7% społeczeństwa miało wykształcenie poniżej średniego, przy czym wystąpiły bardzo istotne różnice na niekorzyść mieszkańców wsi. W ciągu minionych 7 lat (do 1995 r.) te smutne liczby zapewne się trochę poprawiły. Niektóre zasadnicze szkoły zawodowe zlikwidowano (jak sądzę – głównie przyzakładowe, z braku środków na ich utrzymanie). Obecnie ujawnia się pozytywna tendencja do spadku liczby uczniów w tych szkołach, natomiast wzrostu w średnich szkołach ogólnokształcących, dających najszersze podstawy do późniejszego kształcenia zawodowego – w szkołach policealnych i wyższych uczelniach. Zwiększa się też liczba studentów i słuchaczy szkół policealnych, coraz liczniejszych i bardziej zróżnicowanych.

#### Uczniowie szkół (stan na pocz. r. szk. 1994/5)

– w tysiącach:<sup>16</sup>

wyszczególnienie	1990	1991	1992	1993	1994
- podstawowych	5287,0	5310,5	5312,6	5278,4	5195,6
-średnich:					
• ogólnokszt.	445,0	499,8	555,8	602,4	648,6
• technicznych i zawodowych	1451,1	1477,9	1502,0	1534,1	1557,8
•• w tym zasadn. zawodowych	814,5	806,2	792,8	769,5	745,8
- policealnych	108,3	100,9	95,9	110,8	131,5
- studenci szkół wyższych – stan w dn. 31.12.94	403,8	428,2	495,7	584,0	682,2

Na razie te pozytywne tendencje budzą pewne nadzieje, tym bardziej, że jeśli spojrzeć też na polskie szkolnictwo na tle innych krajów Europy, to znów ogarnia ciężka melancholia. Ograniczę się tylko do dwóch orientacyjnych porównań.

I tak – na początku roku szk. 1991/2 (nowszych danych nie mam) na 1 tysiąc ludności mieliśmy w Polsce 13 uczniów w średnich szkołach ogólnokształcących, a aż 38 w średnich

16. *Mały Rocznik Statystyczny 1995*, GUS, W-wa 1995, s. 418.

szkołach zawodowych. Natomiast w tym czasie we Francji było 75 uczniów w średnich szkołach ogólnokształcących, a tylko 23 w zawodowych. Stosunek w przybliżeniu 1:3, tylko akurat odwrotnie.

Gorzej niż u nas rzecz się miała np. w Rumunii: 11 uczniów w szkołach ogólnokszt., a 41 w zawodowych – ale czy to pocieszające?

W roku akad. 1991/2 na 10 tysięcy ludności mieliśmy w Polsce 140 studentów, a we Francji było ich 300. (W Rumunii też gorzej: 71 wg danych z 1989 r.)<sup>17</sup>

Tak więc – stan wykształcenia naszego społeczeństwa powinien stać się jednym z centralnych zagadnień polityki społecznej państwa. Wiedza o przyszłych konsekwencjach zaniedbań w tej dziedzinie powinna być upowszechniona tym bardziej, że starsze pokolenie (i nie tylko ono) wciąż może ulegać złudzeniu, że co jak co, ale oświata w PRL stała się powszechną własnością: przecież po 1945 r. zlikwidowano analfabetyzm jako zjawisko społeczne, nastąpił awans oświatowy robotników i chłopów, m.in. przez preferencyjne punkty za pochodzenie społeczne przy egzaminach na studia. Budowano „1000 szkół na 1000-lecie państwa polskiego”, organizowano szkoły „zbiorcze” na wsi, aby eliminować małe szkoły i wyrównać start dzieci i poziom nauczania. Wydawano tanie książki i podręczniki itd. Tak to było, ale – pomijając tu analizę i ocenę tych poczynań – po prostu minęło już wiele lat i skutki długofalowej polityki oświatowej w powiązaniu z sytuacją gospodarczą PRL obecnie są – jakie widzimy. Świat zachodni przez ten czas nie stał w miejscu, zrozumiano, że inwestowanie w ludzi jest bodaj najbardziej opłacalne, kształcono więc mózgi własne i kupowano cudze (w tym także polskie) – te najzdolniejsze, jeśli udało im się wyrwać tam, gdzie oferowano dobre warunki pracy i płacy, perspektywy rozwojowe i wolność.

Bo przecież – przy ogólnie miernym stopniu wykształcenia społeczeństwa jako całości – wiele polskich szkół średnich i wyższych utrzymywało wysoki poziom, zwłaszcza w dziedzinie nauk matematyczno-przyrodniczych i technicznych. (Nauki humanistyczne i ekonomiczno-społeczne nie

17. *Rocznik Statystyczny 1994*, GUS, W-wa 1994, s. 572 i 480.

tylko podlegały, jak wiadomo, presji polityczno-doktrynalnej, ale też w dziedzinach tych łatwiej robiono kariery naukowe z powodów pozanaukowych, zwłaszcza w latach 60-70-tych, gdy wykruszała się przedwojenna kadra profesorska, co przyniosło ewidentny regres jakości tych studiów. Od ponad 10-ciu lat inny duch towarzyszy pracy naukowej i dydaktycznej, co daje efekty w obu tych dziedzinach). Podzielim opinię prof. A.K. Wróblewskiego, który powiedział o uczelniach: „Nasz system kształcenia, generalnie rzecz biorąc, jest bardzo zły pod względem organizacyjnym, natomiast merytorycznie – na szczęście – nadal dobry. Najważniejsze uczelnie, a więc większość uniwersytetów, szkół technicznych i niektóre akademie medyczne można bez obawy zaliczyć do najlepszych ośrodków światowych”<sup>18</sup>.

Także poziom wymagań, jakie – wg założeń programowych – stawia uczniom polska matura, jest wysoki, a w ostatnich latach pojawiają się w całym kraju coraz ciekawsze tematy pisemnych egzaminów maturalnych, prowokujące do samodzielnego myślenia. Są jednak z pewnością bardzo duże różnice między szkołami, a dotychczasowa forma matury, dopuszczająca zbyt wiele subiektywizmu w ocenach prac i odpowiedzi, zdawana w dodatku we własnej szkole – od dawna budzi wątpliwości (do sprawy matury jeszcze powrócę). Do lepszego wykształcenia średniego przyczyniają się obecnie liczne, nowe podręczniki, choć bywają wśród nich i za obszerne i za trudne (faktografia, liczba nowych pojęć, język itp.). Po długich latach korzystania z jednego tylko podręcznika, przewidzianego dla danej klasy i przedmiotu, zrozumiałe jest „odreagowanie” i nie tylko wydanie na nowo opracowanych podręczników (przede wszystkim z przedmiotów humanistycznych: historii, nauki o społeczeństwie, literatury, nawet języka polskiego – co jest oczywiste), ale też dostarczanie szkole podręczników równoległych – do wyboru przez nauczyciela. Należałoby też zbadać, z jakich podręczników nauczyciele rzeczywiście korzystają, a jakie pomijają – i dlaczego? Może tu przecież decydować przyzwyczajenie do znanych, choć mniej wartościowych pod-

18. „Dyktat nieuków”. Rozmowa z prof. A.K. Wróblewskim, *Wprost* Nr 29, z dn. 16.07.95.



ręczników, czy też nieznamość nowych, zbyt już licznych i drogich. Jest to zagadnienie ważne nie tylko ze względów merytorycznych, lecz także ekonomicznych i organizacyjnych (obecny stan rzeczy sprawia, że podręcznik staje się książką drogą i jednorazowego użytku, a chyba jeszcze nas na to nie stać).

Są jednak podstawy do nadziei, że przy doskonaleniu organizacji szkolnictwa, korektach systemu i zmianach w przygotowaniu nauczycieli do zawodu (o czym dalej napiszę) – da się ocalić to, co jest najlepszego w dorobku i tradycjach polskich szkół wyższych i średnich.

Natomiast najboleśniesz jest to, że ponad połowa współczesnego polskiego społeczeństwa nie trafiła – jak dotąd – do tych szkół i nie dane jej było poznać, czym może być satysfakcja z rozwoju intelektualnego i uczestnictwa w świecie kultury wysokiej. Przykro jest pomyśleć, że osoby z niskim wykształceniem nie są w stanie być odbiorcami np. ambitnej publicystyki polityczno-społecznej czy kulturalnej, gdyż jest ona dla nich za trudna pojęciowo i językowo. Ponadto – inwazja łatwej kultury obrazkowej (TV, video) powoduje zanikanie potrzeby czytania. Niepokojący jest spadek liczby punktów bibliotecznych oraz prenumeratorów prasy, zwłaszcza na wsi<sup>19</sup>.

Wniosek: trzeba tworzyć klimat i motywację dla zainteresowania społeczeństwa wykształceniem. Dopóki nie zrozumie ono, że bez poprawy w tej dziedzinie będziemy lekceważeni w Europie i dokąd wykształcenie nie będzie opłacalne prestiżowo i materialnie – nie będzie powszechniejszego dążenia do zdobywania wiedzy. Wielu mówi: „I bez tego można nieźle żyć, bo co to daje?” – gdyż nie wiedzą i nie rozumieją, co to daje.

19. Pisał o tym już w 1992 r. socjolog z UW A. Sulek („Co czyta wieś?”, *Życie Warszawy* z dn. 7-8.11), zamykając swój artykuł konkluzją, że: „...jeśli obserwowana tendencja utrzyma się, to za parę lat, w końcu XX w. gazeta będzie na wsi równą rzadkością, jak była na początku tego wieku”. Nowszymi wynikami badań tego zjawiska nie dysponuję.

### 3. Co warto wiedzieć o szkole?

#### Wybrane zagadnienia, trochę marzeń...

Aby odpowiedzialnie pisać o aktualnym stanie ogólnym naszego szkolnictwa i szerzej – oświaty, trzeba by znów mieć materiały na miarę zebranych pod kierunkiem socjologa, prof. J. Szczepańskiego<sup>20</sup> i dydaktyka prof. Cz. Kupisiewicza<sup>21</sup>, gdy w latach 70-tych i 80-tych opracowywano „Raport o stanie oświaty” i projekty reform szkolnych, które to dokumenty – nie wykorzystane – pozostały w archiwach i weszły do skomplikowanej i dramatycznej historii oświaty w PRL.

Zatem – pozostawiając specjalistom badania i studia (jeśli znajdą się na nie fundusze) i nie aspirując ani do ogarniania szerszego kręgu spraw, ani wyrażania „jedynie słusznych” opinii – chciałabym zatrzymać się nad kilkoma wybranymi zagadnieniami, ważnymi z punktu widzenia nauczyciela, który chciałby, aby polska szkoła była dobra.

Za najważniejszą z punktu widzenia jej znaczenia dla podnoszenia poziomu wykształcenia społeczeństwa – trzeba obecnie uznać szkołę podstawową. To jest fundament dla późniejszej, zróżnicowanej już edukacji. Powszechność nauczania w tej szkole, wynikająca choćby z prawnego obowiązku, powinna być obecnie w wolnej Polsce – okazją do wyrównywania startu i szans dzieci ze wszystkich środowisk społecznych oraz poznawania uczniów najzdolniejszych, aby umożliwić im dalsze kształcenie, bez względu na warunki materialne rodziny.

Okazję tę powinny wykorzystać wszystkie instytucje, prowadzące te szkoły: kuratoria, gminy, społeczne stowarzyszenia oświatowe, związki wyznaniowe, a także osoby prywatne. Nie wchodząc w szczególności prawne i możliwe różnice w statutach szkół niepaństwowych – można powiedzieć, że mają one dużo swobody w angażowaniu dyrektorów i personelu dydaktyczne-

20. „Raport o stanie oświaty w PRL”, Komitet Ekspertów dla Opracowania Raportu o Stanie Oświaty, PWN, Warszawa 1973.

21. Cz. Kupisiewicz: „Zarys koncepcji i przebudowy systemu szkolnego w Polsce”. PWN, Warszawa 1988.

go, medycznego i administracyjnego. I niech z tego korzystają!

Nie ulega jednak wątpliwości, że długo jeszcze najwięcej będzie szkół państwowych i gminnych choćby ze względu na wysokie koszty kształcenia w innych szkołach. Zresztą – w małych miejscowościach mogą być tylko takie szkoły, ze względu na niewielką liczbę dzieci. Szkoły przekazywane w gestię gmin powinny być oddłużone, ale – mimo to – czy gminy będą w stanie zapewnić możliwie najlepszą obsadę i wyposażenie szkół, aby stworzyć perspektywy kształcenia dla swoich własnych dzieci? Wiele będzie zależało od zakresu możliwości samorządów terytorialnych i ich dojrzałości do zadań, jakie przed nimi staną.

W sytuacji narastającego zróżnicowania organizacyjnego szkół zmieniać się powinna bardzo szybko rola władz szkolnych. Transformacja powinna iść w kierunku zasadniczych ograniczeń administracyjnych (przejmą ją np. gminy) – na rzecz rozwoju i dużej aktywności dobrego, merytorycznego nadzoru pedagogicznego. Wszystkie szkoły, a szczególnie nowe, bądź wchodzące w nowe sytuacje, powinny być systematycznie i starannie wizytowane, lekcje – hospitowane, aby dokładnie poznawać warunki pracy dzieci i pomagać nauczycielom w doskonaleniu zawodowym. Dlatego absolutnie konieczne jest, aby wizytatorami byli najlepsi, doświadczeni nauczyciele, mądrzy przyjaciele szkoły, opiekunowie młodszych kolegów, dla których celem zasadniczym będzie jednak interes dzieci. Być może trzeba będzie stopniowo i konsekwentnie wymieniać kadrę wizytatorów – tych, którzy nimi zostali z powodów pozamerytorycznych (ale od 1980 r. minęło już 15 lat i być może wiele takich osób już odeszło). Nie mało jest dobrych nauczycieli i trzeba się zastanowić, jak można zorganizować ich pracę wizytatorską (np. w trybie pracy zleconej). Nadzór pedagogiczny powinien być także dobrze zorientowany w poziomie wykształcenia nauczycieli w swoim rejonie. Powinny istnieć różne formy dokształcania i podnoszenia kwalifikacji. Byłoby też pożyteczne, aby wizytatorzy inspirowali samokształcenie w szkolnych radach pedagogicznych, potrafili służyć wskazówkami, pomysłami, bibliografią. Klimat umysłowy pokoju nauczycielskiego to bardzo ważna sprawa – tam, gdzie się myśli i dyskutuje o tym, jak uczyć – lepiej się uczy. Np. trudnym progiem dla

ucznia szkoły podstawowej jest przejście od poziomu i metod nauczania początkowego (kl. I-IV) do poziomu wyższego (kl. V-VIII), czemu towarzyszy zmiana nauczycieli, metod postępowania, wymagań. Nauczyciele dobrze znający psychologię rozwojową wieku dziecięcego i świadomi sytuacji ucznia potrafią przeprowadzić go przez ten próg pomyślnie i z rozbudzeniem ambicji, oszczędzając zaskoczenia i zniechęcenia trudnościami. Do wielu problemów w szkole trzeba wciąż powracać, aby pogłębiać ich znajomość, a także dlatego, że przychodzą nowi nauczyciele.

Bardzo wątpliwa wydaje się korzyść dzieci z utrzymywania klasy VIII w szkole podstawowej. Są to już 15-latki, dla których dotychczasowe środowisko dziecięce, a także nauczycielskie jest już nieodpowiednie, nie stwarza możliwości rozwojowych właściwych dla tego wieku. Gdyby kl. VIII była przeniesiona do szkoły średniej i np. potraktowana jako propedeutyczna w liceum, byłoby to dla tej młodzieży o wiele krzystniejsze.

W toku nauczania powinny być prowadzone przez nadzór pedagogiczny w miarę zobiektywizowane badania wyników nauczania, traktowane przede wszystkim jako ważny materiał diagnostyczny, który powinien służyć jako podstawa do analizy, mającej na celu poprawianie jakości pracy nauczyciela. Wizytatorzy przedmiotowi powinni być też zorientowani, jakie metody i narzędzia kontroli i osiągnięć uczniów stosują i opracowują sami nauczyciele (tzw. testy „nauczycielskie”, ciekawe zadania i tematy prac), aby najlepsze z nich popularyzować, a niedobre eliminować.

Gdyby tak w wyniku ukończenia szkoły podstawowej uczeń umiał: poprawnie wyrazić na piśmie własne myśli (w zakresie treści nauczania), gdyby umiał czytać ze zrozumieniem właściwe dla jego poziomu lektury, dość sprawnie korzystać z podstawowych źródeł wiedzy (podręczniki, encyklopedie, słowniki, bibliografie i katalogi); znać podstawowe techniki uczenia się i samokontroli wiedzy, co dałoby mu podstawy do samokształcenia, to... to jest właśnie wkroczenie w sferę marzeń. Ale – czemu nie? Nauczyciele powinni być marzycielami.

Konsekwencje zróżnicowania organizacyjnego szkół średnich są takie same jak w szkołach podstawowych. Istnienie pozapaństwowego szkolnictwa średniego otwiera przed nim nowe możliwości – już obecnie istnieją klasy, w których realizuje się programy tzw. autorskie (wymagałoby to b. uważnej analizy i badania rezultatów), wprowadza indywidualizację nauczania w systemie tutorskim, swobodnie dysponuje liczbą godzin głównie języków obcych, przestawia niektóre partie materiału itp., ale przy tym wszystkim – jeśli szkoła niepaństwowa ma dawać uprawnienia państwowego liceum, to jej abiturienti zdają egzaminy pisemne według tematów nadesłanych z kuratorium, a egzaminy ustne muszą spełniać warunki regulaminu, tj. obejmować zakres wiedzy przewidziany w programie nauczania przez MEN. Egzaminy wstępne na uczelnie zdają wszyscy jednakowe niezależnie od tego, z jakiej szkoły pochodzą.

Stan ten powoduje – przy wszystkich zmianach wprowadzanych do procesu nauczania – że istnieje poważna „ilościowa presja” na realizację programu, aby uczeń mógł sprostać zdaniu wciąż „państwowej” matury i zostać przyjętym na studia, bo przecież i on sam, i rodzice – tego głównie oczekują, płacąc niemałe czesne (ok. 2,5 mln starych zł. mies.). Tak więc repetycje przedmaturalne są, z konieczności, inną pracą niż normalne lekcje – ich tematy są często b. obszerne, przekrojowe i równie obszerne są prace pisemne. Wszystko to wymaga przypominania sobie mnóstwa rzeczy – od starożytności po współczesność. I nie wiadomo, czego wtedy jest więcej: obciążenia pamięci, czy ćwiczenia takich operacji, jak np. stawianie tezy, dowiedzenie, porównywanie, analiza i synteza – bo przecież trzeba to wszystko robić na jakimś materiale...<sup>22</sup>

Zmiana tego stanu rzeczy byłaby bardzo pożądana, ale wymagałoby to zmiany formuły matury, a także – konsekwentnie – zmiany egzaminów na studia wyższe. Przez wiele lat uczelnie stosowały zasadę „egzaminy bez tajemnic” i na

22. Ale – przeglądając testy do pisemnych egzaminów maturalnych we Francji – także można mieć wątpliwości co do tego, na ile egzekwują one „wiedzę pamięciową”, a na ile – umiejętność samodzielnego myślenia. Niełatwo jest opracować dobre testy, choć jest to cenne narzędzie kontroli z uwagi na obiektywizację oceny wyniku egzaminu.

wielu wydziałach publikowały zestawy tematów do egzaminów ustnych. Np. w 1988 r. zestaw tematów dla kandydatów na polonistykę UW obejmował ze wszystkich działów gramatyki opisowej i wiedzy o literaturze – łącznie 378 tematów. Naturalnie uczniowie oczekiwali od nauczyciela, że pomoże w ich opracowaniu, co także wywierało presję na charakter i zakres pracy w klasie maturalnej. Obecnie na polonistyce stosuje się test, co akurat na filologii nie jest najlepszym rozwiązaniem i nie powinno się tu rezygnować z formy rozprawki.

Z pewnością sytuacja dojrzała do tego, aby zmienić u nas wywodzącą się jeszcze z tradycji końca XVIII w. maturę (Prusy 1788), opracować nową jej formę i nadać inny status prawny. Obecnie, wkrótce po egzaminie maturalnym absolwent zdaje drugi egzamin – wstępny, bo matura nie jest wystarczającym dowodem przygotowania do studiów. Od dość dawna zdawano sobie sprawę z konieczności zmian, ale – jak dotąd – MEN wprowadzało tylko korekty, dotyczące zróżnicowania matury w różnych profilach kształcenia (mat.-fiz., biol.-chem., humanist.). Sprawa ta czeka na rozstrzygnięcie.

Życie przyniosło średnim szkołom społecznym niespodzianki często dalekie od idei, jakimi kierowali się ich założyciele. Mimo wysokiego czesnego szkoły te borykają się z dużymi problemami finansowymi (wysokie koszty najmu lokali, konieczność zakupu wyposażenia – nierzadko od zera, niemałe koszty w miarę atrakcyjnej oferty wychowawczej: zajęcia pozalekcyjne, sport, wycieczki itp., chęć przyciągnięcia nauczycieli (zwłaszcza poszukiwanych specjalności) nieco wyższą pensją – wszystko to niełatwo jest szkole zapewnić. Trudności te są jednak naturalne i z czasem powinny być łagodniejsze. Są jednak i inne.

Bardzo różnymi motywami kierują się rodzice, przysyłający swe dzieci do tych szkół. Jedni liczą na staranniejsze wykształcenie (mniejsze klasy, może lepsza obsada), i lepszą opiekę wychowawczą (choćby z lęku przed narkotykami, alkoholem, chamstwem). Nie zawsze są zamożni, więc dokonują dużego wysiłku by kształcić swe dzieci. A są one czasami bardzo zdolne. Jest to młodzież wartościowa i zwykle, dzięki swej aktywności oraz poziomowi umysłowemu i moralnemu, tworzy dobry klimat w zespołach klasowych. W niej nadzieja tych szkół. Ale jest niemała liczba rodziców, którzy lokują

tam uczniów słabych, wiedząc, że nie daliby sobie rady w dobrym, państwowym liceum. Tu są oni przyjmowani, zwłaszcza na początku istnienia szkoły, gdy musi mieć ona odpowiednią liczbę uczniów, aby się utrzymać. Stwarza to, mimo niewielkiej liczby uczniów w klasie (np. 15) bardzo poważne różnice ich poziomu i skali możliwości, a w konsekwencji wymaga ciężkiej, wnikliwej i zindywidualizowanej pracy nauczyciela, aby słabych „ciągnąć wzwyż”, a zdolni nie musieli „równać w dół”, bo jest to nie do przyjęcia. Stan ten nie tak szybko może się zmienić, bo społeczeństwo – ogólnie biorąc – jest zubożałe i wiele dobrych i świątłych rodzin nie stać na szkołę społeczną. Szkoły te muszą z trudem wypracowywać sobie wysoką markę, aby to one decydowały o doborze uczniów. Sytuację mogłyby tu poprawić bony edukacyjne (będące formą dotowania rodzin, a nie szkół), gdyż rodzice wówczas mogliby je wykorzystywać zgodnie ze swą wolą i więcej rodzin byłoby stać na szkoły społeczne, co rozszerzyłoby liczbę kandydatów. Idea taka istnieje i – być może – doczeka się realizacji.

(Dokończenie nastąpi)

*Pola ŻYDKOWICZ*

## Wiersze

Stanisław DŁUSKI

### KROPLO MIŁOŚCI

(dla żony, Aliny)

Kropło rosy, zmęczona  
spadaniem, ciepły  
policzku, listku  
rozkoszy, dłonie  
rozmawiają z dłońmi,  
powieki obok siebie  
drżą. Kropla jasna  
i kropla ciemna  
spływają w usta,  
słono, morze jest  
słoną miłością i my  
w nim toniemy,  
delikatnie żywi

Stanisław DŁUSKI

Wacław IWANIUK

### POWRÓT DO DOMU

My umieramy, a czas się nie starzeje  
robi z nami co chce, nie patrząc nam w oczy  
tak jakby nasze życie zgoła nie istniało  
lub było małżą ukrytą w skorupie.

Przed snem, jak Galileusz, patrzę gwiazdom w oczy  
 błękit czasem błękitny a niebo niebieskie  
 a o ile go nie ma, szukam go we śnie.

Kiedyś podróżowałem, byłem tu i tam  
 w krajach nieznanymi, mówiłem nieznanym językiem  
 dziś mówię własnym z domieszką lubelską  
 tym samym, chropowatym, którym piszę wiersz.  
 Mój ojciec od lat pielęgnował ziemię,  
 matka wierzyła w Biblię i niebo po śmierci –  
 ojciec patrzył na matkę, uśmiechał się pod wąsem  
 i szedł do karczmy na okocimskie piwo.  
 Były to wczorajsze czasy i ludzie wczorajsi –  
 Dziś ich wspominam gdy pracuję w ogrodzie  
 i gdy piszę wiersz.

Wacław IWANIUK

Ks. Jan SOCHOŃ

SIŁA

Teresie

Trzeba mocno objąć.  
 Nie dopuszczać zniechęcenia  
 ani strachu, leczyc rany  
 natychmiast, cierpliwie  
 wsłuchiwać się w mowę  
 oczu i ciała.

Nigdy nie dać się przekonać  
 żadnym koniecznościom.

Miłość w bólu  
 jest silna.

Ksiądz Jan SOCHOŃ

## Archiwum polityczne

### Balticum

Czterdziesta siódma sesja Rady Nordyckiej rozpoczęła się w fińskim mieście Kuopio od nieformalnego spotkania premierów w dniu 12 listopada 1995.

Rada Nordycka jest politycznym organem powołanym w celu współpracy parlamentów i rządów nordyckich pięciu państw i trzech terytoriów autonomicznych, a więc Danii (z Wyspami Owczymi i Grenlandią), Finlandii (ze szwedzkojęzyczną wyspą Åland), Islandii, Norwegii i Szwecji. *Norden* jest pojęciem szerszym niż Skandynawia.

Uczestnicy spotkania w Kuopio nie mogli uskarżać się na brak problemów do dyskusji. Podstawowy skądinąd dylemat *Norden* wynika z faktu, iż tylko trzy państwa tej strefy (Dania, Finlandia i Szwecja) są członkami Unii Europejskiej. Trwają prace nad projektem *Nordisk nytte*, sprowadzającym się do oceny obecnej działalności 47 ogólnonordyckich instytucji i przeróżnych komitetów współpracy. Redukcją tego potężnego aparatu biurokratycznego zainteresowane są Dania i Szwecja, których wkład finansowy w budżet Rady Nordyckiej jest największy i wynosi 135 milionów USD.

W Kuopio dyskutowano także obszernie o projekcie budowy gazowego rurociągu z Norwegii przez Szwecję, Bałtyk i Finlandię do państw bałtyckich. Rząd szwedzki ustosunkował się pozytywnie do idei ogólnonordyckiego projektu gazowego – powiedział premier Szwecji, Ingvar Carlsson, na wspólnej konferencji prasowej w Kuopio dn. 13 listopada ub.r. Projekt ten jednak musi obejmować cały obszar Morza Bałtyckiego oraz być związany z kompleksową oceną bezpieczeństwa energetyki jądrowej – dodał. Wypowiedź premiera Carlssona została przyjęta z entuzjazmem. Niezależnie bowiem od tego, jak bardzo Finowie i Bałtowie są zainteresowani norweskim gazem, losy całego projektu zależą od

Szwecji, przez terytorium której musiałby przechodzić ewentualnie rurociąg. A właśnie Szwecja do tej pory ustosunkowywała się do całego projektu bardzo chłodno.

Pomysł eksportu norweskiego gazu do Szwecji, Finlandii oraz państw bałtyckich nie jest nowy. Rada Nordycka debatowała nad nim już 7-8 marca 1994.

Należy pamiętać, że wobec niejasnej sytuacji politycznej w Rosji i Algerii, coraz większego znaczenia nabierają zasoby gazu w państwach dawnego ZSSR i w Norwegii. Nie jest przypadkiem, że gazociąg z Turkmenii do Pacyfiku ma przebiegać przez Uzbekistan, Kazachstan, Chiny, Koreę Południową i Japonię, z pominięciem Rosji, która nadal traktuje swoje naftowe rurociągi i gazociągi jako instrument ewentualnego szantażu politycznego. Umowę z Troll, której wartość według obecnych cen wynosi 88 miliardów USD, traktować trzeba za gazowy kontrakt stulecia, gdyż przez Zeepipe (do belgijskiego Zeebrügge) oraz Europipe (do Emden w Niedersachsen) Europa Zachodnia otrzyma łącznie... 1000 miliardów m<sup>3</sup> gazu. Gdyby rzeczywiście zapadła decyzja budowy kolejnego norweskiego gazociągu – tym razem przez Szwecję, Morze Bałtyckie, Finlandię do Tallina – w grę wchodziłaby eksploatacja pól Haltenbanken. Dla państw bałtyckich decyzja ta byłaby wielkim dobrodziejstwem, i nic dziwnego że Bałtowie oklaskami przyjęli cytowaną powyżej wypowiedź Ingvara Carlssona w Kuopio. Ostrożny premier szwedzki nieco przestraszył się tego entuzjazmu i zaraz zaznaczył, że interpretowanie jego słów jako zgody Szwecji na budowę gazociągu byłoby konstatacją przedwczesną: wprawdzie raport swój musi ogłosić reprezentująca wszystkie szwedzkie partie polityczne Komisja Energetyczna, a następnie rząd szwedzki rozważyć musi wszystkie pozytywne i negatywne konsekwencje energetyki gazowej. Najprawdopodobniej dopiero późną wiosną, po nadzwyczajnym zjeździe szwedzkiej partii socjaldemokratycznej (marzec 1996), poznamy odpowiedź, czy Bałtowie będą mogli liczyć na norweski gaz.

Dn. 31 października 1995 roku przedstawiciele rządu Łotwy oraz dwóch koncernów naftowych: amerykańskiego AMOCO i szwedzkiego OPAB podpisali w Rydze umowę o prowadzeniu prac poszukiwawczych i wydobywczych na bałtyckim szelfie. Tego samego dnia litewski ambasador w Rydze, Rimantas Karazija, został odwołany „na konsultacje” na znak protestu przeciwko tej umowie. Następnego dnia prasa szwedzka pisała o „wojnie naftowej między Łotwą i

Litwą”. Do wojny *sensu stricto* nie doszło i ambasador Karazija powrócił do Rygi, choć późniejsze łotewsko-litewskie rozmowy bynajmniej nie zlikwidowały trzyletniego już sporu obu państw o domniemane źródła ropy szelfu bałtyckiego.

Koncerny AMOCO i OPAB, które planują inwestycje wydobywcze rzędu miliarda dolarów, otrzymały po 45% akcji. Łotwie przypadnie 10% ewentualnego zysku, a ponadto pobierać będzie podatek licencyjny w wysokości 11% wartości wydobytej ropy. Litwa żąda równego podziału zysków lub możliwości wspólnego wydobywania ropy przez stworzone w tym celu konsorcjum litewsko-łotewsko-szwedzkie. Należy pamiętać, że granica morska między Litwą i Łotwą nie jest wytyczona.

Zasobność ewentualnych terenów roponośnych na bałtyckim szelfie nie jest znana. Szwedzcy specjaliści oceniają je na 20-25 milionów ton. Z punktu widzenia szwedzkiego koncernu jest to ilość niewielka. Inaczej jednak wygląda ona z perspektywy Litwy i Łotwy, dotychczas zależnych od importu z Rosji.

Stosunki między trzema państwami bałtyckimi są dość dziwne, w pewnym stopniu przypominają stosunki między Czechami i Słowacją. Przeciętna płaca na Litwie wynosi tylko 65% przeciętnej płacy w Estonii. W ubiegłym roku wzrost gospodarczy Estonii przewyższył dwukrotnie wzrost litewski. W przyciąganiu kapitału zagranicznego Litwa osiąga najgorszy wynik z trzech państw bałtyckich, a sytuacji nie poprawia fakt, że w pokółchozowym rolnictwie pracuje 1/3 ludności Litwy. Obiektywny obserwator musi przyznać, że pod względem zaawansowania reform Litwa pozostała w tyle. Ten stan faktyczny ma swoje odbicie w tak chętnie publikowanych na Zachodzie zbiorczych analizach i rankingach.

Bardzo znamienna jest analiza, którą opublikował w Szwecji profesor Åke E. Andersson z prestiżowego Instytutu Badań nad Przyszłością (*Institutet för Framtidsstudier*). Sztokholmski profesor bardzo skrupulatnie dokonał przeglądu państw Europy Wschodniej, stosując do ich oceny osiem ściśle ekonomicznych „kryteriów europeizacji”, a następnie stwierdził, że tylko jeden kraj wschodnioeuropejski spełnia wszystkie osiem kryteriów (Czechy), a dwa inne (Estonia i Słowacja) – kryteriów osiem. Prof. Andersson

dokonał następnie rankingu kandydatów do Unii Europejskiej w następujących trójkach:

1. Czechy, Estonia, Słowacja;
2. Węgry, Słowenia, Łotwa;
3. Polska, Litwa, Bułgaria.

Na Litwie doszło ostatnio do poważnego kryzysu politycznego, którego widowym objawem jest konflikt prezydenta z premierem. Algirdas Brazauskas wezwał premiera Szlezivicziusa do odejścia, używając do tego telewizji, a gdy to nie pomogło, z wnioskiem o dymisję premiera zwrócił się 29 stycznia 1996 do parlamentu. Przypomnijmy, że premier Szleziviczius wycofał 18 grudnia 1995 swoje prywatne oszczędności (135 tysięcy litów) z Banku Akcyjno-Innowacyjnego, którego działalność została zawieszona decyzją rządu w dwa dni później. Dwaj litewscy ministrowie: obrony – Linas Linkevičius i spraw zagranicznych – Povilas Gylys, złożyli wówczas rezygnację ze swych stanowisk w proteście przeciwko „nieetycznemu zachowaniu premiera” w związku z litewskim kryzysem bankowym. Trzeba podziwiać pryncypialność powszechnie szanowanego prezydenta Brazauskasa, który nie zawahał się wystąpić przeciwko swojemu partyjnemu koledze, ale konflikt ten i praktyczny rozłam w rządzącej Demokratycznej Partii Robotniczej nie poprawia opinii Litwy w zachodnich stolicach.

Estonia zrezygnowała z terytorialnych pretensji wobec Rosji już następnego dnia po zakończeniu sesji Rady Nordyckiej w Kuopio. W praktyce Estończycy przestali się upierać przy linii traktatu z Tartu z lutego 1920, gdyż zrozumieli, że państwo trwające w sporze granicznym z Rosją nie ma żadnych szans na przyjęcie do Unii Europejskiej, nie mówiąc już o NATO. Natomiast Litwa – pomijając osobny problem Kaliningradu – nie ma wytyczonej granicy morskiej z Rosją i zgłasza pretensje do eksploatowanego przez Rosjan złoża D-6. Litwini uważają więc, że jeżeli w energetycznym sporze ustąpią Łotwie, to tym bardziej będą musieli ustąpić Rosji.

30.01.1996

Stefan ABNER

## Wywiady „Kultury”

### Rozmowa z prof. Januszem Reykowskim:

PIOTR SKÓRZYŃSKI: – *Czy zgadza się Pan z tezą, że wyniki wyborów ukazały polaryzację społeczeństwa?*

JANUSZ REYKOWSKI: – Patrząc na kompozycję wiekową, na przepływy elektoratów między wyborami, można domniemywać, że te elektoraty nie dadzą się opisać przy pomocy jednoznacznych nalepek ideologicznych – np. postkomuniści czy postsolidarnościowcy. Stwarza to możliwość takiego ukształtowania sceny politycznej, która przypominałaby bardziej zaawansowane kraje demokratyczne, w których na ogół dominują dwie wielkie partie polityczne. Oczywiście istnieje przy takiej dwubiegunowości niebezpieczeństwo pogłębienia podziałów w społeczeństwie. Niemniej wytworzenie się takich dwóch obozów może oznaczać przejście do bardziej zaawansowanej formy demokracji.

P.S.: – *Czy mam rozumieć, że te dwa obozy mogą powstać dzięki zanikowi formacji centrowych?*

J.R.: – Nie, tak bym tego nie ujął. Między tymi obozami, którym przewodzą Kwaśniewski i Wałęsa, jest Unia, jest PSL, teraz wyłania się Olszewski – choć nie jest on oczywiście centrystą – jest jeszcze Unia Pracy, której los nie jest jeszcze przesądzony. Z drugiej strony trzeba stwierdzić wzrost potencjału agresji w Polsce: zwłaszcza wśród młodzieży. Można sobie wyobrazić, że znajdzie się siła polityczna, która ten potencjał postanowi wykorzystać.

P.S.: – *Czy wzrost tej agresji łączy pan ze wzrostem spożycia alkoholu, wskaźnika rozwodów i tego wszystkiego, co socjologzy nazywają anomią?*

J.R.: – Można to nazwać ogólnie ucieczką od wartości ponadindywidualnych – przy czym symptomem może być zarówno zjawisko „fali” w wojsku, wzrost narkomanii czy rozpad rodzin. Skąd się to bierze? Myślę, że z zawodu. Ludzie oczekiwali od przemian ostatnich 6 lat więcej niż one mogły im dać. Ten rodzaj frustracji pojawia się zawsze, gdy przemianom ustrojowym towarzyszą wielkie oczekiwania. Z drugiej strony podobne zjawiska są widoczne także w krajach wysoko rozwiniętych i określane są jako choroby cywilizacji.

P.S.: – *Czy to znaczy, że to nieunikniona cena?*

J.R.: – Nie, ja tak nie uważam: uważam, że Zachód nie jest doskonałym wzorem, który powinniśmy ślepo naśladować. Ale jeśli mnie pan zapyta o recepty, to przyznaję, że na ekonomii po prostu się nie znam.

P.S.: – *Czy działając w PZPR jako reformator przewidywał pan jak to się potoczy?*

J.R.: – Nie, przyznaję, że nie – nie mogłem sobie wyobrazić rozpadu ZSSR. Natomiast widzę pewien swój wkład w doprowadzenie do tego niezwyklego faktu, że możemy rozwiązywać konflikty nie uciekając się do przemocy. Dlatego tak mnie niepokoi poziom agresji widoczny w wystąpieniach pana Wrzodaka.

P.S.: – *Ale przyzna pan, że antykomunistów ze strony establishmentu jak dotąd spotykały tylko inwektywy.*

J.R.: – Tu się chyba różnimy, bo ja tej agresji prasowej nie widzę. Ale trudno się tu uwolnić od subiektywnej oceny. Moim zdaniem dominuje jednak antykomunizm – tyle, że ogólny, bardziej teoretyczny niż konkretny. Ja bardzo cenię środowisko Unii Wolności, że zrobili rewolucję bez rewolucji, bez ograniczania praw komunistów. Co nie znaczy, że wszyscy członkowie Unii mają identyczne poglądy w tej kwestii.

P.S.: – *Czy jest to linia przyszłego podziału? Pytam pana jako psychologa z doświadczeniem politycznym.*

J.R.: – Wie pan, moje doświadczenie mówi mi, że w ramach danej struktury politycznej mogą być grupy, które nie cierpią się wzajemnie, albo nawet nienawidzą, jak to było z reformatorami i betonem w PZPR. Dla mnie cała prawa strona obozu postsolidarnościowego, łącznie z Unią Wolności, ma jednak ogólnie podobny, to znaczy potępiający stosunek do PRL.

P.S.: – *Jednak ukazał się wspólny artykuł Michnika i Cimoszewicza, a chyba nikt nie byłby sobie w stanie wyobrazić wspólnego artykułu Michnika i Macierewicza – choć obaj przecież byli w KORze.*

J.R.: – Widzi pan, między Kwaśniewskim a Kuroniem nie ma może w ich sposobie myślenia tak drastycznych różnic – ale jednak różnice tradycji, symboliki, przeszłości są zbyt silne, by mogli stworzyć dziś jakąś wspólną, powiedzmy wolnorynkowo-europejską formację. Ale dla mnie najbardziej frapujące jest właśnie to, że ci ludzie zdołali osiągnąć sposób koegzystencji. Jest niezwykle ważne, że dojrzelśmy w Polsce do wspólnego języka, którym można się porozumieć, w którym można rozmawiać i dogadywać się dla rozwiązywania problemów tego kraju. I dla mnie ci integralni, twardzi antykomuniści, o których pan mówił, o tyle zasługują na te epitety o ile nie chcą brać udziału w tym procesie dogadywania się dla rozwiązywania problemów tego kraju.

P.S.: – *Panie profesorze, ale pan tu prezentuje wizję permanentnego Okrągłego Stołu!*

J.R.: – Czymże jest porządek demokratyczny niż nieustanną debatą? Ona co jakiś czas kończy się głosowaniem, ale jedną z reguł demokracji jest ciągła zmiana relacji, tak żeby nie było permanentnie przegranych – bo wtedy system ulega destabilizacji. Głosowanie jest tylko jednym z instrumentów. Ale po to, żeby ten instrument był naprawdę efektywny, musi być poprzedzony dogadywaniem się, iżby to, co zostanie przegłosowane miało możliwie szeroki zakres poparcia.



P.S.: – *Permanently przegrana, przynajmniej w sensie materialnym, jest w Polsce od pół wieku formacja akowska i jej pokrewne. I jeśli dziś na przykład proponują ustawę analogiczną do czeskiej ustawy dekomunizacyjnej – to znów się dowiadują, że są zaplutymi kartami reakcji.*

J.R.: – Wie pan, wszystkich krzywd naprawić się nie da – niestety. Jeśli natomiast chodzi o Czechów, to ja im się nie dziwię: tam było znacznie ciężiej niż u nas. Musieli to odreagować.

P.S.: – *Ciężej dla laickiej inteligencji – bo represje i to krwawe wobec innych grup były w Polsce większe. I wie pan, kiedy mówi pan o wspólnym języku, to znów jest to wspólny język ludzi, którzy mają wspólne korzenie, ale inni są już izolowani.*

J.R.: – Rozumiem, że pana drażni ta laicka inteligencja. Ale bez jej zdolności do kompromisów nie byłby możliwy dialog, jaki tu w tej chwili prowadzimy. A to przecież jest najważniejsze: żeby własną subiektywność skonfrontować z cudzą. Bo wtedy obaj mamy szansę na inne, szersze spojrzenie.

P.S.: – *Tak, to prawda. Ale pojęcie kompromisu nie może być naczelną ideą partii politycznej. Zwłaszcza jeśli jednocześnie partia ta ogłasza się zgromadzeniem niepodważalnych Autorytetów. Myślę rzecz jasna o Unii Wolności – która w stosunku do lewicy proponuje kompromis, a wobec prawicy przybiera postawę kaptana wobec prostaków.*

J.R.: – Hm... Wiem, że się z panem nie zgadzam, tylko trudno mi powiedzieć w którym momencie... Chodzi chyba o to, że pan neguje skład osobowy tej elity, natomiast same pojęcie autorytetów jest panu, jako konserwatyście, chyba bliskie?

P.S.: – *Tak, ale to nie mogą być autorytety sztucznie narzucone.*

J.R.: – Tutaj nikt chyba panu nie będzie oponował –

przynajmniej jeśli chodzi o Unię. Natomiast co do kompromisu, to dla mnie jest czymś optymistycznym, że ludzie potrafią się zmieniać, że potrafią pozbyć się ideologicznych uprzedzeń i spotkać się gdzieś w połowie drogi – jak to miało miejsce z Adamem Michnikiem i Wojciechem Jaruzelskim. Pan jest człowiekiem religijnym, więc powinno być panu bliskie pojęcie duchowej przemiany w człowieku: przecież wielu świętych jej doświadczyło. Czy to nie jest pozytywny znak?

P.S.: – *Chrześcijanie uważają, że jest działanie Łaski. Co do Michnika, to jak na razie nic nie mówił, żeby miał jakieś objawienia. Mnie interesuje moment, w którym otwartość zmienia się w ugodowość. Chyba przyzna pan, panie profesorze, że właśnie owi najbardziej inteligentni przedstawiciele elit potrafią zbudować całą wielką piramidę intelektualną, która ma zracjonalizować ich akces do komunizmu. I tu okazuje się, że uczciwszy i mądrzejszy był zwykły człowiek z ulicy, który nie dał się – jak to określił Miłosz – pokąsać Hegłowi.*

J.R.: – Widzi pan, ja lubię rozmawiać z ludźmi przeciwnych mi opcji, bo sędzę, że obaj możemy w ten sposób inaczej spojrzeć na sprawy – a być może pozbyć się nawet jakichś uprzedzeń. Ale moje otwarcie na rozmówcę nie oznacza, że gotów jestem wyzbyć się lewicowych wartości i zmiany poglądów... Wie pan, czytałem niedawno wspomnienia Bujaka o jego ojcu. On go opisuje jako człowieka wiernego całe życie jednej idei – i niezachwianego w tej wierze. Otóż jest tak, że właśnie ludziom prostym, gorzej wykształconym łatwiej jest dochować tej wierności. Inteligenci mają skłonność do konfrontowania swoich poglądów z cudzymi – a to jest zabiegiem ryzykownym, gdyż może prowadzić właśnie do porzucenia swoich przekonań.

P.S.: – *Ale intelektualiści lewicowi znakomicie unikali konfrontacji z komunistyczną rzeczywistością.*

J.R.: – Jako psycholog mogę panu odpowiedzieć, że jest niemal niemożliwe uwolnić się od ideologicznych uprzedzeń i patrzeć na rzeczywistość bez tej odruchowej niejako selektywności. Natomiast jako ktoś, kto interesował się historią i

ma o niej pewną wiedzę, powiem tak: otóż w pierwszych dwóch dekadach naszego wieku pojawiło się wśród intelektualistów poczucie zawodu wobec demokracji – wobec faktu, że bardzo wiele problemów pozostawia ona nie rozwiązanych. Znalazło się wielu intelektualistów, którzy dali ideologiczną podstawę faszyzmowi i totalitaryzmowi. Czy jednak jest to dostateczny powód by postępować środowiska intelektualne? Albo żeby lekceważyć ich opinie? To tak jak z lekarzami: wiemy, że się mylą co jakiś czas, ale jesteśmy na nich skazani.

P.S.: – *Ale czy ludzie, którzy pomylili się tak głęboko – mają dziś tytuł do pouczania innych?*

J.R.: – Odpowiem panu tak, jak to zrobił niedawno biskup Pieronek, gdy na spotkaniu z Unią Pracy zasypano go przykładami dziecięcych księży i temu podobnych. Odparł mianowicie, że choć ludzie Kościoła są grzesznikami, to sama idea Kościoła jest święta, i jej grzechy nie dotyczą. I podobnie jest z marzeniem o powszechnej sprawiedliwości społecznej, które jest obecne w idei komunistycznej. Nie chcę oceniać innych. Kiedy przypominam sobie swój stan umysłu z okresu stalinowskiego, to widzę teraz, że doprowadził mnie do wielu rzeczy głupich i bezsensownych. Ale właśnie dlatego, że to pamiętam, to nie daję sobie prawa do osądzania innych. Choć oczywiście daję sobie prawo do ogólnych refleksji. I do komunikowania innym swoich doświadczeń.

P.S.: – *To jest pan wyjątkiem. Bo jeśli spojrzeć na intelektualistów, którzy wówczas byli głęboko zaangażowani po stronie władzy, to oni bynajmniej takiej wstrzeźliwości nie wykazują.*

J.R.: – Musielibyśmy rozpatrywać konkretne przypadki... Być może na przykład znalazłbym u Leszka Kołakowskiego, którego dobrze znam z tamtych czasów, poglądy, które mogłyby mnie razić. Zresztą, jak go pamiętam, należał do grona tych bardziej twardych ideologów spośród tych, którzy nas wtedy uczyli. On wtedy szczególnie atakował Kościół, jak to pamiętam. Ale Leszek Kołakowski jest bez wątpienia wybitnym umysłem i ma po prostu do powiedzenia wiele mądrych rzeczy. I on właśnie powiedział coś takiego, co mnie

bardzo przekonuje. Mianowicie to, że nie wszystko da się uregulować umową lub prawnie ustalonymi normami. Istnieje rola tradycji, tabu, pewnych kategorii osób lub środowisk. To są wszystko czynniki warunkujące stabilność społeczeństw. Ten aspekt myślenia konserwatywnego bardzo do mnie przemawia.

P.S.: – *Co do samej zasady to się tu spotykamy. Ale chyba rozchodzimy się zupełnie, gdy mowa o składzie osobowym owej elity. Panie profesorze, dziękuję za tę rozmowę, i za otwartość.*

*Rozmowę prowadził Piotr SKÓRZYŃSKI*

Prof. Janusz Reykowski, ur. 1929, psycholog, działacz polityczny, 1972 prof. UW, 1982 członek PAN; autor prac z dziedziny teorii emocji i motywacji; w latach 1988-1990 członek Biura Politycznego KC PZPR, współautor i uczestnik obrad Okrągłego Stołu.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

**KSIĘGARNIA POLSKA**

**Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria**

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja  
Volkstheater

**Tel. i fax: (1) 52 63 114**

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

## O religii bez namaszczenia

### Kościół żywy

Pisanie o Kościele żywym, o żywotności Kościoła, w polskim czasopiśmie prawie nazajutrz po spektakularnej klęsce kościelnego *establishment*'u, jaką były wybory prezydenckie, zdaje się zakrawać na niewczesną ironię. A jednak wcale nie zamierzam ironizować. Na dobrą sprawę polityczne niepowodzenie (klęska jest może zbyt ciężkim słowem) kierownictwa polskiego Kościoła ma niewiele wspólnego z jego religijną funkcją, która jest jego racją bytu. To, że biskupi będą mniej pomstowali na komunizm (którego już nie ma) czy że biskup Sławoj Głódź będzie mniej komenderował wojskiem, może mu wyjść tylko na dobre. Życie religijne milionów wierzących Polaków będzie biegło takim samym trybem jak dotychczas. Ożywieni swą wiarą dobrzy ludzie, zarówno świeccy jak i duchowni, tak zakony jak i świeckie organizacje, będą tak jak dotychczas dobro czynić, choć tylko najbliższe otoczenie będzie o tym wiedziało i najwyżej lokalna gazeta coś o tym napisze. Niektóre przejawy tego życia duchowego wywołają szersze echo i zatoczą szersze kręgi, jak dla przykładu akcje Janiny Ochojskiej czy spektakularny *respons* zwłaszcza młodych ludzi na doroczny apel Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy pod batutą Jerzego Owsiaaka. (Ta ostatnia akcja nie jest może *explicité* religijna, ale mało kto chyba zaprzeczy, że jej inspiracja jest z gruntu chrześcijańska.) Nie mniejszym przejawem żywotności Kościoła było doroczne Międzynarodowe Spotkanie Młodych, zorganizowane przez sławną Wspólnotę Taizé już po raz drugi w Polsce, we Wrocławiu, w dniach od 28 grudnia do 1 stycznia 1996. Poprzednie odbyło się również we Wrocławiu na przełomie lat 1989/90.

Przy tym ewenemencie chciałbym się nieco dłużej zatrzymać, bo był on częścią szerszego ruchu, który jest przykładem jednej ze specyficznych form, w jakich się żywotność Kościoła w naszych czasach przejawia. Taizé jest wspólnotą zakonną, złożoną z przedstawicieli wszystkich trzech głównych wyznań chrześcijańskich: protestantów, katolików i prawosławnych (w tej kolejności, bo jej założyciel i przeor Brat Roger Schutz jest protestantem) – rzecz do niedawna jeszcze nie do pomyślenia. Jest rzeczą znamionną, że pierwszy katolik został przyjęty do wspólnoty Taizé za zgodą władz kościelnych i bez zmiany wyznania, na początku lat 60-tych, które były też latami II Soboru Watykańskiego. Ale ten drobny lecz znamionny akt dokonał się zupełnie niezależnie od Soboru. Taki po prostu był duch czasu, rzecz by można, że był to spontaniczny powiew Ducha, „który wieje kędy chce”, niezależnie od wszelkich ludzkich planów. Ludzki Kościół, instytucja kościelna zaakceptowała potem ten akt, ale w sposób niepełny, bo Taizé pozostaje po dziś dzień, od z górą 30 lat, jedynym przykładem tak wyraźnie ekumenicznej wspólnoty – mimo, że Sobór w międzyczasie uchwalił swój epokowy dekret o ekumenizmie. Zaakceptował Taizé nader konserwatywny i ledwo tknięty duchem Soboru Kościół polski (zasługa to chyba nade wszystko arcybiskupa Wrocławia kard. Gulbinowicza) i w rezultacie wszystkie kościoły Wrocławia rozbrzmiewały przez kilka dni różnojęzycznym gwarem 70.000 młodych ludzi, którzy tu zjechali z wszystkich bodaj krajów Europy, a także spoza Europy, by się wzajemnie poznać i razem modlić. Zaakceptował Taizé nasz bardzo konserwatywny papież, który już blisko 10 lat temu z okazji wizyty we Francji odwiedził również Taizé.

Wynika z tego, że istnieje jakaś niezależność, nawet niewspółmierność między wewnętrznym życiem religijnym wielkich rzesz ludzkich a oficjalną doktryną i praktyką kościelną. Bo przecież nawet posoborowe chrześcijaństwo bardzo dalekie jest od formalnego zjednoczenia i Taizé pozostaje wyjątkiem, tak jak wyjątkiem pozostają zgoła formalne tylko i pozbawione większego znaczenia, dni wspólnych modlitw w czasie dorocznej ekumenicznej oktawy, której kulminacyjnym punktem ma być raczej niż faktycznie bywa święto Nawrócenia św. Pawła 25 stycznia. Nieraz spontaniczne zaangażowanie

religijno-moralne mniejszych lub większych grup wiernych – duch, który wieje kędy chce – urasta do rozmiarów wewnętrzno-kościelnego ciśnienia, napierającego na istniejącą strukturę kościelną, która albo okazuje się dość elastyczna, że jest w stanie te nowe aspiracje uwzględnić i zaabsorbować, albo ulega mniej lub bardziej groźnym pęknięciom. Czasem doprowadza i do jednego, i do drugiego w różnej mierze i w różnej kolejności. Przykładem jest w późnym średniowieczu ruch franciszkański ze swą gloryfikacją ubóstwa, którego odpowiednikiem w naszych czasach jest *mutatis mutandis* latyno-amerykańska wersja teologii wyzwolenia; potem Reformacja, owocująca dzisiaj w postaci ruchu ekumenicznego; czy wreszcie tzw. „herezja” modernizmu z początku bieżącego stulecia, potępiana w swoim czasie przez Piusa X, a jednak odradzająca się stale w takich czy innych formach – z tego prostego powodu, że jest to przejaw niezbędnej adaptacji struktur doktrynalnych i jurysdykcyjnych Kościoła do zmieniających się okoliczności życia, czyli tym, co papież Soboru Jan XXIII określał mianem *aggiornamento*.

Jednym z najbardziej uderzających przykładów tej (*sit venia verbo*) modernistycznej presji są tak zwane referenda czy plebiscyty mające ostatnio miejsce głównie w Austrii i w Niemczech, a w mniejszej mierze w Szwajcarii i włoskim Tyrolu. Trudno powiedzieć, dlaczego ograniczają się one jak dotychczas do niemieckojęzycznych połaci Europy (bo należących do Włoch południowy Tyrol też mówi przeważnie po niemiecku). W Austrii i w Szwajcarii iskrą zapłonową były skandale seksualne, które dotknęły dwóch wysokich dostojników kościelnych (w Wiedniu i Bazylei), ale zakres spraw, które objęły referenda jest bez porównania szerszy. Jasne jest, że w tej sytuacji na pierwszy plan wysunął się postulat zniesienia obowiązkowego celibatu księży: sygnatariusze petycji do władz kościelnych (których ostatecznym adresatem jest oczywiście Rzym) uważają, że celibat może być bardzo dobrą rzeczą, gdy jest dobrowolny, a nie jest warunkiem uzyskania święceń kapłańskich. Następnie referenda domagają się dopuszczenia do święceń kapłańskich kobiet, oczywiście także zamężnych. Oczywiście postulatem jest zniesienie zakazu stosowania sztucznych środków antykoncepcyjnych, który i tak jest bez mała powszechnie ignorowany. Najbar-

dziej kontrowersyjny jest chyba postulat zniesienia wszelkiej dyskryminacji naturalnych homoseksualistów, którzy – właśnie z religijnego punktu widzenia – nie są przecież winni, że Pan Bóg dał im inną orientację seksualną niż heteroseksualnej większości. Wydaje mi się, że ten postulat jest kontrowersyjny raczej ze względu na głęboko zakorzenioną w naszej kulturze odrazę do zachowań homoseksualnych niż ze względów rzeczowych, w tym także religijnych skrypturalnych<sup>1</sup>. Jakkolwiek wszystko to są zagadnienia moralności seksualnej, to jednak zasadniczy postulat sygnatariuszy petycji, leżący u podstaw wszystkich szczegółowych postulatów, jest zupełnie innego rodzaju. Wyraża się on w hasle, które równocześnie stanowi oficjalną nazwę niemieckiego referendum, „my jesteśmy Kościołem”. Prawdę mówiąc, słyhać tu echo politycznego zawołania, które rozległo się w Niemczech Wschodnich w dniach poprzedzających zawalenie się muru berlińskiego, *Wir sind das Volk*. Ale *Wir sind die Kirche* przy swoim trochę politycznym wydźwięku jest jednak stwierdzeniem ściśle religijnym, nawet dogmatycznym, bo wywodzi się ono i ma swoje uzasadnienie w fundamentalnej Dogmatycznej Konstytucji o Kościele uchwalonej przez II Sobór Watykański w listopadzie 1964. Konstytucja ta w swym rozdziale II określa Kościół jako Lud Boży, a potem dopiero w rozdziale III i IV omawia kolejno dwa elementy tego jednego ludu, którymi są hierarchia kościelna i świeccy. Było to rewolucyjne posunięcie, bo do tej pory za Kościół uważano tylko hierarchię i na dobrą sprawę ten pogląd jest po dziś dzień tak głęboko zakorzeniony w powszechnej świadomości, że gdy mówi się „Kościół”, ma się na myśli tylko jego oficjalnych przedstawicieli, a nie całą kościelną społeczność, której integralną część stanowią również świeccy. W referendum niemieckim i austriackim chodzi zatem o dowartościowanie świeckiej części Ludu Bożego czyli o aktywny jej udział w życiu Kościoła, podczas gdy dotychczas świeccy byli traktowani tylko jako bierni wykonawcy decyzji

1. Interesujących się tą stroną zagadnienia homoseksualizmu odsyłam do pionierskiego studium dominikanina O. Garetha Moore'a OP pt. *The Body in Context. Sex and Catholicism*. SCM Press Ltd. London 1992. Gareth Moore jest wykładowcą słynnego dominikańskiego kolegium *Blackfriars* w Oxfordzie.

podejmowanych przez władze kościelne bez ich wiedzy i udziału.

Samo wysunięcie tego postulatu jest niewątpliwie uderzającym przejawem żywotności Kościoła. Prawda, że jest to posunięcie bez mała tak samo rewolucyjne jak uchwalenie konstytucji *Lumen gentium* (tak zwanej od jej pierwszych słów) przez Sobór z górą 30 lat temu. I podobnie jak wówczas ta innowacja napotyka na opór ze strony co bardziej konserwatywnych elementów w Kościele<sup>2</sup>. Biskupi, poza nielicznymi wyjątkami, są zakłopotani i robią wszystko, by cały ten ruch niejako wyegzorcyzmować. Ale jest on na to zbyt znaczny i zbyt znamienity. W Austrii organizatorzy petycji o reformę Kościoła zebrali pół miliona podpisów, co stanowi bez mała 10 procent całej 6-milionowej katolickiej ludności Austrii, a w Niemczech pod podobną petycją podpisało się prawie półtora miliona katolików i ponadto kilkaset tysięcy chrześcijan i przedstawicieli innych wyznań, w sumie blisko dwa miliony osób. Jest to procentowo znacznie mniej niż w Austrii, ale Niemcy są bez porównania większym krajem i wyznaniowo bardziej zróżnicowanym. Procent osób, które podpisały petycje zarówno w Austrii jak i w Niemczech, będzie znacznie wyższy, jeśli za sto przyjmiemy nie liczbę nominalnych katolików czy chrześcijan w obu krajach, lecz liczbę praktykujących wiernych. Innymi słowy, sygnatariusze petycji reprezentują najbardziej aktywną część społeczności kościelnej, ludzi najbardziej zaangażowanych, którym widocznie leży na sercu dobro Kościoła i którzy mają w tych sprawach swoje zdanie. Oczywiście nie cały aktywny Kościół austriacki czy niemiecki jest po stronie zwolenników reformy. W Niemczech istnieje stosunkowo mała organizacja zdecydowanych przeciwników ruchu *Wir sind die Kirche* pod nazwą

2. W swoim czasie opozycja na Soborze doprowadziła do poważnej re-interpretacji, jeśli nie wprost sfałszowania, opinii większości Ojców Soboru w postaci „Oświadczenia” Sekretarza Generalnego kard. Felici dodanego w ostatniej chwili do właściwie już uchwalonego tekstu Konstytucji. Celem tego oświadczenia było niedopuszczenie do pomniejszenia osobistej władzy papieża, w pierwszym rzędzie w stosunku do „kolegium” biskupów, o którym mówił tekst Konstytucji, ale przez implikację również zachowanie w stanie nienaruszonym tradycyjnych uprawnień całej hierarchii kościelnej w stosunku do świeckiej części Ludu Bożego.

*Pro-Kirche*, którzy zamiast tego deklarują swoje absolutne posłuszeństwo wobec papieża i biskupów. Przyjęta przez nich nazwa mimo woli chyba wskazuje, że w ich pojęciu raczej tylko hierarchia, a nie cały lud Boży jest Kościołem. Ruch *My jesteśmy Kościołem* jest doskonale zorganizowany i cieszy się znacznym poparciem szerszej opinii publicznej i środków masowego przekazu. To w dużej mierze tłumaczy sukces inicjatorów ruchu, ale nie jest to chyba okoliczność, która uzasadniałaby podejrzenia, którymi szermują jego przeciwnicy, że jest to jakiś sekularystyczny spisek, którego celem jest działanie na szkodę Kościoła. Trudno przypuścić by właśnie najaktywniejsi członkowie Kościoła byli tak naiwni, by dali się użyć jako narzędzie do niszczenia tego, co najbardziej kochają. O wiele prostszą metodą działania na szkodę Kościoła byłoby formalne wystąpienie z Kościoła. Jest to faktycznie praktykowane w Niemczech i w Austrii, między innymi dlatego, że złożenie takiej deklaracji zwalnia od płacenia podatku kościelnego. Ale liczba składających takie deklaracje jest minimalna i większych szkód finansom niemieckich Kościołów nie wyrządza. Dzięki temu podatkowi kościoły niemieckie, zarówno katolicki jak i nie-katolickie, należą do najbogatszych w świecie, ale istnienie tego podatku wyrządza im niepowetowane szkody duchowe. Bo kto składa podanie o zwolnienie od podatku kościelnego jest automatycznie pozbawiony dostępu do sakramentów, co stwarza wrażenie, że sakramenty są udzielane tylko za pieniądze. Samo istnienie tego podatku nie byłoby jeszcze takie złe; wiadomo, że bogactwo można okupić rozdając je ubogim i niemiecki Kościół katolicki w dużej mierze to robi. Zły jest użytek, jaki władze kościelne robią z istnienia podatku grożąc odmową posługi sakramentalnej za odmowę płacenia i, co gorsza, faktycznie realizując tę groźbę. (Choć według ostatnich moich wiadomości duchowni są gotowi służyć w obliczu śmierci sakramentem namaszczenia chorych.) Jeśli można mieć pretensje do organizatorów ruchu *My jesteśmy Kościołem* to w pierwszym rzędzie o to, że do swych postulatów nie włączyli żądania zaniechania tej niechrześcijańskiej praktyki. Nie zrobili tego chyba dlatego, że bliższa koszula ciała; sprawa płacenia czy niepłacenia podatku kościelnego jest sprawą lokalnych kościołów niemieckojęzycznych. Ambicją organi-

zatorów ruchu jest reforma Kościoła powszechnego.

Tu jednak można im postawić inny zarzut: że wszystkie szczegółowe postulaty wrzucili do jednego worka tak, że sygnatariusze mieli do wyboru albo podpisać wszystko bez różnicy albo nic. W tej sytuacji wiele podpisów mogło oznaczać nie tyle zgodę na treść poszczególnych postulatów, ile raczej ogólny protest przeciw sposobowi rozstrzygnięcia nabrzmiałych problemów przez władze kościelne, w praktyce przez sam Watykan bez oglądania się na opinię publiczną wiernych (*consensus fidelium*), na fachową opinię teologów czy choćby tylko kolegialną opinię biskupów. To zresztą pokrywa się z treścią głównego postulatu domagającego się większego udziału wiernych w podejmowaniu decyzji, bo wiadomo na przykład, że decyzja zakazująca sztucznej antykoncepcji została podjęta osobiście przez samego tylko papieża Pawła II i to wbrew opinii większości wyznaczonej przez niego komisji, nie mówiąc już o opinii Soboru, który w ogóle nie miał możliwości wypowiedzenia się w tej sprawie. Często się słyszy również, że to Sobór postanowił utrzymanie w mocy obowiązkowego celibatu księży obrządku łacińskiego. To nie jest prawda, gdyż Paweł VI listem do kardynała Tisseranta z 11 października 1965 wyraźnie wyjął tę sprawę spod kompetencji Soboru. Ostatnio Watykan podjął zgoła dramatyczną próbę definitywnego zamknięcia debaty nad możliwością wprowadzenia w Kościele katolickim święceń kapłańskich dla kobiet. Sprawa stała się aktualna, jak wiadomo, w następstwie wprowadzenia w ostatnich latach takich święceń w kościołach Wspólnoty Anglikańskiej<sup>3</sup>. Orzeczenie papieskie, że Kościół nie jest władny zmieniać dotychczasowej praktyki, w której kapłaństwo jest sakramentem dostępnym tylko dla mężczyzn, nie zostało powszechnie przyjęte jako dostatecznie pewne i zamykające dyskusję. Wobec tego w listopadzie zeszłego roku Kongregacja dla Spraw Nauki Wiary wydała dodatkowe orzeczenie, że tak, że pierwotna decyzja papieża jest definitywna i nieomylna. Nie jest to zgodne z definicją dogmatu o nieomyślności proklamowanego przez I Sobór Watykański w r. 1870 i wskutek tego

3. Zob. w tej sprawie mój artykuł „Czy potrzebni są księża-kobiety?” w *Kulturze* Nr 5/560, maj 1994.

z kolei rozgorzała debata nad właściwą interpretacją pojęcia nieomyślności.

Ale czas teraz spojrzeć na ten kompleks bieżących problemów w szerszej perspektywie historii Kościoła.

Odwołanie się do formuły doktrynalnej sprzed 125 lat daje pewne pojęcie o skali czasowej i wadze tych problemów. Sprawy duchowe dojrzewają powoli. Przekonania religijne zmieniają się powoli, bo są głęboko osadzone w ludzkich duszach, nawet u ludzi niewierzących, bo niewierzący też mają swoje głębokie wnętrza, swoją religię. Dlatego nie można się spodziewać, by kampania *My jesteśmy Kościołem* dała rychłe rezultaty. Biskupi lokalnych kościołów nie spełnią żadnego z wysuwanych postulatów, bo wykracza to poza ich kompetencje, mogą je tylko możliwie życzliwie wysłuchać i ewentualnie podać dalej. Ale Rzym też nie jest w stanie ich spełnić, w każdym razie nieprędko. Czy spełnienie ich, czy choćby tylko autorytatywne ich rozpatrzenie, wymagałoby nowego soboru? Być może. O możliwości nowego soboru mówi się już dziś dosyć często, całkiem niezależnie od omawianej kampanii, z tym że miałby to być sobór już w pełni ekumeniczny, to jest z czynnym udziałem przedstawicieli wszystkich głównych wyznań chrześcijańskich<sup>4</sup>. W kilka dziesięcioleci po II Vaticanum nie byłoby to wcale za wcześnie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę ogromne przyspieszenie tempa współczesnego życia we wszystkich innych dziedzinach.

Ale spekulacja w ramach jednego artykułu na temat sposobów czy form, w jakich miałyby być przeprowadzona dalsza reforma Kościoła, jest na pewno przedwczesna. Stoimy przed globalnym faktem, że czasy w których żyjemy, koniec drugiego i początek trzeciego milenium po Chrystusie, jest okresem nowego zasadniczego przełomu na skalę, jaką Kościół przeżył do tej pory tylko dwa razy. Pierwszy z tych przełomów to okres kilku wieków po wyjściu z katakumb,

4. Na II Soborze Watykańskim inne wyznania były reprezentowane tylko przez obserwatorów bez prawa głosu.

kiedy Kościołowi przyszło budować nową cywilizację na gruzach rozpadającego się starożytnego świata. Drugim był okres wielkich odkryć geograficznych, rewolucji naukowej, Reformacji i początków demokracji, okres który w jakimś sensie trwa po dziś dzień. Jaki charakter będzie miał trzeci przełom, nie jesteśmy w stanie powiedzieć, bo stoimy za blisko i nie widzimy jasno perspektyw tego, co się z nami i dokoła nas dzieje. Tylko dwóch rzeczy możemy być pewni: jedna to ta, że musimy mieć oczy otwarte, patrzeć i myśleć; druga, że Duch wieje kędy chce i swego Kościoła i ludzkości nie opuści. Te dwie rzeczy stanowią połączenie wiedzy i wiary.

I na tym polega sens akcji takiej jak kampania *My jesteśmy Kościołem*. Są to ludzie, którzy są gotowi równocześnie myśleć i modlić się. Tworzą w ten sposób klimat, w którym staje się możliwa dalsza reforma Kościoła. Nie znaczy to, że reforma będzie zmierzać do spełniania właśnie ich postulatów. Ich przeciwnicy, zwolennicy utrzymania *status quo* spod znaku *Pro-Kirche*, też są czynnikami klimatu, w którym się toczy debata, i mogą się okazać pożytecznym zabezpieczeniem przed rezultatami zbyt euforycznej reformy. I nawet władze kościelne nie będą koniecznym decydującym czynnikiem. Ważne jest, by wszyscy uczestnicy debaty i inżynierowie reformy pozostali otwarci na suwerenne działanie Ducha Św.

Albowiem On rzekł, a stało się; On rozkazał, a tak było. Pan niweczy zamiary narodów, daremnymi czyni zamysły ludów. Co on zamierzy trwa na wieki, zamysły Jego z pokolenia w pokolenie.

Psalm 33, 9-11

Antoni POSPIESZALSKI

## Kraj

### Życie toczy się dalej

1.

Od mego poprzedniego sprawozdania minęły dwa miesiące. 19 grudnia rozpoczęła się „sprawa Oleksego” i mogło się wydawać, że odwróci ona bieg wydarzeń politycznych w Polsce. Ostatecznie, nieczęsto się zdarza, by premier rządu został oskarżony przez swego ministra spraw wewnętrznych o współpracę z obcym wywiadem – i to z wywiadem mocarstwa, które z doświadczeń historycznych i z aktualnej sytuacji wnosząc, jest największym potencjalnym źródłem zagrożenia dla kraju. Jakoż przez te dwa miesiące wiele się wydarzyło w polskiej polityce, doszło nawet do zmiany rządu, ale nic nie wskazuje na to, by odwrócił się bieg rzeczy. Ci, którzy przegrywali, są jeszcze bardziej przegrani, a wygrywającym wiedzie się coraz lepiej.

W ogólnopolskim badaniu preferencji wyborczych, przeprowadzonym 3-4 lutego br. przez Pracownię Badań Społecznych dla dziennika *Rzeczpospolita*, SLD uzyskał 36% wskazań, więcej niż kiedykolwiek i, w szczególności, więcej niż bezpośrednio po zwycięstwie Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich. Jego notowaniom nie zaszkodził nawet manifestacyjny, niemal jednomyślny wybór Józefa Oleksego na nowego (po Aleksandrze Kwaśniewskim) przewodniczącego Socjaldemokracji RP. A przecież wielu komentatorów osądziło, że SDRP okazała w ten sposób lekceważenie opinii publicznej i oderwanie od narodu.

Ile zyskał SLD, tyle mniej więcej straciła prawica, choć na tym skrzydle notujemy przesunięcia. Ruch Odbudowy Polski Jana Olszewskiego uzyskał 9% wskazań, spychając w

niebyt rozmaite kanapowe, choć krzykliwe partie „prawicy patriotycznej”, których przywódcy jeszcze się nie podporządkowali Mecenasowi i jego szefowi propagandy, Jackowi Kurskiemu. ROP przejął też zapewne część klienteli Solidarności, która spadła z 17% do 13% wskazań. W sumie formacje prawicowe, które nie dostałyby się do parlamentu, zgromadziły razem 15% wskazań (łącznie z KPN i BBWR, które z parlamentu by wypadły i z ZChN oraz PC, które by do niego i teraz się nie dostały). Jest to rezultat, który sugeruje, że elektorat prawicy, choć się nieco skurczył, jest mniej rozproszony: jego dwa ośrodki przyciągania, w tej chwili, to ROP i Solidarność. Dodam dla porządku, że w tych 15% mieszczą się również ułamkowe elektoraty prawicy konserwatywno-liberalnej: Korwina Mikkego, Ujazdowskiego, Halla, Balazsa, Olechowskiego z Czesławem Bieleckim, Religi i Eysymontta; czekają, żeby wydobyła ich z nieistnienia Unia Wolności, którą jak się spodziewają, nadal znosić będzie na prawo tak, że ją doniesie aż do nich. Pierwsze porozumienie już zawarto.

PSL (7% wskazań) nie może się, jak widać, podnieść po katastrofie wyborczej Pawlaka i oscyluje wokół najniższego swego poziomu poparcia. Jest to znamienne, ponieważ stronnictwo było przez te dwa miesiące gwiazdą naszego kabaretu politycznego. Jego przywódcy rozmawiali ze wszystkimi i wszystkim robili nadzieje, a Józef Zych błyszczał jako arbiter i rzeczywiście przyczynił się do awansu instytucji parlamentarnej w opinii społecznej. Mimo to PSL nic nie zyskał na popularności i rzecz się tłumaczy dość prosto: okazał się partią bez zasad, skłóconą wewnątrz, łasą na posady i niezdolną do objęcia przywództwa w żadnym wariantcie rozwiązania kryzysu rządowego. Waldemara Pawlaka uratował wprawdzie na stanowisku prezesa PSL upadek Oleksego – nie wyprzęga się koni w środku przeprawy – ale jest on już przywódcą niepełnowartościowym. Być może, nigdy go nie było stać na nowe i śmielsze koncepcje, ale teraz, obciążony balastem klęski, potrafi się już tylko targować o posady do rozdania w stronnictwie. Tak jak Pawlak starał się głównie o umocnienie własnej pozycji partyjnej, tak Zych i paru innych strzegli tylko, żeby się PSL nie rozleciał. Politycy z Unii Wolności i Unii Pracy, którzy szczerze liczyli na odwrócenie

sojuszy przez PSL i na nową koalicję u władzy – a było ich wielu, choć teraz nikt się nie przyznaje do naiwności – wykazali rażąco złe rozeznanie. Lecz może była to raczej bezradność niż niewiedza.

Tymczasem Unia Wolności i Unia Pracy zachowują mniej więcej swoje stałe pozycje procentowe, choć można przypuszczać, że ich lektoraty fluktuują dość dynamicznie. Jedni wyborcy przychodzą, inni odchodzą i ten nieuchwytny w zwykłym sondażu ruch byłby całkiem naturalny: obie partie są bowiem w okresie zwrotnym, przed rozwidleniem dróg.

Inne ośrodki badawcze mają inne wyniki procentowe niż PBS, rozmaite sondáže nie są zresztą całkowicie porównywalne. Respondent PBS np. rozdziela pomiędzy przypuszczalne listy wyborcze oraz opcję „nie będę głosował” 100 punktów, które oznaczają całość jego preferencji. W ten sposób 36% wskazań dla SLD oznacza, że tych, którzy *na pewno* głosować chcą na SLD może być znacznie mniej. Metoda PBS odzwierciedla najwierniej aktualny stan opinii, łącznie z nieuniknioną niepewnością i wahliwością ocen. Mimo tych różnic w metodzie, wszystkie ostatnie sondáže ukazują *tę samą* tendencję elektoratu: ciągły awans SLD i zastój u innych, wyjąwszy ugrupowanie Olszewskiego.

## 2.

Afera Oleksego nie znalazła oczekiwanego zgodnie z logiką odzwierciedlenia w notowaniach politycznych przede wszystkim dlatego, że otwarcie jej nastąpiło w warunkach podważających wiarygodność oskarżenia.

Nie jest łatwo wskazać, co należało było zrobić, aby tę wiarygodność ocalić, zwłaszcza że piszący te słowa nie ma żadnych kontaktów w UOP-ie, a wszystkie sensacyjne przecieki traktuje z założenia podejrzliwie. Można natomiast wskazać, czego nie należało robić.

Po pierwsze, nie należało ujawniać sprawy za przewodem i pod patronatem Lecha Wałęsy. Lech Wałęsa był nie tylko politykiem przegranym w wyborach, ale – czego nie krył – przegranym bardzo rozgorączkowanym, z poczuciem niezasłużonej krzywdy i spragnionym odwetu. Dostałem policzek – mówił – ale jak się odwinę, to szczeka opadnie. Afera



Oleksego sprawiała mu najwyraźniej taką satysfakcję, że nawet politycy z tzw. obozu solidarnościowego nie kryli zrazu przede mną, iż sprawa wydaje im się montażem.

Po drugie, nietrafny był wybór momentu ujawnienia. Nie kwestionując szczerości Andrzeja Milczanowskiego, gdy twierdzi, że nie mógł mówić wcześniej, aby nie być podejrzanym o grę wyborczą, można wątpić w jakość jego analizy. Władysław Bartoszewski przyznał, że sprawa była mu znana już w sierpniu, tzn. przed formalnym otwarciem kampanii prezydenckiej. Może więc należało jeszcze wcześniej porozmawiać po męsku z Józefem Oleksym i doradzić mu dymisję, a w razie odmowy otworzyć procedurę bez dalszych kombinacji? Argument nieingerowania w kampanię wyborczą jest poza tym obosieczny. Jeśli Lech Wałęsa w wywiadzie udzielonym radiowej Trójce wyraża niezadowolenie, że sprawa wybuchła już teraz, bo gdyby on wygrał wybory, to by zapewne wybuchła „dopiero gdzieś w połowie kadencji” – czy nie nasuwa się przypuszczenie, że ze sprawą czekano licząc na zwycięstwo? Może aby zdetonować bombę przed wyborami parlamentarnymi w 1997, a może, żeby mieć bat na premiera z wrogiego obozu? O szachach mawia się, że groźba zdjęcia figury bywa groźniejszą bronią niż zdjęcie figury...

Trzecią wreszcie okolicznością osłabiającą wiarygodność sprawy stały się masowe i wyraźnie zaplanowane „przecieki” do prasy, chwytającej oczywiście wszystko, co jej sprzedawały „źródła godne zaufania”, poczynając od owego wieczoru 19 grudnia, kiedy supertajna narada u prezydenta Wałęsy jeszcze się nie skończyła, a już w Panoramie TVP o 21-ej podawano, że Oleksy jest podejrzany o szpiegostwo. Doceniam zapał zawodowy kolegów dziennikarzy, ale nie sądzę, iżby się włamywali do sejfów UOP. To raczej pracownicy UOP przynosili im informacje na tacy. I nie chcę obrażać oficerów UOP podejrzeniem, że robili to za pieniądze. Jestem pewien, że robili to na rozkaz. Specjalna komisja sejmowa nie znalazła wprawdzie żadnych danych, iżby materiały przeciw Oleksemu zostały sfabrykowane, ale kwestii „przecieków” i w ogóle informowania opinii wcale nie badała. Kampania przecieków była tak sugestywna, że Kuroniowi i Modzelewskiemu (*Gazeta Wyborcza* z 21.01.96) przypomniały się polityczne manipulacje SB, kiedy to „dyspozycyjny funkcjonariusz SB i dys-

pozycyjny dziennikarz stanowili dwa człony jednego organizmu”.

Dla kompletności obrazu wypada dodać, że również zwolennicy Oleksego dysponowali swoimi duetami prasowo-policyjnymi. Kiedy w Poznaniu tygodnik *Wprost* ogłosił sensacyjne informacje z akt UOP o aferze Oleksego i zapowiedział, że po agencie „Olinie” czyli Oleksym zdemaskuje następnych czterech wysoko postawionych szpiegów rosyjskich, w tym „Kata” i „Minima” – w dwa dni potem *Dziennik Poznański*, wykupiony niedawno przez nomenklaturowy koncern Elektromis ogłosił, że redaktor naczelny *Wprost* Marek Król (nb. b. sekretarz KC PZPR) jest z dawna agentem SB, zwerbowanym jeszcze jako działacz młodzieżowy na tzw. szantaż obyczajowy. Dalszych rewelacji o „Kacie” i „Minimie”, jak dotąd, we *Wprost* nie było...

Jeśli coś umacniało zachwianą wiarygodność oskarżenia, to zachowanie podejrzanego. Józef Oleksy oświadczył, że jest niewinny i że tajne służby uknuły przeciw niemu spisek, z podpuszczenia, być może, kolegów ze Wschodu, zainteresowanych podważeniem wiarygodności Polski wobec NATO (dowodów, jak wiadomo, komisja sejmowa na tę tezę nie znalazła). On, Oleksy, musi się wobec tego bronić, nie pada się więc do dymisji i nie pojedzie na urlop. I zaraz potem premier wykorzystując swe prerogatywy zdymisjonował wiceministra Henryka Jasika z MSW, odpowiedzialnego za UOP i mianował swoich doradców Koniecznego i Anklewicza, na szefów MSW. Pomagał mu w tej obronie minister sprawiedliwości Jerzy Jaskiernia.

Postawa Oleksego dowodziła, że premier winny czy niewinny z miejsca wytyczył sobie strategię obrony: za wszelką cenę i wszelkimi sposobami. Nawet jeśli jest niewinny, postępowanie to dowodziło miłośności polityka; nie bez racji przypominano mu przykład Kanclerza Brandta, który podał się nie mieszkając do dymisji, gdy okazało się, że dla NRD szpiclował jego sekretarz Guillaume. Zarzut szpiegostwa ciężący na premierze czy choćby jego współpracowniku uwłacza państwu, zanim jeszcze sąd oceni faktyczne szkody. To nie jest zasada moralna – choć właśnie z oburzeniem moralnym obnosili się najchętniej pisarze i profesorowie – ale zasada polityczna.

Oleksy, jako się rzekło, bronił się wszelkimi sposobami. Argumentując, że przecież każdy jest niewinny *nisi iure victus*, degradował się świadomie do roli szarego obywatela, jak gdyby wcale nie był politykiem pierwszej rangi. Niewykluczone, że starał się w ten sposób o wyrozumiałość i sympatię szerszej opinii, na pewno zaś paraliżował skutecznie własną partię, której ta kompozycja „zwykłego oskarżonego z Kremlem w tle” odpowiadała znacznie bardziej niż formuła szpiega-polityka. Ostatecznie szpiegiem zwerbowanym przez KGB (lub CIA, MI-6, Mossad itd.) może być każdy i przestępstwo to jest *jednostkowe*, nic więcej nie ewokuje i nikogo więcej nie obciąża. Polityk SLD jako szpieg KGB wywołuje natychmiast w świadomości Polaków stary syndrom „płatnych pachółków Moskwy”: czyż komuniści nie poczuli się do więzi z Rosją jako ojczyzną rewolucji? Wobec tego oskarżenie premiera z SLD o szpiegostwo na rzecz KGB łatwo jest przedstawić jako przykład urzeczywistnienia dziedzicznej skłonności grupowej: SLD to grupa szczególnego ryzyka (choć dzisiaj ani oni komuniści ani Rosja rewolucyjna...)

Szary człowiek Oleksy ma prawo do uczciwego procesu i przed wyrokiem jego partia nie może go przecież potępiać i wyrzucać z pracy... I tak dalej. Przyjaciołom Oleksego w kierownictwie SLD wydawało się, że takie bezczynne oczekiwanie na wyrok będzie świetnym rozwiązaniem. Będzie można udawać, że *casus* Oleksego jest całkiem jednostkową sprawą i wcale SLD jako formacji nie dotyczy i zarazem skutecznie bronić premiera przed dymisją, póki sprawa się nie rozmyje np. z braku dostatecznych dowodów.

Tymczasem jednak rósł napór opozycji, która głosiła, że lada chwila skonstruuje „koalicję antyszpiegową”, tym większe pokusy odczuwał też koalicyjny partner, PSL. Pilnie studiowane sondaże wskazywały, że zwolna ale regularnie maleje zaufanie do premiera (z 61% w połowie grudnia do 46% w połowie stycznia – CBOS) oraz przekonanie, że jest to dobry premier (odpowiednio z 51% do 43%), co gorsza, przeświadczenia o winie bądź niewinności Oleksego korelowały coraz wyraźniej z zakresami elektoratów Wałęsy i Kwaśniewskiego, co świadczyło o pogłębianiu cezury politycznej i groziło paraliżem inicjatywom nowoobranego prezydenta.

Trwanie przy Oleksym stawało się groźne. Oleksy został więc ostatecznie zmuszony do odejścia, choć jego partia nadal „darczy go pełnym zaufaniem” i zaraz po dymisji wybrała swym przewodniczącym. Jeśli prokuratura wojskowa zdecyduje się przekształcić śledztwo „w sprawie” w śledztwo „przeciw” Oleksemu, przewodniczący odejdzie. Bez dyskusji.

### 3.

W swoim „Liście otwartym do partii politycznych” Kuroń i Modzelewski przestrzegali polityków: „Można zaakceptować każdą koalicję, która ma uzasadnienie programowe. Gdyby jednak miał to być front scementowany jedynie chęcią odsunięcia SLD od władzy, to uformowany na tej podstawie rząd byłby siłą rzeczy rządem wojny; tej samej wojny, która dziś rozdziera kraj i niszczy państwo. (...) Zwracamy się do partii politycznych, środowisk i autorytetów polskiej demokracji, zwłaszcza zaś do obywateli zaniepokojonych kryzysem państwa, z apelem o budowę przymierza, które przywróciłoby naszemu życiu publicznemu równowagę. Uważamy, że przymierze takie powinno różnić się czytelnie od obu stron konfliktu rozdzierającego dziś Polskę: powinno być opozycyjne wobec post-komunistów, ale w równym stopniu odrębne od wojujących antykomunistów”.

List został bardzo źle przyjęty przez adresatów, zwłaszcza przez elitę kierowniczą Unii Wolności. Jest to niechęć ze wszechmiar zrozumiała, ponieważ wszystkie bez wyjątku partie opozycyjne sądzą, że jest jeden tylko wspólny program, który może je ewentualnie doprowadzić do władzy w przewidywalnym terminie: właśnie „antykomunizm” tzn. walka z SLD. Wbrew hasłom o wierności tradycjom, wspólnych wartościach i solidarnościowych korzeniach – nie ma już żadnego obozu solidarnościowego i niczego z tego nie da się ożywić poza antykomunizmem\*. Tacy politycy jak Jan Olszewski stwierdzają to otwarcie. Unia Wolności, jak zwykle, żyje złudzeniami, toteż w związku ze sprawą Oleksego wystąpiła z inicjatywą „rządu przywracającego wiarygodność państwa”, na którego czele miałyby stanąć Władysław Bartoszewski (lat 75). Ten symboliczny wybór dowodził, że przez

\* i antyrosyjskością w polityce zagranicznej jako jego uzupełnieniem.

„wiarygodność państwa” Unia Wolności rozumie autorytet moralny przywódców nie kryjąc, że sama w takie właśnie autorytety obfituje. W kontekście sprawy Oleksego taka inicjatywa mogła się nawet wydawać dobrym pomysłem, chociaż Unia dała przy okazji upust swej znanej skłonności do wzniosłych pouczeń i świetnego samopoczucia moralnego w sposób najzupełniej przesadny. Co wszakże istotniejsze, opinia myśli inaczej niż przywódcy UW. Prof. Mirosława Marody z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego komentując ciągle jeszcze (p. powyżej) całkiem dobre notowania Oleksego pisze np.: „Polskie społeczeństwo oceniając sprawność polityków kieruje się innymi kryteriami niż moralne. Wiąże się to najprawdopodobniej z faktem, że w ogóle polityka traktowana jest jako zawód „brudny” (...) Oleksy może być widziany jako osoba nie budząca zaufania, a jednocześnie sprawna w roli szefa rządu – bo te oceny zależą od ogólniejszej sytuacji gospodarczo-społecznej”. (*Gazeta Wyborcza* 23 I 96).

Najważniejsze jest jednak, że Polacy najwyraźniej, słusznie czy niesłusznie, nie odczuwali bynajmniej wydarzeń jako „kryzysu państwa” i że również obawy Kuronia i Modzelewskiego przed eskalacją „wojny na górze” wydawały się przedwczesne.

I chyba słusznie, ponieważ nowy premier Włodzimierz Cimoszewicz został powitany tak życzliwie przez całą opozycję, że już sam ten fakt dowodził, jak zmęczyła ją sytuacja zerwania dialogu z rządem i samoblokady. Nawet Jan Olszewski zdobył się na dowcip, że po agencji wywiadu rosyjskiego agent wywiadu polskiego, to niewątpliwym postępem (Cimoszewicz figurował na tzw. liście Macierewicza jako agent wywiadu PRL. Cimoszewicz wyjaśnił wtedy, że w 1980 zgodził się „na prośbę MSZ” „pomagać polskiej służbie dyplomatycznej” w USA, ale „do praktycznej współpracy nie doszło, ponieważ na miejscu okazało się, że oczekiwano ode mnie działań, na które nigdy nie wyrażałem zgody”).

Cimoszewicz wyrobił sobie nazwisko jako polityk niezależny w myśleniu i odważny w działaniu. Nie należy do SdRP i wbrew swemu klubowi (SLD) domagał się śledztwa w sprawie moskiewskich pieniędzy Leszka Millera, uchylenia immunitetu Ireneusza Sekuły, niewystawiania kandydata

SLD w wyborach prezydenckich 1995, natomiast wsparcia uzgodnionego kandydata lewicy i centrum np. Kuronia. I ostatnio dymisji Jaskierni. Jako minister sprawiedliwości w rządzie Pawłaka był z pewnością najlepszym szefem tego resortu w III RP, co przyznają zgodnie prawnicy wszystkich przekonań. Wystąpił, mimo zgrzytu zębów dochodzącego z ław rządowych, z akcją „czyste ręce” piętnującą bezprawne podwójne uposażenia wysokich urzędników.

Doktor praw, gospodarzy od 1985 na 20 ha, które kupił w Kalinówce w Białostockiem. Jest bardzo popularnym obywatelem w swoim okręgu, w wyborach do Sejmu w 1993 przeszedł tam bezapelacyjnie na pierwszym miejscu uzyskując pięć razy więcej głosów niż następny z posłów białostockich.

W rządzie premiera Oleksego „nie zmieścił się”, jego tekę ministra sprawiedliwości dostał Jerzy Jaskiernia. Był przez rok wicemarszałkiem Sejmu.

Cimoszewicz nie mógłby z pewnością marzyć o premistrowie, gdyby nie inicjatywa Kwaśniewskiego. Klub poselski SLD i kierownictwo Sojuszu (Jerzy Szmajdziński) na pewno by go nie wysunęli. Manifestacyjny wybór Oleksego na przewodniczącego SdRP był zapewne również „równoważeniem” nowego premiera. Mniej jasna jest natomiast nominacja Leszka Millera na szefa URM: Miller uchodzi za „twardziela”, ale ma doskonałe stosunki z prasą i pozostawia po sobie dobre wspomnienie w Ministerstwie Pracy i Polityki Socjalnej, które przejął po nim żelazny wiceminister w tym resorcie, solidarnościowiec Andrzej Bączkowski. Współpracowali ze sobą bez zgrzytów.

W gabinecie Cimoszewicza godna uwagi jest przede wszystkim eliminacja Jaskierni, czego nowy premier domagał się na równi z opozycją. Sędzia SN Leszek Kubicki jako nowy minister sprawiedliwości (po odmowie prof. Ewy Łętowskiej) przychodzi z pochlebną opinią od prezesa SN, Adama Strzembosza. Najtrudniejsza jest sytuacja w MSW. Cimoszewicz – znów podobnie jak opozycja – zażądał odejścia min. Koniecznego, człowieka Oleksego (przynajmniej ostatnimi czasy), ale zgodził się na innego zausznika b. premiera, Anklewicza, na stanowisku pierwszego wiceministra. Anklewicz w szerokoskrzydłym czarnym kapeluszu wygląda jak tajny agent z ekspresjonistycznego filmu i ma podobnie niejasne ante-

cedensy. Jeśli Cimoszewicz pozwoli mu nadzorować UOP, to mogą być kłopoty. Wreszcie nowy minister Siemiątkowski jest blisko związany z prezydentem Kwaśniewskim. Co potrafi jako minister, dopiero się okaże, to jego pierwsza posada rządowa. Na początek zraził sobie całą korporację dziennikarską deklaracją, że pierwsze, co znalazł w aktach MSW, to „przerazające nasycenie redakcji agenturą UOP-u...” Ale język Siemiątkowskiego zawsze chodzi sam, dwa kroki przed ministrem. Ministerstwo Edukacji przejął Jerzy Wiatr z rąk Ryszarda Czarnego, który nie zabłysnął.

Ludowcy usunęli Kazimierza Dejmka z Ministerstwa Kultury i Sztuki, zastępując go miłośnikiem folkloru lubelskiego, dotychczasowym wiceministrem Zdzisławem Podkańskim (nie mieszać z Podkańskim Lesławem, niegdyś w resorcie współpracy gospodarczej z zagranicą). Dejmek ponarazał się bardzo wszystkim salonom opozycyjnym, ale to był ktoś. Drugą zmianą w resortach z klucza PSL jest odebranie wicepremierostwa Aleksandrowi Łuczakowi i przekazanie go Mirosławowi Pietrewiczowi z CUP. Pawlak załatwił w ten sposób swój interes, ponieważ drugim wicepremierem z PSL jest Roman Jagieliński, główny rywal Waldemara w Stronnictwie. Ale Pietrewicz pełni inną jeszcze rolę: krytykuje Grzegorza Kołodkę, ministra finansów.

I w ten sposób doszliśmy do spraw poważnych, o których szerzej będzie można napisać dopiero za miesiąc, bo teraz wszystko jest jeszcze *in statu nascendi*. *Exposé* premiera zostanie wygłoszone w dzień po wysłaniu niniejszego tekstu do druku.

Po grudniowych emocjach w Warszawie umacnia się teraz przekonanie, że w 1997 jedynym sposobem na odepchnięcie SLD od władzy byłoby nagłe załamanie gospodarcze, na co, oczywiście, żaden odpowiedzialny polityk rachować nie może, a nieodpowiedzialny co najwyżej w cichości serca. Nie wyklucza to zmiany koalicji, jej rozszerzenia lub podmiany słabnącego PSL, ale najpewniej liczyć można raczej na uruchomienie dialogu, zastąpienie frontalnych starć – przetargami, a opozycji „dla zasady” – sporami o konkretne rozwiązanie. Kompozycja nowego gabinetu jest rodzajem *inwitu do inwitu* w tym procesie i jeszcze parę kroków zależeć będzie głównie od zachowań Kwaśniewskiego

i Cimoszewicza. Ale potem, o ile gra zostanie rozpoczęta, graczy będzie wielu a przedmiotem gry będą głównie nie zachowania polityczno-ideowe lecz społeczno-gospodarcze. Wokół nich właśnie następować będzie rewolucja istniejących dzisiaj ugrupowań partyjnych, w której rezultacie wyłoni się układ bardziej stabilny w miejsce obecnej prowizorki. Bo naprawdę wszystkie nasze partie z SdRP i SLD włącznie są tworamia prowizorycznymi; tyle tylko, że tymczasowość miewa długie życie.

W połowie lutego, poza poronionym „referendum uwłaszczeniowym”, w którym zanościło się na fiasco frekwencyjne (poniżej 50% frekwencji wynik referendum jest niewiążący dla władz) do odnotowania, wśród owych zachowań społeczno-gospodarczych, był zwłaszcza strajk górników i proklamowane przez Solidarność wstrzymanie ekspedycji węgla z kopalń, zapewne pomyślane jako sposób na ożywienie zainteresowania referendum uwłaszczeniowym, było to przedsięwzięcie samobójcze. W zimie ludzie i elektrownie potrzebują węgla, a rząd... sam się ogrzeje. Poza tym Solidarność górnicza nie może nie wiedzieć, że całe górnictwo węglowe, potwornie zadłużone i zwiększające swój deficyt z każdą wyeksportowaną toną węgla, wymaga radykalnych rozstrzygnięć (w r. 1995 strata brutto górnictwa wyniosła 370 mln nowych złotych, przy czym dotacje w formie rozmaitych umorzeń sięgały prawie 900 mln. W sumie więc górnictwo pracowało ze stratą prawie pół miliarda dolarów). Temat „węgiel” będzie pierwszą wielką awanturą socjalną tego roku. Strajk lutowy jest niemądrym przyspieszeniem, które może kosztować górników i Solidarność utratę sympatii społeczeństwa.

Drugim już zaanonsowanym tematem jest Pakiet 2000 wicepremiera Kołodki, dalszy ciąg aż po rok 2000, strategii dla Polski. „Pakiet dla Polski” wywołał już dwoistą krytykę. Ekonomisci zwracają uwagę, że dwa zasadnicze cele – zejście do 4,9% inflacji w r. 2000 oraz utrzymanie wysokiego wzrostu gospodarczego, przeciętnie 5,5% rocznie – są trudne do pogodzenia, nawet jeśli zwiększy się wydatnie zasilanie inwestycyjne z zewnątrz. Trzeba będzie dławić popyt wewnętrzny, a rachuby eksportowe wicepremiera wobec zastój na tak kluczowym dla nas rynku zachodnioeuropejskim, zwłaszcza

niemieckim, są mało realne. Ofiarą padnie wzrost gospodarczy. Druga grupa zarzutów dotyczy społecznego sensu Pakietu i jego ideologii. Kołodko przyznaje się otwarcie do ortodoksyjnie liberalnego celu zmniejszenia udziału państwa w gospodarowaniu (zmniejszenie relacji budżet: produkt narodowy brutto) i zapowiada redukcję podatków. Ale tabele w Pakiecie dowodzą, że redukcja dotyczyć będzie głównie przedsiębiorstw i ludzi najlepiej zarabiających, natomiast podatki pośrednie (VAT) wzrosną. Ponadto, jeśli by, jak chce Kołodko, już za 2 lata miało się rozpocząć przechodzenie na nowy system ubezpieczeniowy tj. przede wszystkim tworzenie funduszy kapitałowych i zgłaszanie się do nich pracujących w wieku poniżej lat 40 to ZUS wymagałby dodatkowego zasilania z budżetu przez 7-8 lat (przestałby bowiem otrzymywać składki od pracowników młodszych, natomiast nadal wypłacałby emerytury i renty jeszcze nie malejącej grupie starszych). Oblicza się ten deficyt na ok. 5 mld nowych złotych rocznie przez 8 lat do 2003 roku.

Warszawa, 13 lutego 1996

Krzysztof WOLICKI

## Z ukosa

(Z archiwum)

Po wyborach został wielki śmietnik, tak w polityce jak i w głowach. A wynik zawiesił niesmak wysoko. Każdy go widzi, ale mało kto się wstydzi.

O wyniku wyborów prezydenckich przesądziło kilka lat zespołowego knocenia na kabaretowej scenie naszej polityki. Jedyne jakiś procencik do triumfu postkomunistów, to tragicomiczne pojedynki telewizyjne przed drugą turą wyborów.

Co za zdumiewający pojedynek, bo nie miałem wcale wrażenia, że Kwaśniewski strzelał do Wałęsy, to Wałęsa sam strzelał do siebie. I trafiał niezwykle celnie.

Prowadził dyskusję szef Telewizji Wiesław Walendziak. Pomylił się i powiedział „Pan Aleksander Wałęsa”. Znakomicie to oddaje ogólnospołeczne zapotrzebowanie by z tego duetu wyłonić nie-wałęsę i nie-kwaśniewskiego. Ewentualnie z Wałęsy wycisnąć jego dobrą biografię, a z Kwaśniewskiego ogładę, inteligencję. Złać to wszystko do jednego naczynia, mocno potrząsnąć. Potem dodać co najlepsze z Kuronia, czyli wkładkę moralną uprzednio odfiltrowując nikotynę i alkohol. Całość starannie odcedzić. Nic z tego. Mamy ich tylko, obu w postaci czystej.

Po półwieczu PRL-u i 6 latach wolności, Polska nie zasłużyła na tak idiotyczną sytuację, która nawet z ludzi inteligentnych czyni bałwanów.

Ernest Skalski w humorystycznym tekście w *GW* nawołuje by w drugiej turze jednak głosować na Wałęsę, „mimo wszystko”. Wady Wałęsy są wedle niego takie: „nieodpowiedzialność, anarchizacja państwa i porządku prawnego, zachowanie prowadzące do tego, że obywatele wstydzą się swojego prezydenta”. Czy nie są to cechy, z których każda dyskwalifikuje człowieka do pełnienia tej funkcji? Czy nasza sytuacja jest aż tak durna, że inteligentny człowiek, w inteligentnym tekście, nawołuje inteligentnych ludzi by jednak na takiego kandydata głosowali zachowując cnotę inteligencji? Skalski porównuje sytuację do greckiej komedii. Już bliżej tu do sztuk Fredry.

Ze zgrozą patrzę jak skaczą wokół Wałęsy jego śmiertelni wrogowie, którzy przysięgli, że z Wałęsą „już nigdy już więcej nic”. Tańczy Geremek, Hall, nawet tańczy mecenas Chrzanowski z ZChN-u... niesmak. Wszystko z powodu racji stanu, która to racja nagle została znowu powołana do życia. Wałęsa mógłby teraz rozebrać się publicznie do naga i odtńczyć kankana, a racja stanu nadal będzie widzieć, że nie jest nagi i nie tańczy. „Unia” się czuli, bo to dla niej wielka szansa by z „mumii” przekształcić się w istotę politycznie żywą. ZChN poszarpany wewnętrznymi kłótniami, też liczy na reanimację i posady. Olechowskiemu obiecano premie-

rostwo, oświadczył więc, że pierwszy pojedynek Wałęsa wygrał. O tym, że dwa plus dwa jest pięć czytałem u Orwella, a na żywo przerabiałem w komunistycznej arytmetyce.

Wracam w niedzielę z zagranicy, niestety przed godziną 20. Zdążyłem więc powlec się na wybory i postawić „X” przy nazwisku Lecha Wałęsy. Jak miliony Polaków, kłamię pod nosem na własny los. Komunizm upokarzał mnie codziennie na sto sposobów, ale że wolne wybory w wolnej Polsce też mnie upokorzą, tego bym się nie spodziewał.

Wieczór wyborczy w telewizji potwierdził, że ludzie Wałęsy są do luzu, oprócz tych na siłę przyklejonych. Nie czułem do nich sympatii, a wielu wypowiedzi wstydzilem się.

W swojej skołatanej duszy, składałem i lepiłem potłuczoną porcelaną, by w dniu wyborczego wieczoru zobaczyć, że jest cała. I że mogę, muszę, zaakceptować wybór Wałęsy. Podczas tego wieczornego spektaklu znowu wszystko potłukło się. Tyle pracy poszło na marne. Politycy, uczeni, działacze, zwolennicy Wałęsy mówili na ogół głupstwa. Szef „Solidarności” Krzaklewski, który powiedział, że jeśli wygra postkomunista to będzie śpiewał „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie” zmienia się w moich oczach w kościelną bezzębną babę. Niech sobie śpiewa, a „Solidarnością” niech się zajmie ktoś inny. Szef Wałęsowskiej kampanii senator Gwizdź — emanuje fanatyzmem i brakiem inteligencji. Właściwie okropne towarzystwo. Pani Waniek szefowa kampanii Kwaśniewskiego niewiele lepsza. Nie mogę jednak przyjąć postawy, którą ma wielu bliskich mi ludzi. Cokolwiek mówią postkomuniści, to słowa są tylko atrapą, za którą kłębią się węże.

Do studia napływają wyniki z całej Polski. Najpierw prowadził Wałęsa, ale nagle wskazówka drgnęła i zaczęła wskazywać Kwaśniewskiego.

Tak oto Aleksander Kwaśniewski zostaje prezydentem RP. Lekko, łatwo i przyjemnie. Na nasze własne zespolone życzenie. Zasłużyło się wiele osób i instytucji. Ale najwybitniejsza zasługa samego Wałęsy. Jego błędów, braku klasy, bezgranicznej próżności. Niewiele mniejsza zasługa naszej prawicy, jej fobii i prowincjonalizmu, w końcu próżności.

Kłócono się do samego fatalnego finału i obrzucano ciepłym, prawicowo-narodowym błotem, mnożąc kandydatów nędznych i bez klasy. Tylko kilka procent głosów oddanych na postkomunistów idzie na konto Michnika i *Gazety Wyborczej*, którą Michnik wpakował w dzieło zasypywania przepaści między przeszłością a współczesnością. To była wielka idea pojednania, by się przeciwstawić Polsce ciemnej, ksenofobicznej, populistycznej. Ale tak się głupio składa, że w ten właśnie sposób nakarmiono fobiami prawicę, a szczeliny rzeczywiście zostały zasypane, w nich pochowano nasze Symbole, miary moralne i pamięć przeszłości. Po ubitej ziemi przeszli postkomuniści do prezydenckiego fotela.

Aleksander Kwaśniewski, kiedyś członek PZPR, minister komunistycznego rządu, wygina się w znak zapytania wolnej Polski. Znak ubrany w dobry garnitur. Ale na starych fotografiach widzę go jako tłustego ZMP-owca z wąsami, o tak, dobrze pamiętam ten gatunek wychowany przez PRL. A obok, na filmach, na zdjęciach, na kliszy mojej pamięci, idzie młody Wałęsa. Szczupły nerwowy robotnik, zaskakujący swoimi sformułowaniami, odważny. Czyli szlachetny młody robotnik o prostym, otwartym obliczu, naprzeciw komunistycznego aparatczyka. I proszę, co się porobiło: Wałęsa dostał gęby i brzucha, nadał się, przypomina mi partyjnych dygnitarzy. Kwaśniewski schudł, wyprzystojniał, wyszlachetniał, dostał twarzy, to już prawie nasz Clinton. Można z nim po angielsku pogadać i zagrać w tenisa.

Doprawdy śmieszają mnie pretensje do Kwaśniewskiego, że schudł, dobrze się ubiera, dobrze mówi. On pracował nad sobą. Wałęsa po tylu latach niczego się nie nauczył, nawet poprawnego odmieniania słowa ważnego: „Polska”. Nadal mówi uparcie „Polskie”.

Mój krewniak, który jest mecenasem w S. był zawsze rzetelnym antykomunistą. Kiedy pytam go na kogo głosował, mówi ironicznie: „oczywiście, na czerwoną pajęczynę”. Bo „nie mógł na tego...”, tu nie powtórzę jak określił Wałęsę. Ale równolegle opowiada jak podnoszą głowę płazy wychowane za komunistycznych czasów, wyłażą ze szczelin gdzie czekały na swój czas. Przy okazji dowiaduję się o sposobach funkcjonowania prawa na prowincji, włos mi się jeży na

głowie. „I tak jest trochę lepiej niż było”, pociesza mnie krewniak. Ale kiedy opowiada jak sam pracuje, widzę że zło i deprawacja jest w nim, tak głęboko, że już sam tego nie widzi.

Mój syn, którego nie tylko ja wychowałem, ale też wychował stan wojenny, poszedł na wybory by skreślić obu kandydatów. A więc ludzie z najbliższego mi kręgu popadli w zupełną konfuzję, a niektórzy z wściekłości i gniewu głosowali na Kwaśniewskiego.

Młode pokolenie ze zgorzeniem odcina przeszłość. Urodzili się na ostatnim etapie komunizmu, trudno by mieli długą i mocną pamięć, a my zacierając granice, kłócąc się ze sobą, ten korzeń im odcięliśmy.

Biskupi nasi udają, że nie drą szat, ale po kryjomu je drą. Jak to możliwe, że mimo zarządzonych w całej Polsce modłów za Wałęsę, naród wybrał antychrysta. To się nie mieści w głowie tym, którzy uważają naród Polski za katolicki. Nasza społeczność chrzci dziatwę, grzebie bliskich z księdzem, chodzi do kościoła, ale w tym wielkim ciełe duch katolicki jest nie większy od wyrostka robaczkowego. Biskupi mówią, że Wałęsa uosabia cnoty chrześcijańskie. Pięknie dziękuję. Nie wiedziałem, że pycha, próżność i egotyzm to chrześcijańskie cnoty? Głosując na Kwaśniewskiego, ludzie głosowali za innym stylem, za człowiekiem, który dobrze wygląda, mówi klarownie. Prawie nikt nie głosował na niego dlatego, że jest postkomunistą. Głosowano mimo wszystko. I na złość Wałęsie. Sam patrząc chwilami na Kwaśniewskiego zapomniałem o przeszłości, chociaż jestem w przeszłości tak głęboko zanurzony.

Okazało się też, że Wałęsa to jednak nie św. Jerzy, a Kwaśniewski nie jest komunistycznym smokiem. I czas spojrzeć prawdzie w oczy – Polska nie jest krajem katolickim, wbrew pewnej ilości pozorów. Nie daje się też Polakami sterować, są chorobliwie przekorni. Nie tylko Kościół bił w postkomunistów, *mass media* od góry do dołu w naszych rękach też biły, kpiły. I nic nie pomogło.

Hasło Kwaśniewskiego mówi „Wspólna Polska”. Ale największe teraz obawy, że to będzie „ich Polska”. Można się

też bać tendencji centralistycznych, gdy dzisiaj na gwałt potrzebujemy decentralizacji. Czy nie uzależnią telewizji, wojska, służb specjalnych? A na placówki dyplomatyczne będą wysyłać znajomych. (Czy my sami tego nie robiliśmy przez 6 lat?) To są realne obawy, ale tak być nie musi. Jakimś tragicznym paradoksem jest, że być może sami będziemy ich skazywać na to, czego tak się boimy. Bo oto ministrowie MSW, MON i MSZ-u podają się do dymisji z powodu wyników wyborów, nasi postsolidarnościowi ministrowie. Cała opozycja wypuszcza już w powietrze balon niewspółpracy z postkomunistami. „Niech sobie rządzą sami”. Rozumiem ten odruch. Ale teraz wszelkie próby nowego prezydenta i obecnego premiera, by obsadzać nowe pola ludźmi nie tylko ze swojego obozu nie powiodą się, bo będą bojkotowane. Nie rwijmy w tej sytuacji przynajmniej szat, że Oni znowu wszędzie się pchają. Idiocyzm sytuacji polega na tym, że każdy ruch szeroko pojętej opozycji jest głupi. Utopijna jest propozycja Marcina Króla wielkiej koalicji i próby wielkiej współpracy z postkomunistami jeśli tylko sporo dadzą, ale paranoją jest oddawanie wszelkich pól postkomunistom. W sytuacji całkowitej niemożności zmontowania silnego bloku opozycyjnego, taka postawa niczego nie załatwia. Ożywają odruchy z dawnych czasów, bojkotu, odrazy moralnej, wtedy też były przywilejem mniejszości, ale wówczas były szlachetne, dzisiaj są śmieszne. W demokratycznej Polsce, o którą walczyliśmy, w wolnych wyborach, miliony Polaków podjęły suwerenną decyzję, która jest drzazgą w naszym sercu. I trzeba z tym żyć.

Widzę coraz więcej osób, które oszalały z zawiedzionej miłości do Wałęsy. Co przeradza się czasami w nienawiść. Niektórych prowadzi to w kierunku populizmu, innych jak przeznaczonego Andrzeja Drawicza, czy Basię Labudę pchnęło w ramiona Kwaśniewskiego. Ujrzeni po jednej stronie Polskę klerykalną, prawicowo-narodową, zaściankową – gdy w niebieskich oczach Kwaśniewskiego zobaczyli Europę. Sytuacja jest doprawdy głupia skoro tak wiele poglądów przeradza się w ich karykaturę. Skrajnym przykładem jest poeta i eseista Jarosław Marek Rymkiewicz. W *TS* oświadczył: „Wielu Polaków opowiedziało się za komunizmem. Powstaje

pytanie, dlaczego, ale moim zdaniem, nie warto na nie odpowiadać. Tym Polakom ja odpowiadam, parafrazując trochę słowa „Pierwszej Brygady”, jebał was pies. I nie myślcie, że jesteście Polsce potrzebni. Polska was nie potrzebuje”. Trudno tu nie zapytać, czy to jeden pies, czy 6 milionów, rasowy, czy kundel?

Jadę na Śląsk, którego właściwie nie znam. Nie zawiódł mnie smog i węgiel na twarzach wielu ludzi. Młode pokolenie jednak jakby czyste. Ale zagęszczenie grubiaństwa, pijaków w stanie nieprzytomnym, rugania się wzajemnego ludzi a nawet jawnego mordobicia. Chwilami mam poczucie zupełnego wyobcowania i orientu. Parter to wystawy, zwykle mało gustowne, ale nie tak siermiężne jak kiedyś, w sklepach jest wszystko, lecz górne piętra nadal w stanie smutnym. To wszystko nie trzyma się kupy. I pomyśleć, że w tej aglomeracji mieszka ponad 4 miliony ludzi, a pod nogami pełzają w tunelach i pazurami drą węgiel, który nie jest już temu krajowi potrzebny.

Spotykam grupę ludzi, którzy są związani z kulturą, piszą wiersze i tam żyją. Działacze kulturalni mówią, że gdy chodzi o sposób wydawania pieniędzy, układy, to mają poczucie, że nic się nie zmieniło.

Konkurs poetycki. Dużo młodzieży, przejęci, a więc oni też, jak my kiedyś, wierzą, że słowo jest ważne. Nagradzamy dziewczynę, która napisała wiersz o swoich myślach erotycznych wobec księdza. Jak zareaguje sala? Spokojnie i ciepło. Polska jest o wiele bardziej obskurancka niż myślimy i o niebo bardziej liberalna niż nam się wydaje.

To nie wygrana Kwaśniewskiego jest dramatem, a partolenie. Jak partolą nasi politycy, tak partolą nasze urzędy, szefowie instytucji małych i dużych. Wielokroć piszę, że Polska jednak idzie do przodu, wskaźniki gospodarcze o tym krzyczą. A jednak trudno być spokojnym, bo kiedy zajdzie się na zaplecze czegokolwiek, nawet tych prywatnych firm, to wyłazi indolencja i partactwo. Niedawno rozmawiałem z osobą na kierowniczym stanowisku w LOTcie, opowiada o burdelu i niekompetencji. I tak jest wszędzie, gdzie jest duża instytucja. Dlatego tak powszechny jest pesymizm i

lekceważenie optymistycznej statystyki. Ludzie obawiają się, że to się wkrótce skończy. „Dno było tak nisko, że nawet przy partactwie można było szybko skoczyć do przodu, teraz jednak, po tym pierwszym stopniu zaczną wyłazić szwy”. To często słyszę. A jednak kilka dni temu byłem w prywatnej firmie filmowej. Bardzo elegancko, właściciel był najbardziej dumny ze sprzętu komputerowego i z przysznicu. Zastanawiałem się nawet czy nie skorzystać, przez grzeczność. Na Śląsku rozmawiam z ludźmi, którzy pracują w prywatnych firmach. Firma D. jest o kilka kilometrów od firmy, z którą kooperują, ale kontaktują się przez łącza satelitarne, bo zwykłe telefony szwankują. D. pracuje tam od niedawna i nie wie gdzie pomieścić nonsensy, które dostrzegł podczas tych dwóch tygodni. Jest młody, zdziwiony – „czy to możliwe, że to nie tylko PRL tak ogłupił, skorumpował i ubezradnił Polaków”. Co mam mu powiedzieć? Niestety, to możliwe.

A jednak idziemy do przodu. Skąd więc to czucie i obawa, że wszystko się popruje? Strach, że nadal tak wiele u nas ciemnego myślenia.

Dyskusja w *Res Publice* o 6 latach wolności. Dyskutujemy w zaduchu papierosowego dymu, co jakby potwierdza, że atmosfera w tym kraju zawsze nieco przytruta. Pod koniec notuję swoje refleksje. Na żadne z podstawowych pytań dotyczących Polski nie było wyraźnej odpowiedzi.

Nie wiemy czy okrągły stół miał kanty? Czy był on nieszczęściem, czy tylko nieuniknionym błędem, a może najlepszym wyjściem z matni.

Czy mieliśmy dobrych premierów, czy byli przede wszystkim nieudolni. Czy słusznie przyklepiono etykiety: Mazowiecki – żółw, Bielecki – w krótkich portkach, Suchocka – histeryczka, Pawlak – portret pamięciowy.

Czy Unia to „mumia”, a poza tym Żydzi, a jeśli tak, to co u licha to znaczy, skoro w Polsce Żydów nie ma?

Czy liberałowie to złodzieje, a jeśli tak to co ukradli?

Czy plan Balcerowicza był o jeden most za daleko?

Czy stara nomenklatura się uwłaszczyła, zawiązuje spiski w gospodarce, knuje?

Czy lustracja była możliwa, czy niemożliwa, czy byli agenci ją obalili, czy ludzie ratujący kraj przed szaleńcami?



Czy Wałęsa to geniusz, „Nikifor polityczny”, czy mniej niż zero?

Czy miasto chciało skremować trzy miliony chłopów polskich? Czy to raczej nasi chłopci chcą zjeść miasto?

Czy nasza prawica jest prawicowa, a lewica rzeczywiście lewicowa, skoro tyle lewicy w myśleniu na prawicy?

Czy nasza gospodarka się bujnie rozwija, czy się zwija i degraduje?

Przeszłość jest niepewna i zamglona. Pewna jest tylko przyszłość – opozycja będzie się kłócić, nie dogada się ze sobą i nie zjednoczy. Można więc jedynie liczyć na autodestrukcję postkomunistów. Ale termin „postkomunizm” też wkrótce ulegnie rozmyciu, a działanie farb, makijażu, naturalnych procesów ewolucji zrobi swoje, rzecz dopełnią skrawki ludzkie i nieludzkie, które zaczną odrywać się od ugrupowań dawnej „Solidarności” i przylepiać do tych co mają dzisiaj władzę. Czyli marmolada.

8 grudnia 95

Mój tekst nie wcisnął się do zatłoczonego numeru. Został więc na przystanku i poczekał mimo okrutnych mrozów na numer następny. Pomyślałem, może dobrze. Uczciwie zostawię co napisałem i zobaczymy gdzie spudłowałem, gdzie byłem głupi i naiwny. Sąd uznaje, że prezydent elekt kłamał w sprawie swego wykształcenia, ale dla dobra Polski nie wolno zmieniać wyniku wyborów.

12 grudnia

Patrzę na filmowe wspomnienia stanu wojennego i lat następnych. Skurcz wzruszenia, ale każde wzruszenie jest od razu pokrywane przez zwierzęta dnia dzisiejszego. Na niemal każdą ówczesną twarz włazi dzisiaj gęba i ją pokrywa, coś okropnego. Tylko tragicznie zmarli wymykają się szczęśliwie z tej opresji. *Gazeta Polska* oraz inne paskudniki tego typu nie krzyczą a wyją. „Prezydent kłamca”. Nawet jeśli to prawda, to wycie prawdy, prawdę zabija.

Mecenas Olszewski tworzy partię polityczną. Jego krzaczaste brwi są z każdym tygodniem coraz bardziej nastroszo-

ne. Ciekawe do jakiego stanu one dojdą. Na stole przed nim Matka Boska, a obok przy stolcu prezydiąlnym i na sali znowu gęby, gęsto jak kapusta na polu. Gębiastość tłumu narodowo-katolickiego jest uderzająca. Oni z Wałęsą nic, żadnych form współzycia. Jedyne miejsce gdzie się rozumiemy.

Czy zrealizuje się czarno-czerwony scenariusz polaryzacji Polski między te dwa kolory? Jeśli nie zagospodarujemy środka, to skrajności nas zjedzą.

Wybucho bomba, wydaje się, że ładunek wybuchowy jest z paskudnej materii. Premier Józef Oleksy ma być agentem KGB. Tak twierdzą służby specjalne i odchodzący minister MSW Milczanowski. Taki wybuch i nic, ludzie idą jakby nic się nie stało, są tak zmęczeni historią, politycznymi perturbacjami, walką o przetrwanie, wojnami na górze i na dole, że niemal obojętnie przyjęto tę wiadomość. A przecież pód bokiem, w Rosji, wygrywiają komuniści i nacjonałiści, gotuje się ruski kocioł.

Rozwija się czarny scenariusz, który od początku wydawał się najbardziej realny. Prawda co do Oleksego okazuje się niezwykle trudna do ustalenia. Premier zmienia się w nabrzmiały wrzód i tak będzie wzbierał tkwiąc jak Ordon na reducie. Prokuratura wojskowa odsyła akta Oleksego do uzupełnień bo są niewystarczające. W takich sprawach dla sądu innego niż kapturowy akta będą niemal zawsze niewystarczające. Czy nie jest to wszystko prowokacją rosyjskiego wywiadu? Albo efektem złej woli, lub niekompetencji? Jeśli sprawy nie da się do końca wyjaśnić Polska stanie się beczką pełną emocji. Na górze obrońcy Oleksego i jego śmiertelni wrogowie będą się opluwać. A na dole będzie się kisić niesmak i obojętność wobec najważniejszych spraw życia publicznego. Brak mocnych dowodów spowoduje, że zadziała znane prawo psychiczne. Dawni zwolennicy postkomunistów uruchomią mechanizm obrony swoich przekonań i wierzyć będą jeszcze mocniej. Wrogowie upijają się będą nienawiścią. Polska podzieli się na trzy światy. Dwa wrogie obozy i trzeci obóz, ludzi znieczulonych. Nie wiem gdzie jest miejsce dla mnie? Ale te dwa wrogie obozy okażą się karłowate i żałosne, zostaną pochłonięte przez wielki obóz ludzi obojętnych. Czy

ten kraj będzie miał wtedy jeszcze jakiś smak, oprócz smaku reklam, pieniędzy i gnicia?

Jak zwykły człowiek widzi polski krajobraz polityczny? Lech Wałęsa był oskarżany o współpracę z UB, miał donosić, są podobno jakieś kwity, że wziął pieniądze. No, ale to było dawno. Teraz urząd podatkowy nakazuje zajęcie jego domu za nie zapłacony podatek. Obecny Prezydent, kiedyś działacz PZPR szykując się do Prezydentury kłamał, udawał, że ma wyższe wykształcenie, a też oszukał w zeznaniu podatkowym. Premier, postkomunista, podejrzany, że jest agentem KGB. Oskarżają, odchodzący Prezydent i minister Spraw Wewnętrznych. Trudno jednak mieć pewność, że te oskarżenia są prawdą. Wystarczy.

Nie, nie wystarczy. W tym wszystkim najgorsze, że prawie nikt się tym nie przejmuje, naród ma to gdzieś. Na kilku obiadach i kolacjach świątecznych na których byłem, nikt o tym nie mówił. Ludzie mówią o pieniądzach, ten się buduje, tamten kupuje samochód. Zamiast małego Chrystusa w kołyszce kołyszają się pieniądze. Że jakiś Oleksy może być jakimś agentem jakiejś tam Rosji – kogo to obchodzi?

Polska ma 6% wzrostu gospodarczego. Pierwszy dzień Świąt. Polacy siedzą w domach. Wsuwają mięsiwa i ciasta. Mówią o pieniądzach. Korzystają z okazji, nawiązują kontakty, nawet te fragmenty rodziny, które się nie lubiły teraz sklejają się dzięki interesom. Chcieliśmy wolność i kapitalizm, to go mamy. Nikt nie mówi o sytuacji politycznej. A poza tym Polacy, jak mieszkańcy całej cywilizowanej Europy, nałogowo oglądają telewizję. Podłączeni są do dziesiątków kanałów językowej wieży babel. Leżą, siedzą, jak na reanimacji z igłą kabla w żyłę. I płynie śmietnik obrazów setką programów, nieustannie przełączanych w poszukiwaniu czegoś szczególnie mocnego. Msza, którą celebrytuje Papież, a obok łamanie szcęk. Ale największe na mnie wrażenie robią kolędy, zupełnie poważnie śpiewane w tyłu stylach ile jest sposobów przyrządzania karpia. Przeważają kolędy na rockowo. Prymas poucza, mówi, że „my Polacy jesteśmy niedoskonali”. Słusznie. Jest pierwszy dzień Świąt. Czy współczesny świat nie wydaje się być stracony, beznadziejnie stracony?

Sprawa premiera Oleksego jest jakoś dziwnie centralnie zawieszona między grozą a groteską, śmiechem a płaczem. Aferę ujawnili przecież ubecy dawnych czasów, więc paradoksy łączą się w kaskady. Wydarzenie okazało się nawet tematem poetyckim a wierszyk napisał sam Zbigniew Herbert. Zaczyna się od słów: „*Jeżeli się okaże / że mój Premier / o dobroduszej twarzy / opata dochodowego klasztoru / mnie naprawdę zdradził / powiedzcie co mam robić / co czynić wypada*”.

Oleksy twierdzi, że: „to brudna prowokacja chorych z nienawiści”. Twierdzi, że wielką świnię podłożyli mu oficerowie UOP, a może nawet Rosja – ale się porobiło, bo to przecież jego dawni towarzysze. Jeśli Premier jest niewinny, to broni się raczej nędznie i arogancko, ale łatwi oskarżyciele, którzy na tym żerują, też jakoś brzydko pachną.

Jest agentem czy nie jest? Tony słów, a wszystko jakieś paskudne. Ujawniono obrzydliwą substancję, bez pewności, co to właściwie jest. Problem z tym – tło zostało zamazane wydzielinami naszych konfliktów. Na tym tle nic już nie jest wyraźne. Przemagam się by brać do ręki gazetę, otwierać radio i telewizję, wszystko się tym lepi. Z każdym dniem *mass media* ujawniają coraz więcej tajemnic, a łatwość dostępu do tajemnic państwowych rodzi pytanie, czy po tej sprawie istnieć jeszcze będzie pojęcie państwowej tajemnicy? Fruwają dziesiątki nazwisk agentów, kontaktów, siatek polskich, sowieckich, rosyjskich. Agentów, żywych, martwych, przewerbowanych, przefarbowanych, „Olin”, „Minim”, „Kat”, itd.

Po 31 latach Kuroń i Modzelewski znowu piszą szlachetny list, a w nim sprawę Oleksego widzą w sposób skomplikowany. Wątpią w jego winę, ale uważają, że powinien podać się do dymisji. Napędza ich grozą, że za sprawą stoją dawni ubecy, pamiętają ich jako oprawców z czasów kiedy siedzieli w ciupie. A najlepiej pamiętają kapitana F. awansowanego teraz na generała za odwagę w ujawnianiu sprawy Oleksego. Czy za tym nie kryje się przede wszystkim pomysł na skompromitowanie SLD i przejęcie władzy przez opozycję – zastanawiają się Kuroń i Modzelewski – sugerując nawet spisek mający skompromitować SLD. Pytają: „Czy promowa-

nie ludzi dawnej bezpieki do roli świętego Jerzego polskiego antykomunizmu, nie jest zbyt wygórowaną ceną za próbę wejścia do rządu?”

Politycy UW, dawni współwięźniowie i ofiary tych samych kapitanów SB, we wspólnym tekście gwałtownie atakują Kuronia i Modzelewskiego. Przypominają, że przełożonym dawnym SB-eków, w tej sprawie był przecież „nasz” minister i „nasz” szef kontrwywiadu. A poza tym: „Jesteśmy głęboko przekonani, że powaga sytuacji wymaga ruchów zdecydowanych. Odsunięcie SLD od steru władzy staje się zadaniem pierwszoplanowym dla przyszłego bytu państwowego”. Jak UW ma dogadać się z PSL-em czy KPN-em, tego nie piszą.

Ukazują skrawki sporów jakie toczą się na spienionych obrzeżach tej sprawy. A sondaże ujawniają sieczkę w głowach ludzi. Sprawa Oleksego nie zmniejszyła popularności SLD, Sojusz ma nawet o 3% większe poparcie niż przed aferą. Polacy mają dosyć sporów i afer, chcieliby aby wszystkie partie w Sejmie dogadały się i stworzyły koalicję, niemal 50% pytanym optuje za takim naiwnym i niepolitycznym scenariuszem. Można teraz deliberować, co stało się z polskim patriotyzmem: rak to, czy tylko grypa?

„Załamanie się etycznych standardów w polityce i kształtowanie się oligarchicznych struktur państwa”, diagnozuje obecny kryzys Ryszard Bugaj. „To już chyba nie ma szansy dla Polski” – pisze w dramatycznym, ale dobrym tekście A. Szczypiorski. Ale przecież on sam i wielu z nas uwierzyło kiedyś w SLD, piło z nimi wódkę i gadało, gadało, nie inaczej jak Oleksy z Ałganowem. Oleksy był niepokojąco blisko z Ałganowem, ale czyż jeszcze bliżej z Oleksym nie były symboliczne postacie naszej dawnej opozycji?

„Toczy nas – państwo i społeczeństwo – ciężki kryzys. Ludzie są zgnębieni i przerażeni”, pisze Kazimierz Dziewanowski. Nie zauważyłem by tym właśnie tak byli zgnębieni i przerażeni. Ugrupowania prawicowe zwołują wiec pod pomnikiem Witosa. Wiec zgrozy. Idą, mimo przeziębienia i mrozu. Spóźniłem się nieco. Nie zastałem żywej duszy. Podobno zgromadziło się na chwilę 200 osób. Chyba było za zimno?

Nareszcie, Józef Oleksy podaje się do dymisji. Twierdzi, że został zaszczuty. Przemawia w telewizji, a potem spotyka się z dziennikarzami. Ja myślałem, o naiwny, że to przebiegły słoń, a okazało się, że z niego tylko osiołek. Ujawnił tyle mało inteligentnych zaślón, dziecinnych tłumaczeń. Chwilami jego bezradność mogła budzić rozczulenie, na dodatek ta łysina i otyłość. Jestem po tym spektaklu nawet skłonny uznać, że nie był agentem, a tylko nie wiedział co czyni z agentem się spotykając – jego niewiedza, była oczywiście garbem komunistycznym wyhodowanym w dawnych czasach. Wierzę, że przez ostatni miesiąc Józef Oleksy wiele przeszedł, ale wierzę też, że niczego się nie nauczył.

Podobnie SLD. Partia bez przeszłości, bez rachunku sumienia, a milion dolarów, który mieli dostać od partii sowieckiej coraz mniej jest mitem, coraz bardziej faktem.

I oto właśnie Józef Oleksy, przeciwko któremu prokuratura wojskowa już prowadzi śledztwo, już nie premier a podejrzany o szpiegostwo, jest jedynym kandydatem SLD na jej szefa. I zostaje nim. Chciało by się powiedzieć, że to nie tylko arogancja, ale akt samobójczy tej partii, gra w rosyjską ruletkę. Zadowoleni, że wybrali Oleksego, jacy solidarni. A do tego prezydent „wszystkich Polaków” ściska go, gratuluje i uważa go za przyjaciela.

Dlaczego nie ma we mnie takiego gniewu, zgorzienia, jakie winny być? Spotykam W. niegdyś bohatera naszego podziemia. Macamy się i dotykamy bolesnego miejsca, a najbardziej boli nas to samo. To nie jest przejście władzy przez SDRP, afera Oleksego, a rozczarowanie nas samych do nas samych. Do ludzi, którzy działali w opozycji, a potem przejęli władzę. Pół biedy partolenie. Najstraszniejsze jest inne podejrzenie – nie jesteśmy o wiele lepsi moralnie. Stała się deprawacja władzą, wzdęcia godnościowe, epidemia cynizmu, zanik myślenia w kategorii dobra wspólnego, nowy typ konformizmu, K. opowiada o relacjach kierowców służbowych, dygnitarskich wozów – „takich aroganckich panów nie było za komunizmu”. Tak, z tym też spotykam się na każdym kroku. Coraz mi trudniej wracać do przeszłości, bo to co mi się wtedy zdawało heroiczne, teraz – zaglądam – jest w środku puste.

Dlatego gdy pękł postkomunistyczny wrzód, jego

obrzydlistwo na tle naszego upadku jest zamazane i niepewne. Ma miejsce skarlenie dawnej odwagi i dzisiejszej podłości.

Toczę wewnętrzną walkę o własną biografię, o rzeczy, które najbardziej ceniłem w swoim życiu. O chwilę odwagi. I chwilę słabości. O serce w gardle. O krzemień gniewu, o łzę wzruszenia. Łopot flag na dźwigach stoczni, słodki zapach zadrukowanych stron, zdejmowanych ze spirytusowego powielacza. Jestem blisko, by w dzisiejszym śmietniku i niepamięci to wszystko stracić, raz na zawsze. Najgorsze, że bez tego też można żyć.

28 stycznia 1996 r.

SMECZ

## KSIĄŻKI POLSKIE

### ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

#### DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

**ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI**

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

**SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI**

## Sprawy i troski

### Kontrakt regionalny dla województwa katowickiego

Pomysł podpisania Kontraktu zrodził się mniej więcej jednocześnie w katowickim Urzędzie Wojewódzkim (listopad) i w Zarządzie Regionalnym „Solidarność” (Zjazd regionalny '94).

Bazą Kontraktu w wersji wojewódzkiej był „Program Regionalnej Polityki Gospodarczej Górnego Śląska” sformułowany przez rząd w listopadzie 1991 r. oraz zlecone przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu a opracowane w lutym 1994 r. przez Górnośląską Agencję Promocji Wspólnych Przedsięwzięć S.A. w Katowicach dwutomowe studium pt. „Skorelowanie Programów Sektorowych z Programem Regionalnej Polityki Gospodarczej Górnego Śląska”.

Bazą dla reprezentującej stronę społeczną „Solidarności” była społeczna potrzeba złagodzenia skutków: skażonego środowiska i narastającego bezrobocia oraz przekonanie o potrzebie mobilizacji odpowiednich sił fizycznych i intelektualnych w regionie, do przyszłych rozmów z rządem. Propozycją był okrągły stół.

Prace nad obydwojoma projektami biegly dwutorowo, bez bliższych wzajemnych kontaktów. W piśmie z dn. 1.10.94 przewodniczący Regionu Marek Kempski pisze: „Nasza formuła kontraktu jest otwarta. Mamy swoją propozycję, ale jesteśmy gotowi przyjąć lepsze, poruszamy kilka problemów, ale oczekujemy następnych. Nasze nadzieje są olbrzymie, ale na początek oczekujemy jednego – deklaracji poszukiwania rozwiązań wspólnych”.

Związek „Solidarność” w 1994 r. zorganizował dwie demonstracje. Pierwsza z nich odbyła się 22 września pod Urzędem Wojewódzkim w Katowicach. Zapoczątkowała ona

porozumienie nie tylko ważniejszych organizacji i instytucji w województwie, ale również spowodowała ustną deklarację Lecha Wałęsy o przyjęciu patronatu nad Kontraktem. 23.10.94 r. ukazał się wspólny komunikat wojewody i prezydów Sejmiku Samorządowego i Zarządu „Solidarności”, w którym zgodnie stwierdzono, że „obydwa kierunki prac wzajemnie się uzupełniają”. 3.01.95 r. opublikowano list intencyjny, który ogłosił współdziałanie sześciu środowisk związanych z samorządami terytorialnymi i gospodarczymi, związkami zawodowymi („Solidarność” i OPZZ) i administracją rządową. Powołano też Wspólną Grupę Roboczą. Druga demonstracja (kontrowersyjna ze względu na starcia z policją) odbyła się 26 maja 1995 roku przed Urzędem Rady Ministrów w Warszawie i doprowadziła przy pomocy marszałka Sejmu Józefa Zycha do powołania pod przewodnictwem wicepremiera Romana Jagielińskiego Podkomitetu Polityki Regionalnej i Rozwoju Obszarów Wiejskich. Podkomitet ten uczestniczył później w przygotowaniu Kontraktu.

W województwie od pracy odsunięto partie polityczne i przystąpiono do formowania „Regionalnej Umowy Społecznej”, stanowiącej dokument porozumienia społecznego. Podpisało ją kilkanaście instytucji i organizacji. Składa się z 23 stron i 320 punktów. Ale w rozdziale pt. „Deklaracje” czytamy: „Przyjmując zasadę dobra wspólnego, zapewniamy iż w działaniu, chociaż nastawionym na region, w którym żyjemy, kierować się będziemy interesem Rzeczypospolitej Polskiej i jej mieszkańców, i że służyć ono będzie kształtowaniu się współpracy europejskiej”. A w punkcie 4: „...interes własny stawiając na drugim miejscu”. Regionalna umowa jest integralną częścią Kontraktu Regionalnego dla Województwa Katowickiego.

Kontrakt podpisany został 5 listopada 1995 r. Stronę społeczną reprezentowało dziesięć organizacji m.in.: Sejmik Samorządowy, OPZZ, NSZZ „Solidarność”, Związek Górnośląski (skupiający głównie inteligencję śląską), stronę rządową reprezentował wojewoda Eugeniusz Cizak w obecności wicepremiera i Ministra Finansów Grzegorza Kołodki, wicepremiera, Ministra Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, Przewodniczącego Podkomitetu Polityki Regionalnej... Romana Jagielińskiego i Szefa Urzędu Rady Ministrów Marka Borowskiego.

Dokument składa się z 33 stron i podzielony jest na osiem podrozdziałów: edukację, bezpieczeństwo socjalne,

samorządność, gospodarkę (w tym segmenty lokalne); finanse, strukturę instytucjonalną Kontraktu oraz wykonanie i postanowienia końcowe. Segmenty lokalne mają tworzyć sieć przemysłowo-rolniczą i powinny mieć postać jednostek prawa handlowego lub wyjątkowo fundacji. Nad realizacją postanowień ma czuwać Rada Kontraktu Regionalnego. Kontrakt obowiązywać ma 20 lat i daje możliwość corocznej aktualizacji porozumień. Istotą jego będzie powołany do życia Fundusz Górnośląski (namiastka skarbu górnośląskiego) i deklaracja strony rządowej, że w 1996 r. dokona dodatkowo na jego rzecz przelewu w kwocie 40 mln. zł. a w dwóch następnych latach po 30 mln. w każdym. Drugim bardzo ważnym elementem Kontraktu jest zdecydowana opcja w kierunku podziału Polski na regiony – stąd też zgłoszona przez stronę wojewódzką teza o wzorowości podpisanego porozumienia.

W okresie od bardzo uroczystego podpisania do końca 1995 roku powołano do życia Radę Kontraktu oraz wyłonione z niej Prezydium. Rada stanowi reprezentację i składa się z przedstawicieli strony rządowej (13 resortów) i aktualnie konstytuującej się strony społecznej (przedstawiciele związków zawodowych, samorządu, gmin, związku gmin itd.). Prezydium złożone m.in. z dziesięciu członków (po pięciu z każdej strony) jest organem koordynacyjno-wykonawczym. 21.12.95 powołano do życia Fundusz Górnośląski S.A., jako podstawę lokalnego rynku kapitałowego, na konto którego wpłynęło już obiecane 40 mln. zł. z kasy rządowej. Koło zamachowe całego przedsięwzięcia – segmenty lokalne też zaczynają już się formować. Dla ich rozwoju przewidziano stworzenie specjalnych stref ekonomicznych oraz obszarów wolnocłowych.

Podpisanie Kontraktu Regionalnego było wynikiem kompromisu pomiędzy potrzebą kompleksowej restrukturyzacji województwa a przedwyborczą „miękkością” rządu. Kompleksowa restrukturyzacja przemysłu katowickiego wymaga sformułowanie nowego systemu społeczno-gospodarczego dla całej Polski. Losy Kontraktu, ale też i całej gospodarki polskiej, zależą będą od utrzymania na dystans partii politycznych oraz konsekwentnej i solidarnej postawy, przede wszystkim strony społecznej na Śląsku Katowickim.

Jeżeli natomiast realizacja całego tak ważnego przedsięwzięcia załamała się, to zostaną poważnie wzmocnione tendencje separatystyczne na Śląsku – również Opolskim, a owoce tego faktu ponownie zbiorą zjednoczone Niemcy.

Ryszard SURMACZ

## Wyjaśnienie

Dowiedziałem się, że parę osób z Londynu ma mi za złe, że w moich sprawozdaniach londyńskich używam pseudonimu, zamiast „odkryć przyłbicę”.

Ci pilni czytelnicy powieści historycznych powinni wiedzieć, że przyłbicę wkładano po to, by chronić głowę, a nie by ją odsłaniać. W tym wypadku nie chodzi o moją głowę, geograficznie bezpieczną, ale o moich znajomych w Londynie, których nie chcę narażać na podejrzenia i przykrości.

Co im może grozić? Bardzo wiele. Szykany osobiste, które – zwłaszcza w starszym wieku – mogą być bardzo dotkliwe; zamknięcie dostępu do różnych imprez i instytucji; przekreślenie możliwości otrzymania jakiejś pomocy, z pozostałych publicznych funduszy dla pracy społecznej, z którą są związani, a nawet zagrożenie angielskim sądem.

Obecny Londyn miałem okazję dobrze poznać a o dawnym emigracyjnym, dowiedziałem się z archiwów, w tym z ówczesnej prasy. Toczyły się w niej bardzo czasem ostre spory, krytykowano się wzajemnie, padały imienne zarzuty. Zygmunt Nowakowski gromił, Hemar i Karol Zbyszewski wysmiewali – i nie tylko oni jedni. I jakoś uchodziło.

Dzisiaj gromadka zachwyconych sobą wieczystych prezesów i samozwańczych dysponentów dorobku emigracji (tak w instytucjach, jak i w żywej gotówce) jest nietykalna. O nich jak o nieboszczykach – „nihil nisi bene”.

Mogli byli otwarcie polemizować w swej monopolistycznej prasie z moimi wrażeniami i odpierać moje zarzuty. Dlaczego nie wyścignęli ich na światło dzienne?

Były czasy, że moje półzartobliwe sprawozdania mogły się być ukazać w *Dzienniku Polskim*. Żeby dziś wyrazić jakąś krytykę bez narażania kogokolwiek, trzeba nałożyć przyłbicę i uciekać do Paryża.

QUIDNUNC

## Sąsiedzi

### Notatki rosyjskie

Poprzednią kronikę, datowaną 14 grudnia 1995, zacząłem od przepowiedni, jakie będą wyniki wyborów do Dumy. Nie miałem wątpliwości, że większość zdobędą komuniści i ich „bratnie partie” (agrarnicy, „Rosyjskie kobiety” itd.). Jeśli pominąć szczegóły, nie omyliłem się. Przy wyborach do Dumy głosuje się na listy partyjne (lista musi zdobyć nie mniej niż 5% głosów) oraz na kandydatury jednomandatowe, tzn. nie na partie, a na kandydatów. Na 43 partie, które stanęły do wyborów, barierę pięciu procent zdobyły tylko cztery: komuniści, „liberalni demokraci” Żyrynowskiego, „Naszym domem Rosja” Czernomyrdina i „Jabłko” Grigorija Jawlinskiego. Porażka „agrarników”, „Rosyjskich kobiet” i „Zjazdu Wspólnot Rosyjskich” Skokowa i Lebedia była zaskoczeniem. Jednak niemało przedstawicieli tych partii przeszło z list jednomandatowych (na przykład generał Lebed') i zrzeszyło się z komunistami.

Wokół Genadija Żiuganowa uformowała się frakcja, licząca 30-33% deputowanych, Żyrynowski stracił – w porównaniu do składu poprzedniej Dumy – połowę głosów, ale dysponuje 11%, pozostali deputowani skupiają się wokół prezydenckiego bloku „Naszym domem Rosja”, reformatorskiego „Jabłka” albo chodzą samopas. Skład Dumy jest zbyt „racjonalny”, aby uważać go tylko za wynik wyborów. Obliczanie głosów ciągnęło się dwanaście dni, nikt jednak nikogo wprost nie oskarżył o fałszerstwa. Przewodniczącym Dumy wybrany został komunista, były naczelny redaktor *Prawdy* Gennadij Sielezniew. Frakcja komunistyczna nie miała dość głosów, ale pomógł jej niespodziewanie Grigorij

Jawlinski, ponieważ „Jabłko” odmówiło udziału w wyborach.

Wybory do Dumy można rozpatrywać jako pierwszą turę wyborów prezydenckich. Pokazały one – w ogólnych zarysach – jakie są nastroje społeczne, określili się przyszli kandydaci, wypróbowano aparat obliczania głosów. Borys Jelcyn, czego się wszyscy spodziewali, oświadczył, że ma zamiar ponownie kandydować i rozpoczął przedwyborcze manewry. Okręt państwowy wziął kurs na lewo, o ile przeciwników reform i demokratycznych przemian można usytuować na lewicy. Stratedzy jelcynowskiej kampanii wychodzą z założenia, że „prawica”, tzn. zwolennicy reform, będzie głosować na obecnego prezydenta. Głosy „lewych” są więc potrzebne.

W toku pierwszego powyborczego miesiąca Borys Jelcyn przedsięwziął szereg kroków, aby zdobyć dodatkowe głosy. Mówiąc o wyborach ludzie mają zazwyczaj na myśli Dumę, tzn. jej niższą izbę. Jest jednak i wyższa – Rada Federacji. Konstytucja przyznaje jej znaczną władzę. Rada Federacji nie pochodzi z wyboru, lecz tworzy się drogą kooptacji. Wchodzi w jej skład po dwóch przedstawicieli każdego z 89 członków Federacji: republik, krajów, obwodów, oprócz nich szefowie władzy wykonawczej (prezydent, gubernator) i głowa władzy ustawodawczej. Po rozpadzie Związku Sowieckiego modne było (zwłaszcza w Polsce) zapowiadanie rychłego rozpadu Rosji. Nic takiego się nie stało. „Przedmioty Federacji” wywalczyły sobie znaczną autonomię, uznając równocześnie zależność od centrum. Dziś prowincjonalni przywódcy (Rada Federacji) są jednym z elementów stabilności, bo każdy kolejny wstrząs (na przykład pojawienie się nowego, silnego prezydenta) im zagraża. Borys Jelcyn swym „nowym kursem” wsparł w wyborach do Dumy przewodniczącego Rady Federacji Jegora Strojewa, gubernatora obwodu orłowskiego, byłego pierwszego sekretarza obkomu w Orle, sekretarza KC i członka Biura Politycznego za czasów Gorbaczowa.

Z rządu usunięto dwóch ministrów, których nazwiska kojarzyły się z „byłym kursem”, mianowicie wicepremiera Anatola Czubajsa, „ojca prywatyzacji”, oraz ministra spraw zagranicznych Andrieja Kozyriewa. Miejsce Czubajsa zajął Władimir Kadannikow, dyrektor fabryki samochodów „Lada”. Fabryka chyli się ku upadkowi, bo jej produktu nikt nie chce nabywać. Okazało się to widocznie dostateczną

rekomendacją na to, aby Kadannikowowi powierzyć pieczę nad gospodarką Rosji. Z jego pierwszych wypowiedzi na nowym stanowisku jasno wynika, że jest gorącym zwolennikiem hojnej pomocy państwa dla deficytowych przedsiębiorstw tzw. kompleksu przemysłu wojskowego, pomocy dla – cytuję – „przemysłu narodowego”.

Teka ministra spraw zagranicznych przypadła Jewgienijowi Primakowowi, który w tym celu opuścił stanowisko szefa wywiadu rosyjskiego. Amerykański komentator William Safire pisał 16-go stycznia w *New York Times*: „Na wieść, że stanowisko ministra spraw zagranicznych objął Jewgienij Primakow, Zachodem wstrząsnął dreszcz”. Jim Hoagland z *Washington Post*, znajomy Primakowa, oświadczył: „To rosyjski Talleyrand, który umie zmieniać kariery i patronów politycznych zawsze, kiedy trzeba”. O ile Andriej Kozyriow był przypadkową figurą, drobnym urzędnikiem ministerstwa spraw zagranicznych, który we właściwym momencie znalazł się pod ręką, akurat kiedy Borys Jelcyn stawiał na pomoc Zachodu, o tyle Jewgienij Primakow (urodzony w 1929 roku w Kijowie) ma za sobą długą karierę za Breżniewa, Andropowa i Gorbaczowa. Zajmował wysokie stanowiska w radiu, w *Prawdzie*, pisał książki, był członkiem Akademii Nauk ZSSR, objeżdżał z rozmaitymi poruczeniami kraje Bliskiego Wschodu. Od 1969 roku zna Saddama Husejna – prowadził z nim rozmowy w przededniu wojny w Zatoce Perskiej, starając się zapobiec konfliktowi. Całkiem niedawno, kiedy wcale pokaźna kolonia Czeczeńców, żyjących od XIX wieku w Jordanii, zaczęła zbyt aktywnie pomagać braciom w Czeczenii, Jewgienij Primakow udał się do swego starego znajomego, króla Jordanii, aby wyjaśnić sprawę. Za Gorbaczowa Primakow skutecznie piął się po linii partyjnej i państwowej: został zastępcą członka Politbiura, przewodniczącym Rady Związkowej ZSSR (drugiej izby Rady Najwyższej). Jedną z ostatnich decyzji Gorbaczowa było mianowanie Primakowa szefem wywiadu wewnętrznego. Jest to jedyny spośród ludzi mianowanych przez Gorbaczowa, który pozostał na stanowisku przy Jelcynie. Mówi się, że kiedy Borys Jelcyn został prezydentem, przyszedł do siedziby wywiadu i zaproponował im trzech kandydatów na stanowisko dyrektora tajnych służb. Wybrali Primakowa, nie

tylko dlatego, że już zajmował to stanowisko, ale też z powodu jego dawnych więzów z wywiadem.

Jewgienij Primakow, którego Safire nazywa „ważną figurą”, jest znawcą stosunków międzynarodowych, specjalnie jednak interesuje się Bliskim Wschodem. Na pierwszej konferencji prasowej wyłożył swe credo: „Niezależnie od obecnych trudności Rosja była i pozostaje wielkim mocarstwem i jej polityka w świecie powinna odpowiadać jej statusowi”. Niezależnie od swych kwalifikacji i więzów, nie Primakow będzie decydował o polityce Rosji. W przededniu jego nominacji Borys Jelcyn podpisał ukaz o stworzeniu rady do spraw polityki zagranicznej przy prezydencie. Jednak prestiż i znaczenie Primakowa odegrają rolę przy wytyczeniu linii polityki zagranicznej.

Swój główny cel Jelcyn osiągnął: świat dostał sygnał, że koniec z miłosnymi zalotami. Aby nie było żadnych wątpliwości, usunięto jeszcze ze stanowiska Rudolfa Pichoja, kierownika archiwów rosyjskich, który wielokrotnie powtarzał, że trzeba je otworzyć. Zamknięto je już dość dawno, ale teraz decyzje te oficjalnie przypieczętowano.

Jewgienij Primakow wymienił podczas konferencji prasowej trzy problemy, które stoją przed Rosją w dziedzinie polityki zagranicznej: veto wobec rozszerzenia NATO na kraje wschodnie; skierowanie pierwszoplanowej uwagi na stosunki z krajami WNP oraz zróżnicowanie polityki zagranicznej. Pierwszy problem podarował Rosji Zachód w chwili euforii z powodu tajemniczego zniknięcia Związku Sowieckiego, uwolnienia byłych krajów socjalistycznych i oczywistej słabości Rosji. Gdyby w kręgu doradców Białego Domu d/s polityki zagranicznej siedział sowiecki (albo rosyjski) agent, nie mógłby niczego lepszego wymyślić. Po pierwsze, Rosja jest dziś w dziedzinie wojskowej tak słaba, tak zajęta wewnętrznymi konfliktami, że nieprędko zacznie znów zagrażać sąsiadom. Po drugie, tylko całkowicie ignoranci polityczni albo ludzie, dla których „idea” jest tylko instrumentem dla własnych celów mogą wyobrazić sobie, że kraje członkowskie NATO przyjmą do Sojuszu Atlantyckiego byłe kraje socjalistyczne. Na Zachodzie nikt nawet zająknąć się nie chce o kolosalnych kosztach rozszerzenia NATO ani o tym, że ani francuski parlament, ani niemiecki Bundestag, że już

nie wspomnę o amerykańskim Kongresie, nie zgodzą się na decyzję, która żadnego realnego pożytku na dziś nie przyniesie – poza naciskiem na Rosję. Rosji jednak sam temat rozszerzenia NATO daje nieporównanie więcej: potwierdza mianowicie, że Zachód jej zagraża, co nieustannie powtarzają Żiuganow, Żyrynowski, a dziś także otoczenie Jelcyna. Kiedy admirał Edward Boltin, dowódca floty czarnomorskiej i deputowany do Dumy, stwierdza, że „zagrożenie wojenne Rosji jest całkowicie realne” (*Niezawisimaja gazeta*, 18.1.96), powołuje się właśnie na plany rozszerzenia NATO i przypomina: „Jedyne, co na razie powstrzymuje apetyty naszych nowych ‘przyjaciół’, to broń nuklearna, którą Rosja jeszcze dysponuje”. Niemało dziennikarzy przypomina, że Rosja jest dziś jedynym państwem, które ma czym unicestwić Stany Zjednoczone.

Fakt, że Polskę zauroczyły plany rozszerzenia NATO, nie mógł nie skierować bacznej uwagi Rosji na wybory polskiego prezydenta. Gazety rozmaitych barw różnie zareagowały na wybór Kwaśniewskiego: *Prawda* przyjęła go bez zastrzeżeń, *Moskowskij komsomolec* zatyłował informacje: „Polscy czerwoni torują drogę Żiuganowowi”, *Izwestia*, trzymające się linii demokratycznej, wyraziły zdanie, że do władzy wrócili ludzie, którzy rozumieją po rosyjsku. Kłopoty Józefa Oleksego nie wzbudziły wielkiego zainteresowania, może dlatego, że dla byłych sowieckich obywateli jest absolutnie logiczne, że komuniści wszystkich krajów świata byli agentami „naszego ojczystego wywiadu”.

Drugi problem polityki zagranicznej, o którym mówił Primakow, nazywa się dziś „procesem integracji”. Ściślej należałoby mówić o reintegracji byłych republik sowieckich w jeden organizm, którego forma nie jest jeszcze znana. W pierwszej kolejności chodzi o integrację ekonomiczną, następnie o wojskową. Dopiero później może stanąć kwestia integracji politycznej. Stosunek do Białorusi, której prezydent gotów jest paść w objęcia Moskwy choćby jutro, jest jasną wskazówką. Moskwa się nie spieszy – kobiecie trzeba przynieść cenny posag.

Najpilniejszą kwestią integracji jest Czeczenia. Co z nią począć? Jest już oczywiste, że wybory prezydenta Rosji zależą od rozwiązania konfliktu czeczeńskiego. Żyrynowski oświad-



czył, że jeśli Jelcyn chce zostać wybrany, musi „rozetrzeć Czezeńców w proch i pył” oraz podnieść emerytury. O ile obecny prezydent jest w stanie podwyższyć emerytury i pensje, o tyle z Czeczenią poradzić sobie nie potrafi.

Pod koniec 1995 roku minister obrony Paweł Gracwow był zadowolony. Opisał przebieg wojny czeczeńskiej i podsumował: „Po porażkach nastął czas zwycięstw. Szybko i bez strat wywołaliśmy dwa wciąż zbuntowane miasta – nie więcej niż tysiąc ludzi – pognaliśmy ich w góry, cichuteńko przydusiliśmy do ściany...” (*Niezawisimoje wojennoje obozrienie*, 18.11.1995). A potem Czezeńcy zmienili taktykę, zaczęli organizować wypadki, brać zakładników, i okryli hańbą dowództwo rosyjskie.

Lew Rochlin, jeden z największych generałów rosyjskich, bohater Afganistanu, dowódca 8-go korpusu, który po krwawych walkach zajął Groznyj w styczniu 1996, widzi cztery możliwości rozwiązania kwestii czeczeńskiej. Pierwsza i najlepsza: dogadać się – mówi generał. Nie bardzo jednak w taki wariant wierzy. Druga: wyprowadzić wojska, zamknąć na cztery spusty granice i „po pierwszym akcie terroru na naszej ziemi wszystkich Czezeńców deportować do ojczyzny”, czyli wysiedlić z Rosji. Wadą tego rozwiązania jest to, że Czeczenia stanie się potężnym arsenałem („zwiozą z krajów muzułmańskich oceaną broni”), który będzie zbroił Dagestan, Inguszie, Kabardino-Balkarie. Trzeci wariant – przeszkolić wojska i unicestwić bandy. I wreszcie czwarty „Odciać góry, zbudować pas przygraniczny, w razie potrzeby zaminować przejścia – niech tam żyją”. Generałowi Rochlinowi, który został deputowanym do Dumy, najbardziej odpowiadałoby „coś pośredniego”: operować należy – powiada – knutem i marchewką. Z jednej strony – najokrutniej rozprawiać się z tymi, którzy chcą walczyć, z drugiej – dać spokojnie żyć wszystkim innym”.

Rada Bezpieczeństwa przy Jelcynie, która zebrała się na początku lutego, po długiej dyskusji nie znalazła rozwiązania kwestii czeczeńskiej i stworzyła kolejną specjalną komisję pod przewodnictwem Czernomyrdina, która ma za dwa tygodnie przedstawić plan. Borysowi Jelcynowi się spieszy. Pora znaleźć wyjście. Gubernator Niżnego Nowgorodu Borys Niemcow zebrał w swoim obwodzie milion podpisów pod apelem o

zakończenie wojny w Czeczenii. Kiedy gubernator przyniósł apel prezydentowi, ten spytał tylko: to za mną czy przeciw mnie? Niemcow odparł, że może być za, jeśli skończy się wojna, albo przeciw, jeśli będzie trwała.

Borys Jelcyn we własnych rękach trzyma swój dalszy los.

12.2.1996

Adam KRUCZEK

## Między historią a terażniejszością

### OD CHMIELNICKIEGO DO KUCZMY

Czterystulecie urodzin twórcy dziwnej w dziejach Europy ukraińskiej republiki wojskowej – hetmana Bohdana Chmielnickiego, zostało w końcu uczczone w należyty sposób. Na czele oficjalnych uroczystości stanął prezydent Leonid Kuczma i sam też podjął się trudnego zadania współczesnej oceny tego pośredniego przęśla w dziejach Ukrainy od Rusi Kijowskiej do późniejszych wariantów w nowożytnych czasach: od Atamana Szymona Petlury, hetmana Pawła Skoropadskiego, po sowiecką namiastkę w postaci Republiki Rad, aż do obecnej niepodległości. Kuczma – zapewne przy wsparciu historyków – przedstawił społeczeństwu historyzoficzny traktat poświęcony ówczesnej i współczesnej doktrynie ukraińskiej polityki zagranicznej.

Ukraińskiemu kierownictwu państwa chodzi o przełożenie mostów od doby kozackiej do obecnej racji stanu. Zadaniem Kuczmy było z jednej strony zerwanie z pokutującą i szerzoną w Rosji tezą o oddaniu Ukrainy przez

Chmielnickiego pod protektorat Moskwy a z drugiej – obro-  
na własnej polityki wobec Kremla przeciwko radykałom z  
prawa i z lewa.

Jako przekonany technokrata, prezydent Ukrainy kieruje  
się zazwyczaj racjonalnymi poglądami i nie lubi patriotycznej  
tromtadacji, do której lgnie większość inteligentów starszego  
i średniego pokolenia. Tym razem Kuczma nie ustrzegł się  
przed stosowaniem taryfy ulgowej wobec wielkiego przodka.  
Nie skąpił więc z wystawianiem hetmanowi świadectw męża  
stanu najwyższej klasy. Bronił polityki Chmielnickiego wobec  
Moskwy jako jedynej szansy w ówczesnych, międzynaro-  
dowych warunkach. W obliczu Królestwa Polskiego, Oto-  
mańskiej Turcji, Moskwy i Szwecji, hetman wybrał układ z  
carem, gdyż tylko Moskwa była gotowa uznać podmiotowość  
państwa kozackiego. Kuczma bronił koncepcji Chmiel-  
nickiego, a późniejszą tragedię Ukrainy przypisuje nieudol-  
ności następców hetmana, gdyż skutek tych błędów doszło  
do degradacji Ukrainy jako kolonii imperium rosyjskiego.  
Błędy te powtórzyły się podczas drugiej próby uratowania  
państwowości w latach 1917-1920 i straszą wciąż jeszcze  
swym widmem nawet dzisiaj. Nie konkretyzując adresatów  
gorzkich słów krytyki, Kuczma odżegnał się od tych „współ-  
czesnych ziomków, którzy pragną żyć tylko w jednym  
wymiarze, dzielić w sztuczny sposób społeczeństwo na  
'swoich' i 'cudzych', a wężąc w politycznych pociągnięciach  
lub dążeniach do kompromisów, przejawy zdrady a nie  
umacniania stabilizacji Ukrainy, usiłują osiągnąć monopol na  
wierność Ojczyźnie”.

Kuczma posłużył się też historyczną datą, aby ostrzec  
swych adwersarzy z lewicy i prawicy przed podsycaniem  
nastrojów niezadowolenia i wrogości wobec władzy, apelował  
o umiar i odpowiedzialność. Stwierdził, że niepodległe  
państwo w karygodny sposób zmarnowało wiele czasu na  
czącą gadaninę. Wyczerpało to rezerwy „społecznej odpor-  
ności”. I tylko dzięki głębokiej odradzie Ukraińców wobec  
gwałtu i przemocy oraz gorzkim doświadczeniom z  
przeszłości, udaje się zachować spokój i ład społeczny w  
państwie.

### *O Piłsudskim i Petlurze w Warszawie*

Innym pomostem między dniem wczorajszym a dzisiej-  
szym było spotkanie warszawskie, poświęcone 75-tej rocznicy  
sojuszu Piłsudskiego z Petlurą i stosunków polsko-ukraiń-  
skich w okresie międzywojennym i obecnie. Była to chyba  
pierwsza impreza o takim zasięgu, zorganizowana przez pro-  
fesora Stefana Kozaka, kierującego pracami katedry ukraini-  
styki na Uniwersytecie Warszawskim i przewodniczącego  
Polskiego Towarzystwa Ukrainoznawczego. Dysputy toczyły  
się w gronie całej niemalże elity naukowej, zajmującej się tym  
przedmiotem, począwszy od „weteranów” jak Bohdan  
Skaradziński, Ryszard Torzecki i Władysław Serczyk aż do  
młodszych pokoleń, jak Eugeniusz Koko, Jarosław Hrycak,  
Mirosław Czech, Włodzimierz Mędrzecki i Wołodymyr  
Serhijczuk. Zaletą sympozjum była otwartość i szczerłość w  
dyskusji bez niepotrzebnych oskarżeń i niedomówień. Świad-  
czy to o nowym duchu w naszych stosunkach, przynajmniej  
w sferze nauki. Gdyby tę atmosferę udało się przenieść na  
dzień powszedni, można by z ufnością patrzeć w przyszłość.  
Jeśli zaś chodzi o naukowy dorobek tej konferencji, to była  
ona kolejnym krokiem na drodze ku syntezie wzajemnych  
stosunków w kończącym się stuleciu. Ale wciąż jeszcze  
brakuje czynnika porównawczego, pozwalającego przedstawić  
możliwie obiektywny obraz przebytej drogi w skompliko-  
wanym współżyciu obydwu narodów.

Dopełnieniem prelekcji i debat naukowych była dyskusja  
w gronie polityków i dyplomatów, niestety z ogromną  
przewagą strony polskiej. Paleta uczestników sięgała od  
Leszka Moczulskiego i Wiesława Chrzanowskiego do  
Bogdana Borusewicza, Krzysztofa Kozłowskiego i Jerzego  
Wiatra. Występowali też fachowcy jak Andrzej Ananicz i  
ambasador Polski w Kijowie Jerzy Kozakiewicz oraz amba-  
sador ukraiński w Polsce, Petro Sardaczuk. Polityków ukraiń-  
skich reprezentował jedynie poseł do Sejmu Mirosław Czech.  
Nikt z dyskutujących nie negował wagi zbliżenia polsko-  
ukraińskiego, ale najostrzej odniósł się do tej sprawy rzecznik  
chadecji Chrzanowski. Sensownie mówił Kozłowski w imię  
przewyciężenia kompleksu polskiego, traktującego zagad-

nienie ukraińskie z punktu widzenia przynależności części terytorium Ukrainy ongiś do Rzeczypospolitej. Moczulski przypomniał, że przy okazji obchodów zwycięstwa nad bolszewikami nie wspomniano ani słowem o udziale wojsk ukraińskich w tym zwycięstwie. Ambasador Kozakiewicz i Andrzej Ananicz, wówczas jeszcze członek kancelarii prezydenta Wałęsy, poinformowali zebranych o nowych inicjatywach w dziedzinie wojskowej i gospodarczej. Kozakiewicz zwrócił uwagę na odwołanie sprawy utworzenia Instytutów Kultury w Kijowie i Warszawie. Miejmy nadzieję, że nowi kierownicy w resortach zagranicznych i kultury zajmą się tym energiczniej niż ich poprzednicy, tym bardziej, że Jerzy Wiatr jako jedyny wypowiedział się z uznaniem o zasługach Giedroycia i *Kultury* na tym polu.

#### *Spotkanie w Pradze*

Bardziej nostalgicznym niż zwróconym ku teraźniejszości i przyszłości było spotkanie czeskich, ukraińskich, rosyjskich i białoruskich historyków, filologów i krytyków w stolicy Czech. Formalnie zjazd ten poświęcony był 75-tej rocznicy powstania praskiej Biblioteki Słowiańskiej i jej historycznych zasług w pielęgnowaniu kultury i nauki tych krajów, które po pierwszej wojnie światowej znalazły się w zasięgu bolszewickiego barbarzyństwa. Dla Ukraińców spotkanie praskie miało szczególne znaczenie. Dzięki wspaniałomyślności i liberalnej postawie pierwszego prezydenta Czechosłowacji Tomasza Masaryka, Praga stała się w okresie międzywojennym głównym ośrodkiem ukraińskiej myśli politycznej i naukowej, wielkim laboratorium dla przemysleń po klęsce niepodległego państwa i katastrofie w stosunkach z Polską. Tu znajdowały się główne archiwa państwowe przywiezione z Kijowa i Kamieńca Podolskiego, w czasie drugiej wojny światowej przez Niemców nietknięte, ale po roku 1945 zrabowane przez Sowietów i wywiezione do Moskwy, a po upadku imperium częściowo zwrócone Ukrainie. W stolicy Czech miały siedzibę centrale demokratycznych partii ukraińskich ale i nacjonalistów. Uniwersytet został zrównany w prawach z czeskimi uczelniami (instytuty socjologii i peda-

gogiki), słowem – Praga była przez dziesięciolecia politycznym i duchowym centrum emigracji. Było to możliwe dzięki olbrzymim, jak na owe czasy, subsydiom z kasy niedużego państwa. Wspomniał o tym zresztą bardzo dyskretnie prezydent Havel podczas oficjalnej wizyty swego ukraińskiego kolegi Kuczmy w zeszłym roku na Hradczynie. Dzisiejsze elity ukraińskie mało o tym wiedzą i zadaniem historyków i publicystów jest przywrócenie przykrytej kurzem zapomnienia i ignorancji wspaniałej karty z dziejów stosunków czesko-ukraińskich.

W międzyczasie Praga stała się kwaterą główną dla ewakuowanych z Monachium ostatków Radia Swoboda, bo Wolną Europę, która by się teraz w zreformowanej postaci bardzo przydała, Amerykanie zlikwidowali. Przeprowadzka nie wyszła na dobre programom „Swobody”. Znakomity niegdyś *team* rosyjski został zdziesiątkowany. Znikły cenione działy o literaturze, religii i armii. Niezwykle ciekawa rubryka o sprawach narodowościowych „po upadku imperium” została okrojona w czasie i tematyce do jednoosobowego programu „Przeprawa”. Wprowadzone innowacje, jak na przykład „Kontynent Europa” przekazują przeważnie banalne treści. Nie wiadomo dlaczego ograniczono znakomite audycje kulturologa Borysa Pramonowa z Nowego Jorku pt. „Rosyjskie problemy”.

Najfatalniej przejazd z Monachium do Pragi odbił się na programie ukraińskim. Odpadły niemal wszystkie indywidualności z Zachodu. Główny redaktor Roman Kupczyński, któremu amerykańscy kumotrzy powierzyli kierownictwo po zdolnym Bohdanie Nahajle, okazał się ograniczonym półinteligentem. Nazwoził tuzin nie douczonych pańienek z Kijowa i pod ich wpływem, jak też centralnej redakcji w Kijowie, program uległ kompletnej „orientalizacji”. Sieć korespondentów w krajach zachodnich przekazuje codziennie sieczkę surowych informacji bez analitycznego podejścia. Przed kilku laty radio to było o wiele lepsze, programy zaangażowane, wielopoglądowe. Teraz jest to kiepskie dublowanie rozgłośni kijowskiej z jednostronnym faworyzowaniem nacjonalistów spod znaku tak zwanych banderowców. W Waszyngtonie widocznie nikogo nie obchodzi na co się wydaje pieniądze amerykańskich podatników.

*Jubileusz w Rzymie*

Jeszcze za czasów istnienia imperium sowieckiego zebrało się w Rzymie kilkunastu intelektualistów polskich, ukraińskich, białoruskich i litewskich z Polski i emigracji, i nazwali swe spotkanie „Rzym”. Później, kiedy imperium upadło, spotkania zapoczątkowane nad Tybrem przeniosły się na wschód. I choć odbywały się po kolei w Lublinie, Kamieńcu Podolskim, Grodnie i w Trokach – a więc w obrębie Polski Jagiellońskiej, zachowano starą nazwę i mówiono Rzym II, Rzym III i tak dalej. W międzyczasie idea się rozrosła, a jej organizacyjnym i duchowym ośrodkiem, stał się Lublin. Zawdzięczamy to ideowości i pasji historyka, Jerzego Kłoczowskiego. On to bowiem jest duszą i gwiazdą przewodnią tego dzieła, które się dorobiło Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej właśnie w Lublinie i kilku pobratymczych zespołów o tej samej nazwie we Lwowie, Mińsku, Wilnie a nawet w Budapeszcie. Przeważnie w Lublinie odbywają się co najmniej dwa razy na rok konferencje naukowe, poświęcone historiografii, socjologii, religii, literaturze i przede wszystkim zagadnieniom narodowościowym. Jerzy Kłoczowski zainicjował opracowanie nowych podręczników historii wspomnianych krajów. Jest to sprawa historycznej wagi, gdyż w ten sposób utworzono ciało naukowe, prowadzące stały dialog ponad granicami, czyniące z Lublina kołyskę porozumienia międzynarodowego. Jest to zapewne miasto o symbolicznym znaczeniu, spełniające nową rolę na wschodzie dzisiejszej Polski. Lublin zyskuje w ten sposób misję do promieniowania na Wschód, na Białoruś, Ukrainę i Litwę. Może się z czasem stać ważnym miejscem spotkań europejskich Wschód-Zachód, konferencji i zjazdów naukowych. Można by pomyśleć o utworzeniu Europejskiego Uniwersytetu dla studentów nie tylko z Polski ale i z trzech, albo i więcej, sąsiednich krajów na Wschodzie, swego rodzaju odpowiednika uniwersytetu we Frankfurcie nad Odrą.

Ale zanim podjęte zostaną takie czy inne wysiłki w tych kierunkach, przyjaciele z czterech krajów spotkali się w Rzymie. Tytuł roboczego sympozjum brzmiał: „Społeczeństwo obywatelskie – Białoruś, Litwa, Polska, Ukraina 1989-

1995”. Była to swego rodzaju próba podsumowania dotychczasowej drogi i refleksje nad dalszą działalnością. Z wielu wypowiedzi historyków, socjologów, kulturologów i osób duchownych, można było wyciągnąć wnioski, że rozwój polityczno-społeczny kształtuje się nierówno. Jedyne Polska może się ubiegać o przyznanie, że posiada rozwinięte społeczeństwo obywatelskie. W pozostałych trzech krajach proces ten znajduje się co prawda w toku, ale w stadium początkowym bardzo żmudnej ewolucji, a na Białorusi został zupełnie zahamowany.

Rzymskie „rekolekcje” potwierdziły z jednej strony potrzebę wspólnych badań, a z drugiej strony konieczność polepszenia informacji naszych społeczeństw o znaczeniu i roli Lublina.

Bohdan OSADCZUK

**WAWEL****PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA**

W NIEMCZECH ZACHODNICH

**Wszystko na temat Europy Wschodniej:**

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

**Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne**

**oraz książki w językach obcych.**

**Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.**

**Tel.: 0221/24-61-60.**

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

## Notatki Redaktora

Toczy się obecnie dyskusja na temat emerytury dla Lecha Wałęsy. Są wysuwane różne propozycje. Pan Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent na wygnaniu zwrócił uwagę redakcji *Tygodnika Solidarność*, że ta sprawa była już uregulowana ustawą z 10 marca 1934 r. i ogłoszona w *Dzienniku Ustaw*.

Najprostszym rozwiązaniem byłoby powrót do tej ustawy zamiast szukania innych rozwiązań.

W tej dyskusji pojawiły się głosy, że emerytura dla prezydenta może dotyczyć jedynie prezydentów wybranych w powszechnym głosowaniu, tzn. nie korzystałby z niej gen. Jaruzelski. Jest to zwykła nieprzyzwoitość, tym większa, że przecież gen. Jaruzelski został wybrany głosami „Solidarności”. Okazuje się, że bardzo trudno nauczyć się demokracji i dobrych manier.

Znakomita inicjatywa. Ukraińskie wydawnictwo *Proswita* we Lwowie rozpoczęło druk „Biblioteki Polskiej Literatury XX wieku”. Jako pierwsza ukazała się książka Bruno Schulza „*Cinamonowi krannicy*” i „*Sanatorij pid Klepsidroju*”. W dalszej kolejności mają ukazać się dzieła Miłosza, Gombrowicza, Vincenza, Lema i Tadeusza Nowaka. Ta seria mogła się ukazać dzięki finansowej pomocy Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. Dyrektor wydawnictwa, Andrzej Chrzanowski, rozwija bardzo ożywioną działalność u naszych wschodnich sąsiadów. Na początku marca odbędzie się w Wilnie wystawa książek Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. Będą to podręczniki do nauki języka polskiego, historii i geografii oraz książki dla dzieci ze szkół litewskich. Również w marcu p. Chrzanowski weźmie udział, jako jeden z ekspertów Rady Europy, w seminarium dotyczącym nauczania historii na Ukrainie.

Mamy nadzieję, że Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne zajmą się również podręcznikami dla szkół białoruskich w Polsce i na Białorusi, bo ich brak bardzo jest odczuwany.

W naszym Ministerstwie Spraw Zagranicznych nadal panuje chaos. Minister Rosati ostatnio zapowiedział, że p. Jerzy Jaskiernia, b. minister sprawiedliwości, ma zostać ambasadorem Polski w Kanadzie. Wywołało to już bardzo ostre sprzeciwu Polonii kanadyjskiej. Jest to powrót do niesławnej tradycji wysyłania na placówki zagraniczne skompromitowanych ludzi z nomenklatury. Należy mieć nadzieję, że ta kandydatura nie zostanie zatwierdzona ani przez sejm, ani przez prezydenta.

Obecnie ogromna liczba placówek dyplomatycznych jest nieobsadzona. Jest obawa, że będzie to wykorzystane przez koalicję rządzącą dla lokowania swoich kandydatów bez względu na ich kwalifikacje, w czym celuje Stronnictwo Ludowe. Charakterystyczne, że nawet w amerykańskiej prasie polonijnej pojawiają się plotki, że podobno szef Sztabu Generalnego, gen. Tadeusz Wilecki, ma odejść z czynnej służby wojskowej i przejść do dyplomacji. Korespondent *Dziennika Związkowego* w Chicago, p. Jerzy Papuga, w numerze z 5 stycznia br. pisze: „Marzeniem generała byłby wyjazd do Stanów Zjednoczonych lub do kwatery głównej NATO. Niestety, przeszkodą jest nieznamość języka angielskiego... Wilecki natomiast włada doskonale rosyjskim, jak zresztą każdy absolwent moskiewskiej woroszyłowki. Akurat stworzył się vacat na funkcję ambasadora w Rosji. MSZ nie widzi jednak możliwości wysłania emerytowanego generała do stolicy wielkiego mocarstwa ze względu na reakcję strony przyjmującej. Rozważany jest więc kierunek blisko-wschodni, czyli Syria lub Libia, lub jeden z krajów nadbałtyckich”.

Takie oto są zabawy w wojsku.

W związku z oświadczeniem rządu, że Puszcza Białowieska nie będzie uznana w całości za park narodowy, Czesław Miłosz zamieścił w *Tygodniku Powszechnym* świetny artykuł pt. „Rozebrać Wawel na cegłę?”

Decyzja rządu została podobno spowodowana obawą przed wzrostem bezrobocia w tamtym rejonie. Jest to argument fałszywy, gdyż niewątpliwie uznanie Puszczy Białowieskiej za park narodowy spowodowałoby m.in. ożywienie ruchu turystycznego. A tymczasem trwa dziki wyrąb, który doprowadzi do nieuniknionego zniszczenia puszczy. Mam nadzieję, że premier Cimoszewicz, związany z Białostoczczyzną,

tę sprawę uporządkuje. Nie wszystko było złe w Polsce przedwojennej i należałoby zapoznać się z polityką Lasów Państwowych, instytucji która doskonale łączyła interesy handlowe z zabezpieczeniem przyrody.

„Pałac dzikich lokatorów”. Pałacyk Sobańskich w Alejach Ujazdowskich w Warszawie został skonfiskowany. Umieścili się tam z miejsca działacze Frontu Jedności Narodu, później Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, a za czasów III Rzeczypospolitej rozgościł się tam Komitet Obywatelski. A potem, kolejno, kilkadziesiąt instytucji politycznych i gospodarczych. Dzicy lokatorzy przekazywali sobie zwalniane pokoje na zasadzie kumoterstwa. Rachunki były niepłacone, często wyłączano światło i ogrzewanie. Po wieloletnich usiłowaniach odzyskania swojej własności prawowici właściciele otrzymali orzeczenie NSA w 1991, że obiekt jest zajęty bezprawnie. Niestety w międzyczasie władze Śródmieścia wystąpiły o komunalizację posesji. Pałacyk więc przeszedł na własność gminy Centrum, a administrowanie budynkiem przejął Zarząd Domów Komunalnych. W międzyczasie p. Lech Wałęsa umieścił tam swój Instytut oraz otrzymał mieszkanie.

Kiedy, nareszcie, położy się kres temu skandalowi?

W *Trybunie* w numerze z 15-go stycznia br. ukazał się artykuł „Wojna polsko-litewska”. W Sejnach i okolicach od kilku lat ma miejsce szereg incydentów i konfliktów z mniejszością litewską, w czym niestety – duży udział bierze polski kler katolicki, utrudniający prowadzenie mszy w języku litewskim i mianowanie księży Litwinów lub mówiących przynajmniej po litewsku. Półtora roku temu otwarto w Sejnach konsulat litewski. Szydł konsulatu był wielokrotnie oblewany czerwoną farbą, a sprawców nigdy nie udało się ustalić, mimo licznych protestów konsula. Dopiero od 13-go stycznia br. przed konsulem stoi policyjny radiowóz. Komenda Rejonowa Policji w Sejnach twierdzi, że ma za mało ludzi by na dłuższą metę pilnować konsulatu.

Zastanawiam się, jaka byłaby reakcja opinii polskiej, gdyby coś podobnego miało miejsce powiedzmy w Kownie z

polskim konsulem. Nie brakuje spektakularnych gestów przyjaźni czy wizyt, które nie mają żadnego praktycznego znaczenia. W dalszym ciągu toleruje się tak szkodliwe antagonizmy narodowościowe. Zwracam uwagę, że *Trybuna*, która zmieściła ten reportaż jest organem rządzącego stronnictwa.

Decyzja prezydenta Kwaśniewskiego o ujawnieniu „teczek” budzi coraz większe wątpliwości. Do tej sprawy powrócimy niedługo. Tymczasem bardzo się obawiam, że będzie to praktycznie zlikwidowanie wywiadu i kontrwywiadu, a przecież są to służby niezbędne dla funkcjonowania państwa. Nie można się powodować jedynie względami partyjno-personalnymi.

Zaskakujący jest fakt, że w gabinecie p. Cimoszewicza zabrakło Kazimierza Dejmka. Był on niewątpliwie najlepszym z dotychczasowych ministrów kultury. Był b. otwarty na problemy i sugestie, miał duże zrozumienie konieczności współpracy z naszymi sąsiadami, specjalnie na wschodzie, nie był biurokrata, miał szybką decyzję. Można było co prawda mieć zastrzeżenia do nie zawsze fortunnych dotacji dla periodyków, ale przy nowym ministrze należy się obawiać dominacji folkloru ludowego. Miejmy nadzieję, że ministerstwo nie przekształci się w CEPELIĘ.

Niedawno na Białorusi odbyły się uroczystości kościuszkowskie zorganizowane przez Zenona Poźniaka, szefa Białoruskiego Frontu Narodowego. Władze białoruskie opracowują projekt obchodów kościuszkowskich i myślą o odbudowaniu dworku Kościuszki, w którym w przyszłości byłoby Muzeum Naczelnika. Należy pamiętać, że Tadeusz Kościuszko należy do bohaterów narodowych Białorusi, wraz z Trauguttem, Kalinowskim i Syrokomlą.

REDAKTOR

## Ci, co odeszli

### „Być sobą”: o Leonor Fini

O Leonor Fini nie można myśleć inaczej, jak przede wszystkim o silnej, niezależnej osobowości.

Jej niezależny charakter demonstrował się zawsze, już od triesteńskiego dzieciństwa, do którego przywiązywała tak szczególne znaczenie.

Dom rodzinny, to matka o żywej inteligencji, do której miała najbliższe przywiązanie. Ten zamożny dom, z obecnością tradycji i otwarty na nowe prądy, był nacechowany wielokulturowością i urokiem zagubionego dziś liberalizmu.

Mówiło się po włosku, a niemiecki i francuski były naturalne.

Rezultat sytuacji ówczesnego Triestu, miasta wielojęzycznej międzynarodowej burżuazji, gdzie wzajemna tolerancja dawała mu rację rozwoju.

To był jeszcze cesarsko-królewski Triest, który dziś chlubi się pobytem Joyce'a, wówczas tylko skromnego nauczyciela w szkole Berlitz'a. Bywał w domu jej matki.

Ale był tu też, wówczas nieznanym, austriackim malarzem Alfred Kubin.

Zostały rysunki portu. W porcie krabowate krążowniki c.k. austriackiej floty, a taka była. I to jest Triest.

Właśnie Kubin, którego nie mogła przecież znać, zajął później szczególne miejsce w jej Panteonie malarzy.

Szkoły, formującej dziewczęta z „dobrych domów” po prostu nie zaakceptowała. Nie pasowała do niej. Natomiast kształciła się sama.

Czy domowa, podobno świetna, biblioteka jak i wcześniej zaczęte podróże sprzyjały intensywnemu rozwojowi.

Rysowała, malowała zawsze, ale już gdzieś po szesnastym roku, instynkt kieruje ją na świadomy wybór.

Muzea i zbiory szczególnie północnych Włoch stają się dla niej prawdziwą uczelnią malarstwa.

Wrodzony smak prowadzi od Austro-Włoskiej Secesji do intensywnego zgłębiania dawnych mistrzów. Rzymski czy Neapolitański Barok ją olśniewa:

Cranach, „Lukrecje” czy „Wenusy”; Boticelli „Primavera”, alegorie. Jakże zawsze bliskie tematy i nawet tytuły obrazów pozostaną zawsze klasyczne.

W okresie tym dużo kopiuje mistrzów na swój użytek. Co za wstyd myślał malarze dzisiaj!

Przełom lat dwudziestych na trzydzieste, szał francuskiego i włoskiego impresjonizmu.

Ona nie ulega. I już z tego okresu wyniosła stylową linearność, wykroje form tak charakterystyczne dla jej całego późniejszego malarstwa.

Przyjazd do Paryża. Rok 1933.

Podobno najpiękniejszy Paryż wszechczasów.

Spotkanie surrealistów.

Epizod krótkotrwały. Niepodporządkowanie, „Komisarzowi” André Breton. Konflikt. Zerwanie wychodzi dla niej na dobre. Umacnia się jej odrębność. Z tego okresu zostaje szereg znaczących przyjaźni. P. Eluard, G. Bataille, V. Brauner, Max Ernst. Zresztą z czasem wszyscy oni odeszli od Bretona. Nawet Balthus.

Obrazy: „Les initiales” 1937.

Postaci o cechach manekinów.

„Le bout du Monde” 1949.

Autoportret imaginowany na tle katastroficznej scenarii? Obraz ten należy do najświetniejszych obrazów tamtej epoki.

Okres, w którym szczególnie często przewijają się jej autoportrety. Czy to jako głowy sfinksów, czy też postaci w ceremonialnych strojach i o teatralnych gestach.

Teatr własny współrzędny z tym z jej życia, niepodzielny i autentyczny.

Od roku 1951 systematycznie co roku spędza trzy miesiące na Korsyce, której dramatyczne formacje skał przemienia na apokaliptyczną wizję rozkładu świata.

Zielona topiel innych obrazów nasuwa na myśl „Ofelię”, obraz prerafaelickiego malarza sir J.E. Millais.

Prerafaelici byli jej bliscy.

Lata sześćdziesiąte przyniosły trwałą sukces u publiczności, kolekcjonerów, krytyki.

W tym też okresie zaczęły się ukazywać tak liczne publikacje, monografie, czy też teczki wspaniałych grafik.

Pierwszy okres ciemny – od początku, do lat sześćdziesiątych.

Okres jasny – od pierwszej połowy lat sześćdziesiątych do lat osiemdziesiątych i elipsa zamyka się ciemnością lat ostatnich.

Lata sześćdziesiąte należały chyba do najszcześniejszych jej lat. Utrwalała się jej pozycja artystyczna, stabilizowała się sytuacja finansowa i wielkie uznanie, dające artystce satysfakcję.

Fenomen, widzimy dziś jasno, bo w tych samych latach przelewały się fale informelu, pop-artu, czy też początków konceptualizmu.

Być *à part* i wygrać. Sukces ten może dzielić tylko z wybitnym Balthusem, czyli Baltazarem Klossowskim, potomkiem powstańców 1830 roku.

Obraz „Vesper-Express”, 1966 – to nic innego jak wyjazd na Korsykę. Jest cała seria obrazów z tego okresu: „Wagon-lit”, „Gare de Lyon”, „Marseille”; „La serrure”, 1995 – obraz oddający cały secesyjny styl jej dzieła. „La gardienne de sources”, 1967.

Imaginowany autoportret, okres pięknie malowanego piękna.

Wspaniałe profilowane figury na kwiatowych tłach.

Gdzieś pod koniec lat siedemdziesiątych atmosfera obrazów staje się cięższa.

Jej malarstwo określone ekspresyjnym rysunkiem wraca w ciemność. „Les Implacables”, 1985.

Finał jakiejś wielkiej opery czy dramatu, gdzie zdesperowane postaci giną w ciemności bez odpowiedzi.

„Les Thermes des Méduses”, 1987.

Toniemy!

„Accord parfait”, 1985.

Gnomowate postaci, sarkastyczne spojrzenie na ludzką kondycję.

Jak można jeszcze określić jej malarstwo?

Na bazie precyzyjnego rysunku, matowa tafla koloru. Swój sposób malowania *al fresco*.

Dar oka i ręki pozwalał jej z wielką precyzją i oszczędnym użyciem środków kreować portrety. Jakże trafione w charakterze. Anna Magnani, Jean Genet, K.A. Jeleński i inne.

Potwierdzenie jej wielkich możliwości.

Innym tematem są koty – portrety, gdzie każdy z nich ma swój własny, określony charakter. A zawsze miała co najmniej siedem!

Zostawiła niesłychaną ilość rysunków, gwaszy i grafik.

Robiła je z niesłychaną lekkością i precyzją.

Ilustracje były jej prawdziwą pasją. Rafinowany wybór tekstów, wydania luksusowe.

Z niesłuchanie długiej listy wymienię kilka: E.A. Poe „Contes Fantastiques”, Baudelaire „Les Fleurs du Mal”, Gerard de Nerval „Aurélie”, Jan Potocki „Le Manuscrit trouvé à Saragosse”, „Satyricon” – współobecność fizycznego piękna i gnomowatości, „Freski” z barbarzyńskiej „Villa dei misteri”.

Inna płaszczyzna jej kreacji, to kostiumy, nie tylko dla swych filmów, jak choćby tego kręconego w latach sześćdziesiątych na Korsyce. Filmów miała wiele.

Kostiumy do baletów Balanchina, J. Cocteau, R. Petit.

Dekoracje i kostiumy do Wagnera w Operze Paryskiej.

Maski, kostiumy jakże to często zводziło, bo jak u weneckiego malarza Pietro Longhi, karnawał był maską, która kryła poważną rzeczywistość.

Wenecja, tu w 1951 roku poznaje Konstantego Aleksandra Jeleńskiego. Najbardziej „Kosmopolaka” według definicji Andrzeja Bobkowskiego.

„Coup de foudre” na prawie lat czterdzieści.

Jej wielonarodowość jakże harmonijnie współżyje z jego inaczej ukształtowaną, ale tą samą formacją!

Powstaje dom, ustabilizowany najwyższym uczuciem wzajemnych głębokich przyjaźni.

Włosko-francuski malarz Stanislao Lepri, artysta pełen szarmu i wrażliwej inteligencji, ma też przy nich swoje *atelier*.



Ale z lepszej strony!

Tenże secesyjny salon był domeną kotów. Paola nie ustąpi swego miejsca – środek kanapy. Chyba powód uporu, jej portret nad kanapą.

Koty, kocie bibeloty i mniej przyjemne dodatki.

Później, Leonor przeniosła całe to towarzystwo o piętro wyżej, bez kontaktu.

Pachnie. Pachnie włoska kuchnia Marii, ich domowy język jest włoski, francuski czy inny wobec tych z zewnątrz!

W ich secesyjnym salonie na rue de la Vrillière spotkania Leonor i „polskie” spotkania Kota w zasadzie się nie pokrywały.

Ich wspólny „salon” to F. Bondy z *Preuves*, czy kompozytor Nicolas Nabokov z Kongresu Wolności Kultury. Pisarze A.P. de Mandiargues, N. Chiaromonte, Elsa Morante, Pierre Emmanuel.

Dochodzą też ci którzy zostawili o niej teksty – J. Genet, P. Waldberg, Y. Bonnefoy, czy też zaprzyjaźnieni jeszcze sprzed wojny J. Cassou i Max Ernst.

Nie było jakiegoś programowego cięcia między tymi dwoma różnymi spotkaniami, przecież z obu stron byli i tacy co bywali na jednych i na drugich. Ale z doświadczenia wyszło, że te osobne spotkania były bardziej swobodne.

Te „polskie” wieczory zostawiała Kotowi.

Spotykali się tu pisarze i artyści z emigracji i z Kraju.

Lista jest długa: Iwaszkiewicz, Słonimski, Wat, Zofia i Zygmunt Hertzowie, Gustaw Herling-Grudziński, Czapski, Stempowski, Hostowiec, Herbert i Mrozek, na Zagajewskim kończąc. To tylko niektórzy wymienieni. Leonor czasami schodziła, czasami nie schodziła. Szczególnie że kontakt mogła znaleźć tylko z częścią jego gości.

Znała i podziwiała twórczość Schulza, Miłosza, Gombrowicza i Grudzińskiego. Jej wielokulturowość nie znaczyła, że sprawy polskie były jej najbliższe. Ale trzeba podkreślić jej szczodrość w udziale na rzecz kultury polskiej.

Po śmierci Kota, w ostatnich dziewięciu latach jej samotności, z Polaków szczególną troskę okazali jej Gustaw Herling-Grudziński, Maria i Bohdan Paczowscy, Czesław Miłosz i Zofia Hertz.

Wielostronna twórczość Leonor Fini, tak jak i jej wielowarstwowa osobowość wniosły istotne wartości do sztuki XX-go wieku.

Jan LEBENSTEIN

### RYSUNEK LEONOR FINI\*

Dwa ptaki w locie  
Zbite w kłęb  
I tylko pisk miłosny, jęk

W powietrzu tryskiem błyskawicznym pękł,  
I zatoczyli się kochankowie  
W pierzastym kurzu, głowa przy głowie,  
Skrzydło na skrzydle, miłość w miłości,  
Pionową strzałą w dół zestrzeleni  
I tak powikłani i pomieszani,  
Że nic już nie widać tylko nogi,  
Cztery splecione ludzkie nogi  
Z ptasimi stopami.

Kazimierz WIERZYŃSKI

\* *Kultura* nr 7/177-8/178, 1962.

## Roman Cieślęwicz 1930-1996

Bił po oczach. Był to jego zawód i jego pasja. Bił po oczach barwą, kształtem, zderzeniem obrazów, układem liter. Wyżywał się w plakacie. Plakatami były również okładki książek i czasopism, których wiele zaprojektował. Odpowiadał plakatem na zamówienie publiczne i zaspokajał nim swą wewnętrzną potrzebę łamania konwencji, zderzania sprzeczności, kreowania zaskakujących efektów, prowokowania. Narzucania własnej wizji spektaklu, dzieła, wystawy, zdarzenia czy instytucji, które brał na warsztat. Wpisywania się w krajobraz miejski, gdzie bez pomysłowości i agresywności wizualnej nie sposób przyciągnąć i zatrzymać, choćby na kilka chwil, wzroku pośpiesznego przechodnia. Nie brakowało mu ani jednej ani drugiej.

Roman Cieślęwicz urodził się we Lwowie 13 stycznia 1930 r. i tamże w czasie wojny uczył się w szkole rzemiosł artystycznych. Po wojnie przeniósł się do Opola, gdzie jakiś czas pracował w cementowni. Liceum sztuk plastycznych skończył w Krakowie, gdzie w latach 1948-54 studiował w Akademii Sztuk Pięknych; opuścił ją z dyplomem w zakresie plakatu, drukarstwa, grafiki i fotomontażu. Tego ostatniego nauczył się zapewne od Mieczysława Bermana, spotkanie z którym w 1951 r. musiało być dlań bardzo ważne, skoro odnotował je w publikowanych później autobiogramach.

Od 1955 r., po latach niewyobrażalnej dziś szarzyzny, na ulicach polskich miast zaczęły pojawiać się kolorowe plakaty, które służyły nie propagandzie ale reklamowaniu filmów i przedstawień, i które szybko przyniosły ich twórcom zasłużony rozgłos. Było to – jak Arsenał w malarstwie – naocznym wyrazem dokonujących się przemian politycznych i kulturowych; dziś wydawać się one mogą nieśmiałe, ale współcześnie przeżywano je jako rewolucję. Cieślęwicz wniósł do niej istotny wkład. W 1955 r. przeniósł się do Warszawy i w ciągu następnych ośmiu lat wyprodukował 220 plakatów, stając się jednym z czołowych przedstawicieli polskiej szkoły

plakatu, która zyskała sobie wtedy światowy rozgłos. Robił też okładki książek, nadto zaś w latach 1959-63 był redaktorem graficznym *Ty i Ja*, ilustrowanego miesięcznika, który wywarł w owym czasie znaczny wpływ na modę kobiecą, na urządzenie inteligentnych mieszkań, na poziom sztuki kulinarnej pań domu i na unowocześnienie gustów artystycznych.

W 1963 r. wyjechał przez Essen i Genuę do Paryża, gdzie osiedlił się wraz z rodziną. Nie był emigrantem politycznym. Jeździł do Kraju, dostawał stamtąd zamówienia, miał tam wystawy – i zależało mu na tym. Ale choć jako człowiek zawierał kompromisy, jako artysta był najzupełniej wolny. Zachód był mu potrzebny po to właśnie, by móc tę wolność w całej rozciągłości uzewnętrznić. Należał do pokolenia, którego wielu przedstawicieli opuściło PRL, dlatego przede wszystkim, że było im w niej artystycznie za ciasno z uwagi na ograniczenia cenzuralne, dokuczliwe przecież nie tylko w sferze polityki lecz również w dziedzinie obyczajowości, krępowanej przez pruderię Partii i Kościoła. Ale i dlatego, że wcześniej osiągnęli pozycję, która stawiała ich niejako poza konkurencją i skłaniała do próbowania swych sił w trudniejszych warunkach, na Zachodzie.

W Paryżu Cieślęwicz związał się z grupą *Panique*, której członkami byli też Roland Topor i Fernando Arrabal, i szybko zdobył pozycję na swoją miarę: był grafikiem *Elle* i *Vogue*, dyrektorem artystycznym dużej agencji reklamowej, współpracował z *Centre National d'Art Contemporain* i z *Centre Georges Pompidou*, wykładał, organizował wystawy, m.in. Bruno Schulza i Witkacego. Sam również wiele wystawiał, zarówno w Polsce, jak w wielu innych krajach, w galeriach i muzeach, w tym tak prestiżowych jak Muzeum Sztuki w Łodzi i *Stedelijk Museum* w Amsterdamie. W 1993 r. miał wielką retrospektywę w Centrum Pompidou w Paryżu wysoko ocenioną przez recenzentów.

Na zdjęciu z 1959 r., Roman jest trochę podobny do młodego Orsona Wellesa: lekko pucufowata twarz z zarysem łobuzerskiego uśmiechu. Na zdjęciu z 1981 r. jest łysy i nosi brodę. Poznaliśmy się między tymi dwiema datami, ale bliżej drugiej, w połowie lat siedemdziesiątych, u księdza Sadzika, z którym Roman się przyjaźnił, co owocowało znakomitymi niekiedy okładkami dla *Editions du Dialogue*. Józek Sadzik

przed wyjazdem do Rwandy, skąd wrócił chory, był w świetnej formie i nie wylewał za kołnierz. Spędziliśmy w trójkę co najmniej jeden ostro zakrapiany i bardzo wesoły wieczór. Później widywaliśmy się z Romanem, acz niezbyt często, to u niego, to u nas. W ostatnich latach ten kontakt jakoś się urwał, bez żadnego powodu. Każdego z nas absorbowwały liczne zajęcia, a do tego Roman był dłuższy czas poważnie chory. Ale wzajemna sympatia została. Oboje z żoną zostaliśmy zaproszeni na kolację, którą Roman wydawał z okazji wernisażu swej retrospektywy. Nie mogliśmy. Nie poszliśmy. Mieliśmy spotkać się kiedy indziej. Nigdy już do tego nie dojdzie.

Roman był artystą na wskroś współczesnym. Był nim przede wszystkim z uwagi na stosowane przez siebie techniki i formy wypowiedzi: plakat, o czym już wspominałem, i fotomontaż – czy raczej fotokolaż – stosowany w plakatach i okładkach ale uprawniony również jako sztuka samoistna, nie na zamówienie, wyłącznie dla własnej przyjemności. Był nim też z uwagi na zawarty w wielu jego dziełach element prowokacji obyczajowej widoczny zwłaszcza w wydanym przez niego piśmie *Kamikaze: revue d'information panique numéro un et unique* i obecny w fotokolażach. Polityka nie interesowała go zbyt, toteż dzieł o treści jawnie politycznej nie stworzył wiele. Ale te, które stworzył, są świetne. Wystarczy przypomnieć afisz dla *Amnesty International* (1975): dwie dłonie ściśnięte na kratkach przeciętych światłem wdzierającym się do celi. I zrobiony na moje zamówienie po 13 grudnia 1981 r. afisz dla *Solidarité France Pologne*: postać o zakrwawionej twarzy, która przewraca się jakby uderzona pociskiem i napis *liberté=volność*.

Był artystą na wskroś współczesnym również dlatego, że jego własny styl, rozpoznawalny dla każdego, kto się z nim zetknął, wyrósł na skrzyżowaniu dwóch nurtów artystycznych, które chyba nigdzie poza tym się nie spotkały. Łączył bowiem nadrealistyczną czy dadaistyczną wyobraźnię z konstruktywistyczną dyscypliną. Dlatego lepiej mówić w jego przypadku o fotokolażach; fotomontaż należy do repertuaru konstruktywistów i budowany był wedle innych reguł niż nadrealistyczne kolaże. Jeśli nie był narzędziem propagandy, jak u Heartfielda, kierował się zasadami mechaniki i geo-

metrii nie zaś, jak kolaże nadrealistów, swobodnymi skojarzeniami mającymi kreować odpowiedniki snów i urojeń. Miał też inne efekty na widoku: afirmował racjonalność świata, a nie rzeczywistość oniryczną.

Przykładów nadrealistycznej wyobraźni Cieślewicza dostarczają w obfitości fotokolaże, jak choćby słynny Mao Tse-Tung z twarzą Mony Lizy (1977), kolejna wariacja na temat z Duchampa, czy wszystkie zabawy z elementami ciała ludzkiego, głównie kobiecego, łączonymi w zaskakujące konfiguracje, kojarzonymi z nieoczekiwanymi przedmiotami, wpisywanymi w pejzaże, przy czym bardzo często zapożyczenia z dzieł malarstwa spotykają się tu z fotografiami mody. Zaś najlepszymi ilustracjami jego konstruktywistycznej dyscypliny są znakomite okładki katalogów wystaw w *Centre Pompidou*, zbudowane wokół osi symetrii równoległej do przekątnej od lewego dolnego do prawego górnego rogu. Uderza to zwłaszcza w katalogu *Paris-Paris*, gdzie oś tę wyznacza na żółtym tle czarna wieża Eiffla, przy czym drugą, prostopadłą do niej tworzą równie czarne litery tytułu. Uderza to też w katalogu *Présences polonaises* z jego czarną grubą linią przekątną, od której odcinają się litery tytułu, tym razem białe.

Przeważnie jednak, co najlepiej pokazują plakaty, nadrealistyczna wyobraźnia współwystępuje z konstruktywistyczną dyscypliną tworząc wewnętrzne napięcie znamienne dla dzieł Cieślewicza. Pierwszą reprezentuje wtedy sposób obrazowania – przedstawiania postaci lub łączenia ze sobą różnych składników dzieła – oraz operowanie kolorem. Drugą – rygorystyczny kompozycji z reguły budowanej na wyraźnie zaznaczonych osiach symetrii. W okresie polskim ilustruje to znakomicie plakat filmu Hitchcocka „Zawrót głowy” (1963), gdzie na pionowej osi symetrii, u góry zaznaczonej czerwoną kreską, u dołu trójkątem krawata rozmazanym jak odcisk palca, umieszczona jest trupa czaszka z namalowanymi na czole kolorowymi kołami, które czynią z niej tarczę strzelniczą. Czaszka ta wisi nad garniturem i krawatem, pod którymi jest pustka. Tytuł filmu zajmuje miejsce dolnej szczytki. Nazwisko reżysera, wielkimi literami, umieszczone jest na górze, na całą szerokość plakatu; nad nim, mniejszymi literami, z zachowaniem symetrii, figurują nazwiska odtwórców głównych ról.

Na retrospektywie Cieślewicza w Beaubourgu, największy podziw budziły plakaty i okładki. Jakoż stanowią one niezbywalny składnik kultury wizualnej naszego czasu. Są zapisem jego historii: jego złudzeń – „Che” si (1967) – jego koszmarów, jego rozrywki. Przy czym historię tę współkształtowały w tej mierze, w jakiej wiele osób zaczęło pod ich wpływem inaczej patrzeć i inaczej widzieć.

Krzysztof POMIAN

## Josif Brodski

28 stycznia br. zmarł w Nowym Jorku w wieku 56 lat Josif Brodski.

W marcu 1964 r. został on skazany w ZSSR na 5 lat przymusowych robót za „pasożytniczy tryb życia”. W 1972 r. wyemigrował do U.S.A. Otrzymał Nagrodę Nobla w 1987 r.

Stenogram z rozprawy sądowej otrzymaliśmy niezmiernie szybko, bo już na początku czerwca 1964 r. i tekst ten został zamieszczony w numerze 7/201-8/202 *Kultury*. Ponadto na początku 1965 r., opublikowaliśmy w *Kulturze* kilka wierszy Josifa Brodskiego otrzymanych z Archangielska z „Wielką elegią na Johna Donne’a” w przekładzie Józefa Łobodowskiego.

Jerzy Stempowski w liście do J. Giedroycia z 5.7.64 r. tak skomentował skazanie Brodskiego:

Posyłam Panu jednocześnie dwa wycinki z hamburskiego tygodnika *Die Zeit*. Znajduje się w nich dokument moim zdaniem niezwykle wagi, objaśniający jak żaden inny położenie literatury w Rosji Sowieckiej. Jest to protokół rozprawy sądowej, w wyniku której literat Josif Brodski został skazany na 5 lat ciężkich robót – najwyższy wymiar przewidziany ustawą – za pasożytnictwo społeczne i uchylanie się od pracy. Sąd stanął na stanowisku, że pisanie wierszy i tłumaczenie Gałczyńskiego nie może być uważane za użyteczną pracę, do jakiej zobowiązani są obywatele sowieccy. Rozprawa miała miejsce w Leningradzie, uchodzącym za najbardziej liberalne miasto.

Nie wiem, jakie będą losy tego dokumentu. Być może nie zostanie po prostu zauważony w atmosferze odprężenia i różowych okularów. „*Moja żona wowsie nie szumiła i naprotiw starała cztoby wsio było ticho*”. Dokument ten tym bardziej zasługuje na opracowanie. Niemcy tego nie potrafią. Dla nich rzecz nie ma aktualności, bo Ulbricht jest stalinistą i literatura jest dlań niezbędnym instrumentem walki. W opiniach sędziów, oskarżycieli i świadków leningradzkich, pojawia się element nowy, mianowicie lekceważenie literatury, znane nam dobrze, bo właściwe Gomułce. Rzecz nie da się sprowadzić do prostactwa i posiada kilka głębszych aspektów.

Jednym z nich jest szczerą nienawiść sędziów i świadków do literatów. Gdyby mogli, zrzuciliby ich z *katokolni*<sup>1</sup>. „*Narod wzwołnowałsa i brosił s raskata Proszku da Iwaszku*”<sup>2</sup>. Zjawisko w Rosji nienowe, znane z Taszkientców i projektów Pieti Tołstołowa<sup>3</sup>, niemniej dające do myślenia. Literaci sowieccy są w potrzasku: z jednej strony mają żądające posłuszeństwa władze, z drugiej stoi *ululukajuszczaja tołpa*<sup>4</sup>. W tej sytuacji elementarna przezorność każe trzymać się władzy.

Drugi aspekt jest bardziej subtelnej natury. Czytając pytania sędziów ludowych i zeznania świadków ma się wrażenie czegoś już znanego. Czy Tołstoj miał inny stosunek do literatury? Nie mówię już o Dobrolubowie, Pisariewie i innych *izuwierach*. Czy Tołstoj nie uznałby też tłumaczenia Gałczyńskiego za zbijanie bąków i uchylanie się od pracy? Nie mam pod ręką „*Czto takoje iskusstwo?*” i pism polemicznych Tołstoja, ale według mojej pamięci można by tam znaleźć pierwowzór wielu wypowiedzi z protokołu rozprawy przeciw Brodskiemu. Proszę zapytać o to Józia<sup>5</sup>, który na pewno pamięta Tołstoja.

Dla rusycystów, chcących rozumieć, protokół tej rozprawy jest dokumentem zasługującym na przemyślenie i rozpracowanie. Czy pośród Pańskich współpracowników ktoś mógłby się tym zainteresować? Myślę przede wszystkim o Miłoszu, którego zajęcia profesorskie idą w tym kierunku.

Jerzy STEMPOWSKI

1. z dzwonnicy.

2. „Lud się zdenerwował i zrzucił z hukiem Proszkę i Iwaszkę”.

3. Bohaterowie utworów M.J. Sałtykowa-Szczedrına.

4. urągająca tłuszcza.

5. Józefa Czapskiego.

## Kronika kulturalna

### Życie bez poezji jest niemożliwe...

W przedmowie do obszernego wyboru poezji Tadeusza Różewicza w moim przekładzie, stwierdziłem, że autor jest „jednym z wielkich poetów naszych czasów”<sup>1</sup>. Omawiając publikację w *The Times Literary Supplement*, recenzent doniósł, że nazwałem go „największym poetą”. Tak o nikim bym nie zaopiniował: przestrzegam ściśle granicy między oceną dzieł, a nieodpowiedzialnym panegirycznym, nieodpowiedzialnym, gdyż ani ja, ani nikt inny nie czytał wszystkich wierszy we wszystkich językach, a tylko w takich warunkach tego rodzaju absolutyzm byłby możliwy.

Na czym polega wybitność tej poezji? Częściowo na tym, że autor od pół wieku zmagają się z problemem, czy twórczość poetycka jest możliwa po katastrofie II wojny światowej. Czy jej „piękno” da się w nowych warunkach moralnie usprawiedliwić.

Dotychczas poeci buntowali się przeciw zastanym poetykom w imię własnych nowych, nowoczesnych, rewolucyjnych. Osobliwość postawy Różewicza polega na zradykalizowaniu tego procesu założeniem, że nie tylko pewne poetyki się przeżyły, ale że poezja w ogóle sięgnęła granic swych możliwości. A jednak poeta świadomy śmierci poezji, uporczywie ją tworzy! Dlaczego więc nie złamał pióra? Dlaczego je w ogóle brał do ręki? Z lektury niektórych wierszy i wypowiedzi, można wysnuć mniej drastyczny wniosek, że, jak inni poeci, rozróżnia między „poezją” (którą

1. Tadeusz Różewicz, *They came to see a poet*, Anvil Press, Londyn 1991, s. 12.

sam tworzy) a „wierszowaniem”, nad którym męczą się autorzy poetyki potępionych. To stanowisko jest zapewne istotnym elementem poetyki Różewicza. Ale jego radykalizm zdaje się w ogóle negować poezję i wobec tego wracamy do pytania: dlaczego pisze? Może kryje się tu nieuchronny dylemat: człowiek, który bardzo wcześniej (pod okupacją hitlerowską) stracił wiarę w wartość moralną „mowy związanej” jest jednak opętany żądzą twórczą, której nie potrafi (nie chce) pohamować.

To dotyczy psychiki i moralnej postawy autora. Psychika jest jego prywatną sprawą, ale stanowisko moralne musi interesować czytelników tego obfitego dorobku. Nie każdy poeta jest moralistą; niektórzy bywają od czasu do czasu, ale Różewicz jest nim stale, właśnie dlatego – choć nie tylko dlatego – że pytanie o sens moralny zajęcia zwanego „twórczością poetycką” nie daje mu nigdy spokoju.

W debiutanckim *Niepokoju* (1945) czytamy:

*Kasztan przed domem zasadzony  
przez ojca rośnie w naszych oczach  
[.....]  
na półce stoją stoiki  
w których konfitury  
jak boginie ze słodkimi ustami  
zachowały smak  
wiecznej młodości  
[.....]  
Dzieciństwo jest jak zatarte oblicze  
na złotej monecie która dźwięczy  
czysto.*

A także:

*Człowieka tak się zabija jak zwierzę  
widziałem:  
furgony porąbanych ludzi  
którzy nie zostaną zbawieni.*

Pojęcia są tylko wyrazami:

cnota i występki  
prawda i kłamstwo  
piękno i brzydota  
męstwo i tchórzostwo

(„Ocalony”)

W *Płaskorzeźbie*, najnowszym tomie poety, czytamy:

siedzę pod jabłonką  
na otwartym zeszycie drżą  
cienie gałęzi  
jabłonka przekwita  
płatki opadają na stolik  
na trawę na książkę<sup>2</sup>

W „Dezerterach”, jednym z najnowszych wierszy, poeta pisze:

módlmy się  
wierzący w Boga  
i wierzący w Nic  
za śmiertelne dusze  
[.....]  
módlmy się za dezenterów  
pierwszej i drugiej wojny światowej  
wieczne odpoczywanie  
racz im dać Panie  
Módlmy się za dezenterów  
wojen obronnych i napastniczych  
wojen sprawiedliwych i niesprawiedliwych  
[.....]  
„Nie zabijaj”  
powiedział Pan  
i milczy  
„Gott mit uns”

2. Tadeusz Różewicz, *Płaskorzeźba*, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1991, s. 29.

powiedział człowiek  
i ruszył na wojnę  
z krzyżem  
w rękę<sup>3</sup>

Uderza stabilność tej poetyki na przestrzeni półwiecza. Cytaty pochodzą z jej antypodów. Na jednym biegunie utworzy jeszcze jakby w kręgu tradycyjnej liryki, na drugim szokujące, brutalne zdania, które do żadnej poetyki nie pasują. I w tych ostatnich objawia się specyficzny różewiczowski radykalizm estetyczno-moralny. Tu już naprawdę nie ma „poezji”, a już na pewno nie ma „wierszowania”, które wielu fałszywie identyfikuje z poezją.

Jak daleko już w r. 1945 Różewicz zdystansował miłośników „poezji” możemy ustalić w odniesieniu do pamfletu *Przeciw poetom* Gombrowicza, wciąż uważanego za miarodajny. Ostatnio rzecz Krnąbrnego Dyzia została zaszczycona osobnym wydaniem w krakowskim Znaku. Wbrew zamierzeniom autora, jest to pamflet skierowany przeciw pretensjonalności skamandryckiego poezjowania, z którym poezja Różewicza rozprawiła się *implicite* zanim Dyzio chwycił za pióro.

Dlatego, że poezja Różewicza tak wcześnie i tak bezkompromisowo zerwała z poezjowaniem, dlatego też, że Różewicz jest autorem słów:

nic w czarodziejskim płaszczu  
Prospera  
nic z ulic i ust  
z ambon i wież  
nic z głośników  
mówi do niczego  
o niczym

– i wielu innych podobnych sformułowań – szokuje uczonych w piśmie, prostackich moralistów a także niejednego tradycyjnego miłośnika „poezji”. Ale od debiutu był najpopularniejszym powojennym poetą, zwłaszcza wśród młodzieży.

3. Tadeusz Różewicz, *Słowo po słowie*; Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1994, s. 219.

Skąd więc bierze się atrakcyjność tej twórczości? W pewnym sensie, poezja nie ma historii, nie ma przeszłości. Raz biorę z półki Wergiliusza, raz Kochanowskiego, raz Norwida: z każdym rozmawiam jak z współczesnym. Ale nie może to być całą prawdą. Czas mija: dorastają pokolenia, dorastają poetyki. Poetyka Różewicza natychmiast znalazła swój czas. Ale dlaczego?

Różewicz pozbył się rymów, regularnych rytmów, pięknych metafor, melodyjności, uważnie dobranego „poetyckiego” języka. Cóż zostało? Został język, zostało słowo. Nie jest to stwierdzenie banalne. Przeszło sto lat temu poeci zaczęli ze słowem walczyć, niszczyć je, lub też przemieniać w idola, w ikonę. Tak czy inaczej, słowo straciło w tej twórczości pierwszoplanową rolę przekazywania treści, a nawet zanikło pod presją eksperymentów symbolistów, surrealistów, futurystów i innych tępicielei sensu.

Inaczej u Różewicza. Jakby powtarzał za Norwidem, że należy „odpowiednie dać rzeczy słowo”. W jego wypadku – choć nie Norwida – oznacza posługiwanie się słowem jak w prozie sprawozdawczej. Stoi za tym estetyczno-moralnym programem troska o prawdę właśnie w jej moralnym, raczej niż czysto poznawczym sensie. Fałsz wyrażony bezpośrednio trudno zakamuflować. Ale w poezji samo dążenie do prawdy nie wystarcza; musi być treściwe. Tematy wchodzące w zakres trosk poety wyszczególniłem we wspomnianym wstępie do wydania angielskiego:

Tematyka jego wierszy jest bardzo szeroka: wspomnienia z dzieciństwa, wojna, miłość, erotyzm, sztuka, religia, starzenie się i śmierć, stosunki międzyludzkie, rola poezji i poety, współczucie, czułość, niepokoje i horrory nowoczesnej cywilizacji, obawa nuklearnego holocaustu. To, co on wyraża prosto, nie jest przeto proste. Autorem tej wielokierunkowej twórczości jest czujny, wrażliwy i troskliwy człowiek, który jest także mistrzem sztuki poetyckiej.

Dlatego jest to poezja przystępna, popularna.



O poezji Różewicza napisano już bardzo dużo, ale czy zwrócił ktoś uwagę na to, że ten skarcony przez kard. Wyszyńskiego pisarz, jest poetą głęboko osadzonym w tradycji judeo-chrześcijańskiej i bardzo czułym na wymiar doświadczeń religijnych znamionujących kondycję ludzką? Różewiczowi bliska jest mitologia chrześcijańska; jej retoryka, symbolika i ikonografia. W pojęciu Polaków poeta religijny winien nosić sutannę i zdzieciniałym językiem kumać się z Panem Jezusem i NMPanną. A Różewicz relacjonuje:

*Drewniany Chrystus  
z średniowiecznego misterium  
idzie na czworakach*

*cały w czerwonych drzazgach*

*w cierniowej obroży  
z opuszczoną głową  
zbitego psa*

*jak to drewno taknie*

(„Drewno”)

Wątek religijny dominuje *Płaskorzeźbę*. Tu występuje już nie na poziomie aluzji do kultu, lecz odnośnie zasadniczej kwestii wiary. Zresztą już w *Niepokoju* poeta deklarował:

*Nie wierzę w przemianę wody w wino  
nie wierzę w grzechów odpuszczenie  
nie wierzę w ciała zmartwychwstanie.*

(„Lament”)

W tym sensie pisarzem religijnym był nawet Nietzsche, kiedy stwierdził śmierć Boga. W tym sensie jest poetą religijnym Różewicz w cytowanym „Dezerterze” i „Lamencie”, a także w „Cierniu”:

*nie wierzę  
nie wierzę od przebudzenia  
do zaśnięcia*

nie wierzę od brzegu do brzegu  
 mojego życia  
 nie wierzę tak otwarcie  
 głęboko  
 jak głęboko wierzyła  
 moja matka

Kwestie wynikłe z namysłu nad wiarą pobudzają szersze pytania metafizyczne dotyczące sensu naszej egzystencji. Teraz w *Płaskorzeźbie* poeta zasadniczo łagodzi swój sceptycyzm paradoksem:

życie bez boga jest możliwe  
 życie bez boga jest niemożliwe

Więc jednak „życie bez boga jest niemożliwe”, a także „ostatni Bóg... nie umarł”, więc poeta informuje „myślę o wieczności”, ale jednak również zarzeka się „nie wierzę w życie pozagrobowe”, zapowiada „pogrzeb poezji” i wreszcie twierdzi, że „Bóg wierszy nie czyta”. Tu w ostatnim cytacie łączy estetykę z wiarą, ale o dziwo, sceptycyzm w stosunku do poezji jest głębszy od sceptycyzmu w stosunku do Boga, który, być może, poezją się nie zajmuje, ale aby czymkolwiek się zajmować, musi przecież istnieć! W wierszu, w którym ogłasza „pogrzeb poezji”, poeta mówi też o „tajemnicy wcielonego słowa”. Rozmyśla o losie poezji językiem Ewangelii. Na początku było słowo; co więcej, było u Boga, jak informuje Jan. I Bóg i poeta polegają na słowie: poezja osiąga status metafizyczny. Wątek cytowanego już wiersza moglibyśmy przepisać: „świat bez poezji jest możliwy... świat bez poezji jest niemożliwy...”.

Dobre intencje nie gwarantują dobrej poezji. Zakres wątków poezji Różewicza oraz ich ujęcie świadczą o bardzo wielu dobrych intencjach. Ale jak zostały wykonane? Stwierdziliśmy już, że poeta pozbył się tradycyjnych atrybutów poezji, że zbliżył wiersz do sprawozdawczej prozy. Czy ten szkielec, który pozostał, wolno nazwać poezją w jakimkolwiek sensie? Już czystość i klarowność słowa, odpowiedzialność wobec

języka jako nośnika znaczeń – o czym była mowa – można uznać za walor estetyczny. Szacunek dla słowa oznacza wyrzeczenie się gadulstwa, oznacza prostotę ekspresji. Może najbardziej przejmującym przykładem w *Płaskorzeźbie* jest wiersz poświęcony pamięci Konstantego Puzyry:

Czas na mnie  
 czas nagli

co ze sobą zabrać  
 na tamten brzeg  
 nic

więc to już  
 wszystko  
 mam

tak synku  
 to już wszystko

a więc to tylko tyle

tylko tyle

więc to jest całe życie

tak całe życie

Przypominam sobie, jak wygląda maszynopis *Ziemi jatowej* Eliota, zredukowany drastycznymi cięciami Ezry Pounda. Pound skreślił wszelkie dłużyzny, dzięki czemu poemat zyskał ogromnie na sile. Nic dziwnego, że Eliot zadedykował *Ziemię* Poundowi „lepszemu rzemieślnikowi”, nawiązując do słów poety Guinicellego w *Czyśćcu* Dantego o poecie Danielu, który „był lepszym rzemieślnikiem mowy ojczyste” („*fu miglior fabbro del parlar materno*”). Ale dopiero po śmierci Eliota maszynopis został opublikowany i mogliśmy dokładnie prześledzić, ile autor zawdzięczał „lepszemu rzemieślnikowi”. Że rękopis cytowanego utworu Różewicza jest czterokrotnie dłuższy od zredukowanej do absolutnego minimum ostatecznej wersji, wiemy dlatego, że autor sam ujawnił czytelnikom swój warsztat. W *Płaskorzeźbie* każdemu wierszowi towa-



rzyszy podobizna rękopisu. Należy podziwiać odwagę pisarza.

Obok wcześniej zmarłego Puzyny, do upamiętnionych w *Płaskorzeźbie* należą historyk sztuki Abbé Winckelmann, zamordowany przez rabusia, który

*myślał  
że zaszlachtował luteranina  
żyda albo szpiega  
więc nie miał wyrzutów sumienia;*

August, nieudany syn Goethego; umierający w męczarniach Franz Kafka; zapoznany poeta Aloisius Schnedel, który wcześniej odchodzi do szpitala dla umysłowo chorych; Klaus Mann, syn Thomasa, który:

*walczył z faszyzmem  
[.....]  
wstąpił do amerykańskiej armii  
brał udział w wojnie*

*szukał miejsca w Ojczyźnie*

*wyjechał do Cannes w roku 1949  
i popełnił samobójstwo*

i samobójczy poeta Paul Celan, pogrobowiec holocaustu.

Są to jakby postacie z „Dezerterów”: outsiderzy, ofiary przypadku, choroby, okrucieństw historii. Poeta wybrał ich na anty-bohaterów swej anty-poezji.

Całokształt twórczości Różewicza jest świadectwem jego zmagania i wątpliwości. Domyśla się, że bogowie odeszli lub umarli, asystuje przy pogrzebie poezji. Ale w jego mniemaniu, ludzkość nie może się pozbyć tęsknot transcendentnych, nie może też zarzucić poezji. Wiersze, które głoszą śmierć poezji i bogów, wchodzą do kanonu poezji polskiej końca XX wieku. A tu, jak Filip z konopi, znów wyskakuje Krnąbrny Dyzio ze swą jednodniówką. Gdzie Krym, gdzie Rzym?

Adam CZERNIAWSKI

## Symboliczny krzyż na grobie Dymitra Fiłosofowa

20 grudnia 1995 roku na Wolskim Cmentarzu Prawosławnym w Warszawie odbyło się uroczyste poświęcenie symbolicznego krzyża na symbolicznym grobie Dymitra Fiłosofowa.

Oto w skrócie bieg wydarzeń poprzedzających tę uroczystość. W listopadzie zeszłego roku Jerzy Giedroyc zaniepokojony wiadomością o zdemastowaniu grobu Fiłosofowa poprosił mnie listownie o zbadanie na miejscu jak się sprawy mają. Udałem się do parafii św. Jana na Woli, gdzie odnalazłem Dymitra Fiłosofowa w Przewodniku po Wolskim Cmentarzu wśród 25 wybitnych Rosjan tam pochowanych, po samym grobie jednak nie zostało nawet śladu. Skromna ziemna mogiłka z kapliczką z dykty wykonana przez Leona Gomolickiego, pozbawiona opieki, nie wytrzymała próby czasu. Nie tylko zresztą grób Fiłosofowa spotkał taki los. Z Przewodnika dowiedziałem się, że nie sposób już dziś ustalić, gdzie spoczywają prochy profesora Aleksandra Błoka, ojca poety. Ocalał natomiast grób Michała Arcybaszewa, głośnego niegdyś pisarza, który na emigracji redagował wspólnie z Fiłosofowem gazetę *Za swobodę*.

Poczyliem pewne starania spotykając się wszędzie z życzliwym stosunkiem do inicjatywy odbudowy grobu Fiłosofowa. Parafia przydzieliła nową kwatere położoną w pobliżu cerkwi. Dla tych, którzy zechcą odwiedzić Cmentarz Wolski, podaję dane orientacyjne 17-3-5 (numer alei, kwatery i miejsca grobu). Stanął tam krzyż zaprojektowany przez architekta p. Wojciecha Bagińskiego z tablicą opracowaną przez artystę-plastyka p. Marka Wajdę. Obaj panowie wykonali swoje prace bezinteresownie. Dębowy krzyż, starannie zabezpieczony przed wilgocią, jest dziełem zaprzyjaźnionego gospodarza i cieśli z zamiłowania p. Sławomira Gryza. W kosztach partycypował Jerzy Giedroyc.

Minister Kultury i Sztuki, Kazimierz Dejmek, zawiadomiony przeze mnie o uroczystości, wydał natychmiastowe polecenie przejścia dalszych kosztów odbudowy grobu przez podległy mu resort. Ministerstwo chciało mi nawet zwrócić

wydatki na krzyż, ale nie zgodziłem się na odebranie mi tego zaszczytu.

Uroczyste poświęcenie krzyża odbyło się po panichidzie. Pod krzyżem złożono wieniec od Jerzego Giedroycia (także w imieniu zmarłych przyjaciół Fiłosofowa – Józefa Czapskiego oraz Stanisława i Jerzego Stempowskich), wieniec od ministra Dejmka oraz kwiaty od obecnych osób.

Na tablicy, oprócz nazwiska Zmarłego (wykonanego cyrylicą) widnieje u dołu napis w języku polskim: „Żyje w pamięci polskich przyjaciół”.

Pozostało jeszcze sporo do zrobienia, ale są to już prace wykończeniowe. Na wiosnę zamierzam przywieźć spod Warszawy upatrzony głaz polodowcowy i umieścić go pod krzyżem. Sam grób chciałbym otoczyć żelaznym ogrodzeniem wykutym ręcznie przez kowala i wzorowanym na petersburskich balustradach znad Newy. Do tego dojdzie podmurówka pod kwiaty i ławeczka.

Mam nadzieję, że ten symboliczny krzyż obudzi u nas zainteresowanie jakże ciekawą postacią Fiłosofowa. *Twórczość* drukuje w najbliższym numerze artykuł o Fiłosofowie pióra młodego historyka Wojciecha Stanisławskiego, który pracuje właśnie nad doktoratem poświęconym działalności rosyjskiego myśliciela. Ten Rosjanin, który tak pięknie się zadowił w Warszawie ze wszech miar zasługuje na powrót do historii i do literatury.

Ziemowit FEDECKI

## Konferencja o literaturach emigracyjnych

Wydział Języków i Literatur Słowiańskich Uniwersytetu w Glasgow zorganizował w dniach 25 i 26 listopada 1995 konferencję poświęconą pamięci czeskiego emigracyjnego krytyka, Igora Hajka (Igor Hajek), zmarłego w 1995 roku. Był on przez długie lata wykładowcą w Glasgow i cieszył się

dużym uznaniem w środowisku literackim. Otwierając konferencję Michael Kirkwood wyraził przekonanie, że pisma Hajka należałoby zebrać i opublikować, a jednocześnie zapowiedział kontynuowanie wykładów o literaturze czeskiej na Uniwersytecie.

Konferencja – choć miała tytuł: „Słowiańskie Literatury Emigracyjne – przeszłość, teraźniejszość, przyszłość?” – skoncentrowała się na wschodnich i zachodnich Słowianach. Referaty dotyczyły tylko czeskiej, polskiej, rosyjskiej i białoruskiej literatury. Program w tych granicach był bogaty i urozmaicony. Jan Čulík, który obecnie wykłada język i literaturę czeską w Glasgow, wygłosił interesującą prelekcję o „Recepcji niezależnej literatury czeskiej po 1989 roku”. W Pradze bowiem określenie „niezależna” obejmuje zarówno literaturę „drugiego obiegu” (samizdat), jak literaturę emigracyjną. W roku 1990 obie te literatury budziły wielkie zainteresowanie, które wkrótce opadło; i tak na przykład wybór opowiadań Ivana Klimy rozszedł się od razu w pierwszym roku wolności, podczas gdy inna jego książka, wydana w 1991 roku w znacznie mniejszym nakładzie, do dnia dzisiejszego jest zaledwie w połowie rozprzedana. Čulík zauważył, że w Republice Czeskiej wciąż pokutuje podejrzliwość, a może tylko ambiwalentna postawa wobec literatury emigracyjnej. Ludzie czytają dzisiaj takich zagranicznych autorów jak Arthur Hailey, Dick Francis i inne gatunki literatury rozrywkowej, a tymczasem żadna z książek Kundery, napisanych we Francji, nie ukazała się w jego ojczystym kraju. Według przeprowadzonego ostatnio w Czechach sondażu, zaledwie 3% mieszkańców regularnie czyta książki.

O literaturze czeskiej wypowiadali się także Robert Bristol (Bristol), który przeprowadził porównanie między Josephem Conradem, Skvoreckym i rosyjskim pisarzem Zinowijem Zinikiem; Zuzanna Stolz-Hładka (Oxford) polemizowała z postawą Very Linhartovej wobec emigracji, a Martin Pilař z Ostravy mówił o „Roli emigracji w przełamaniu czeskich wzorców literackich”.

Grupa prelegentów na temat literatury rosyjskiej była oczywiście znacznie liczniejsza i obejmowała zarówno autorów emigracyjnych takich jak przebywający w Londynie Zinik lub mieszkający w Monachium Aleksander Zinowiew, jak i specjalistów od literatury rosyjskiej z Wielkiej Brytanii i innych krajów.

Gerald Smith (Oxford) zadał trafne pytanie: w jakim sensie literatura rosyjska poza Rosją była kiedykolwiek żywa? Obaj rosyjscy laureaci nagrody Nobla, którzy mieszkają lub przebywali na Zachodzie, otrzymali tę nagrodę (dotyczy to szczególnie Sołżenicyna) za dzieła, które powstały już wcześniej w Związku Sowieckim. A co do Brodsky'ego, to stał się raczej znany jako anglo-amerykański eseista, niż jako poeta rosyjski. Michael Kirkwood mówił o znaczeniu dzieła Aleksandra Zinowiewa, szczególnie o jego książkach „Homo sovieticus” i „Mój dom” – *maja czużbina*. Zinowiew jest bystrym obserwatorem różnych postaw rosyjskich pisarzy wobec problemu emigracji.

W żywym referacie pt. „Sołżenicyn: emigracja i *genius loci*”, Michael Nicholson (Oxford) mówił o tym, jak lata spędzone w Vermont nie wpłynęły na zmianę „moralnych absolutów” tego ważnego, lecz (z politycznego punktu widzenia) anachronicznego pisarza. W każdym razie dla Sołżenicyna emigracja była niewątpliwie tymczasowym rozwiązaniem. Chociaż ani on, ani nikt nie mógł przewidzieć załamania się Związku Sowieckiego, Sołżenicyn w wywiadach stale powtarzał: „Pewnego dnia powrócę do Rosji”. Teraz uważa się go za pomnik przeszłości, a jego poglądy w istocie nie mają znaczenia dla dynamiki dzisiejszej Rosji.

Trzy referaty wygłoszone na konferencji dotyczyły polskiej emigracji, czy to z literackiego, czy też z politycznego punktu widzenia. Małgorzata Czermińska z Uniwersytetu Gdańskiego omówiła recepcję polskiej literatury emigracyjnej w Polsce. Zaczęła od przedstawienia sytuacji bezpośrednio po wojnie, kiedy kilku pisarzy, jak Tuwim, Broniewski, Gałczyński czy Kossak-Szczucka wrócili do Polski, ale oficjalny stosunek do polskiej literatury emigracyjnej był zdecydowanie negatywny.

Gombrowicza wystawiano w Polsce, ale jego Dzieła wszystkie mogły się ukazać w druku tylko w Paryżu, nie w Warszawie.

Miłosza zaczęto wydawać dopiero po Nagrodzie Nobla, i jego dzieła zyskały dużą popularność.

Gustaw Herling-Grudziński był jednym z ostatnich pisarzy emigracyjnych, którego zaczęto wydawać w Polsce, a to ze względu na tematykę jego książki „Inny świat”. Dopiero kiedy ukazały się dawniejsze utwory tego pisarza polscy czytelnicy odkryli jego doskonałe opowiadania. Małgorzata Czermińska wyraziła zdanie, że powinno się zmienić definicję

emigracji: obecnie wielu Polaków „mieszka za granicą”, lecz nie są oni emigrantami w sensie tego określenia sprzed 1989 roku. (Tak na przykład, jeśli Gretkowska napisze powieść w Paryżu, nie staje się zaraz „pisarką emigracyjną”). Zresztą charakter emigracji zmienił się w ostatnich kilku latach, została „odromantyczniona”.

George Gömöri z Uniwersytetu w Cambridge porównał działalność i wpływy dwóch wielkich pism emigracyjnych funkcjonujących w Paryżu, względnie pod Paryżem. Chodzi o polski miesięcznik *Kultura* i węgierskie pismo literackie *Irodalmi Ujság*. To ostatnie, wydawane przez Tibora Méray'a, który i teraz mieszka w Paryżu, przestało się ukazywać w 1989 roku, ale w okresie od 1956 do 1989 te dwa periodyki wykazywały znaczne podobieństwo – chociaż format węgierskiego pisma literackiego przypominał raczej londyńskie *Wiadomości*. *Kultura* jednak stała się placówką opiniotwórczą dla polskiej emigracji już w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy publikowała znakomite eseje polityczne Juliusza Mieroszewskiego i wydawała dzieła pisarzy tej miary, co Miłosz i Gombrowicz. Wpływ *Kultury* nabrał znaczenia międzynarodowego na początku lat 60-tych, kiedy jako pierwsza opublikowała teksty rosyjskich pisarzy-dysydentów Arzaka i Terca (Daniela i Siniawskiego); innym krokiem, który nadał znaczenie „globalne” wartościom *Kultury*, była dwutomowa antologia jej tekstów, wydana przez Leopolda Tyrmanda w Stanach Zjednoczonych w roku 1970.

Wpływ *Kultury* na kształtowanie polskiej myśli i postawy politycznej był znacznie większy, niż na Węgrzech jej węgierskiego odpowiednika, chociaż w ostatnich kilku latach reżymu Kádára członkowie węgierskiej opozycji politycznej zaczęli przewietrzać swoje poglądy w parysko-węgierskim piśmie i nawiązali kontakty z niektórymi czołowymi intelektualistami węgierskiej emigracji.

Trzeci referat o tematyce polskiej wygłosił angielski naukowiec John Bates (Glasgow), który mówił o „Stosunku polskich władz komunistycznych wobec emigracji po roku 1956”. Bates badał te postawy jako historyk, lecz z poważnym uwzględnieniem literatury. Wykazał, jak funkcjonowała cenzura, jak zmieniały się jej priorytety zależnie od etapu (np. za reżymu Gomułki były one inne niż za czasów Gierka i Jaruzelskiego), a także w odniesieniu do tego samego autora w różnych okresach. Tak na przykład „Transatlantyk” Gombrowicza, choć politycznie do przyjęcia, wywołał

ingerencję cenzury na gruncie moralności. Inni autorzy, mimo zgody na wydawanie ich przez niektóre wydawnictwa, byli w dalszym ciągu dyskryminowani przez ustalenie maksymalnego nakładu każdej pozycji. W latach 70-tych pisarze emigracyjni byli różnicowani na bazie wielu kryteriów; ten system „selektywnej akceptacji” był mniej lub bardziej obowiązujący aż do lat 1988-1989, kiedy ostatecznie pękły tamy cenzury. W dyskusji, która się wywiązała po referacie Johna Batesa, zwrócono uwagę, że w Polsce Ludowej cenzurowani byli nie tylko żyjący autorzy, lecz także klasycy, jak na przykład niektóre antybolszewickie wypowiedzi Żeromskiego; nawet dzieła Josepha Conrada wydano w dziewięciu tomach, a dziesiąty – zawierający teksty krytyczne o Rosji i komunizmie – ukazał się (dokładnie w takiej samej formie i w identycznym formacie) w emigracyjnym wydawnictwie w Londynie.

George GÖMÖRI

(przekład Camili Mondral)

## NAGRODY

*Nagroda pisarska Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie im. Edwarda Raczyńskiego*

Na posiedzeniu Jury dorocznej Nagrody Pisarskiej PFK imienia Edwarda Raczyńskiego za najwybitniejszą książkę historyczno-polityczną wydaną w języku polskim, postanowiło przyznać nagrodę łączną (1993/1994), w sumie £ 500 każda, dwóm młodym historykom polskim: Andrzejowi Friszke za książkę pt. „Opozycja polityczna w PRL 1945-1980”, wydaną przez Aneks Publishers w Londynie i Tadeuszowi Dubickiemu za książkę pt. „Wojsko polskie w Rumunii 1939-1941”, wydaną przez Warszawską Oficynę Wydawniczą w Warszawie.

Zgodnie z intencją Fundatorów, nagroda za rok wydawniczy 1995 przyznana będzie w lecie 1996 roku. W związku z tym autorzy i wydawcy, w Polsce i za granicą, proszeni są o przesyłanie dwóch egzemplarzy książek zgłaszanych do rozpatrzenia przez jury, możliwie jak najwcześniej, a w każdym

razie przed 1 czerwca 1996 roku, na adres: mgr Andrzej Suchcitz, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, 20, Princes Gate, London SW7 1 PT, z zaznaczeniem „Jury Nagrody PFK”.

Lista nagrodzonych dotychczas autorów: Andrzej Albrecht (Wojciech Roszkowski), Warszawa; Aleksander Gella, Nowy Jork; Rafał Habielski, Warszawa; Mikołaj Iwanow, Wrocław; Piotr Łossowski, Warszawa; Stanisław Śl. Nicieja, Opole, Tadeusz Żencykowski, Londyn.

Powyższa nagroda została ufundowana w roku 1989 z okazji 25-lecia Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie. Wynosi ona £ 1000 ale może być podzielona.

### Nagroda „Odry” 1995

Zespół i Rada Redakcyjna miesięcznika *Odra* postanowiła przyznać Nagrodę *Odry* za rok 1995 Michałowi Głowińskiemu za tom esejów „Pismak 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach” (OPEN, Warszawa 1995) oraz cały cykl książek z ostatniego pięciolecia, poświęconych językowi władzy propagandy i komunikacji zbiorowej w PRL-u.

## KOMUNIKAT nr 2 ZARZĄDU FUNDACJI „POLSKA KATEDRA W UNIWERSYTECIE JEROZOLIMSKIM”

Uprzejmie informujemy wszystkich zainteresowanych, że w dn. 7 listopada 1995 r. Sąd Rejonowy w Warszawie zarejestrował Fundację pod powyższą nazwą. Wkład niezbędny do powołania Fundacji w łącznej wysokości 1050 zł wnieśli fundatorzy: ks. prof. Waldemar Chrostowski, prof. Jan Dowgiałło, prof. Stanisław Frybes, prof. Aleksander Krawczuk, dr Andrzej Olechowski, prof. Janusz Tazbir i prof. Andrzej Wycański. Tym samym powołane w dn. 18 stycznia 1995 r. Rada Fundacji i Zarząd Fundacji uzyskały formalne podstawy do rozpoczęcia działalności związanej z organizacją Katedry Historii i Kultury Polskiej w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Uzasadnienie potrzeby powołania takiej placówki przedstawiliśmy w Komunikacie nr 1 z dn. 27 lutego 1995 r. Inicjatywa ta spotkała się z aprobatą wielu osób w kraju i za granicą.

Pragniemy również poinformować, że w odpowiedzi na nasze zapytanie Prezydent Uniwersytetu Hebrajskiego, prof. Hanoch Gutfreund pismem z dn. 30 listopada 1995 r. potwierdził zamiar powołania Katedry. Warunkiem tego jest zebranie przez stronę polską 300 000 dol. USA, co odpowiada połowie kwoty niezbędnej do powołania i utrzymania Katedry.

Zebranie tej sumy nie będzie rzeczą łatwą i będzie wymagało z naszej strony intensywnych starań. Liczymy w tej sprawie na pomoc instytucji krajowych i zagranicznych. Nic jednak nie będzie w stanie zastąpić poparcia tych osób, którym idea powołania Katedry jest bliska i które rozumieją znaczenie powstania i działalności takiej placówki dla szeroko pojętych stosunków polsko-żydowskich. Obok moralnego także materialne wsparcie Fundacji przez te osoby w najskromniejszym choćby zakresie będzie miało dla tej ważnej sprawy duże znaczenie.

Możemy z przyjemnością poinformować, że dotychczas na rzecz Fundacji zadeklarowano następujące sumy:

prof. Juliusz Bardach (Warszawa) – 100 USD  
p. Hanna Bogdanowicz (Bruksela) – 3000 FBE  
red. Jerzy Giedroyc (w imieniu Redakcji Kultury) – 5000 FF  
p. Stanisław Grocholski (Valduc, Belgia) – 50 GBP  
prof. Antonina Kłoskowska (Warszawa) – 200 zł  
mec. Edward Kossoy (Genewa) – 2000 USD  
prof. Andrzej Siciński (Warszawa) – 100 zł  
prof. Jerzy Tomaszewski (Warszawa) – 500 zł  
dr inż. Ryszard Zalewski (Gliwice) – 400 zł.

Deklaracje wpłaty złożyli również prof. Jan Błoński (Kraków) i prof. Daniel Grinberg (w imieniu pracowników Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie).

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy. Mamy nadzieję, że obecnie, gdy nie ma już formalnych przeszkód w gromadzeniu funduszu Katedry, zacnie on wzrastać na tyle szybko, że możliwe będzie uruchomienie jej w roku akademickim 1996/1997. O rozwoju sytuacji będziemy Państwa informować w kolejnych komunikatach.

Prosimy o dokonywanie wpłat na konto podane poniżej lub bezpośrednio na ręce prof. Adama Manikowskiego (dyr. Biblioteki Narodowej) odpowiedzialnego w Zarządzie Fundacji za finanse.

Konto Fundacji:

Bank Handlowy w Warszawie S.A.  
IV Oddział w Warszawie  
ul. Poznańska 2/4 00-680 Warszawa

Nr konta złotówkowego: 201104-00867401

Nr konta dewizowego (dolary USA): 201104-00867402

Nr konta dewizowego (franki francuskie):  
201104-00867403.

Za Radę Fundacji:

Prof. Andrzej Wyczański  
(Przewodniczący)

Za Zarząd Fundacji

Prof. Jan Dowgiałło  
(Prezes)

Warszawa, 7 grudnia 1995 r.

## UNIWERSYTET LETNI KULTURY POLSKIEJ – RZYM 1996

**Fundacja Jana Pawła II oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski organizują od 17 czerwca do 6 lipca 1996 r. w Domu Polskim Jana Pawła II, Via Cassia 1200 w Rzymie Uniwersytet Letni Kultury Polskiej.**

**Program: historia Polski, myśl religijno-moralna Jana Pawła II, analiza życia społeczno-religijnego polskiego społeczeństwa, społeczno-gospodarcza sytuacja Polski, literatura polska, sztuka polska, polski film i teatr, muzyka polska, polska literatura i sztuka na emigracji, Kościół na emigracji, wkład emigracji w kulturę światową.**

**Wykłady w języku polskim i angielskim.**

**Studenci mogą uzyskać 5 punktów (credits).**

**Przewidywana jest audyencja u Ojca Świętego, zwiedzanie Rzymu i Muzeów Watykańskich oraz wycieczki do Asyżu, Monte Cassino i Pompei.**

**Koszt uczestnictwa łącznie z mieszkaniem i wyżywieniem w Domu Polskim oraz wycieczkami wynosi 900 dolarów USA (studenci 750 dolarów); przejazd do Rzymu na koszt uczestnika. Przy zapisie obowiązuje przedpłata w wysokości 300 dolarów USA lub równowartość w innej walucie, którą potrąca się od kosztów uczestnictwa. Pozostałą kwotę uczestnicy wpłacają przy przyjeździe do Rzymu.**

**Zgłoszenia należy kierować do dnia 31 marca 1996 wraz z czekiem lub M.O. wystawionym na adres:**

**POLSKI INSTYTUT KULTURY CHRZECIJAŃSKIEJ**  
**Via di Porta Angelica 63**  
**00193 Roma**  
**Italia**  
**tel./fax 39/6/686-18-44**

Osoby, które chcą przyjechać wcześniej lub pozostać dłużej, mogą zatrzymać się w Domu Polskim Jana Pawła II, rezerwując pokój na trzy miesiące przed przyjazdem.

KOMUNIKAT  
 O PRACACH NAD SŁOWNIKIEM EMIGRACYJNEJ  
 KULTURY

Zbliżają się do końca prace nad pierwszym tomem „Leksykonu kultury polskiej poza krajem po 1939 roku”. Hasła zebrane w poszczególnych częściach ułożone będą w porządku alfabetycznym od A do Z w każdej części. Będzie to pierwsza publikacja prezentująca całość dorobku emigracyjnego w dziedzinie kultury (architekturę, sztukę, literaturę, teatr, film, muzykę, nauki humanistyczne, ruch wydawniczy, instytucje, kulturę religijną i polityczną). Interdyscyplinarny charakter zasługuje na szczególne podkreślenie. Autorami tekstów są wybitni badacze z kraju i emigracji, najlepsi znawcy poszczególnych dziedzin kultury. Zestawy haseł były i są z nimi konsultowane.

Redakcja „Leksykonu...” nie dysponuje tak dużymi funduszami, żeby finansować wyjazdy badawcze, choćby do głównych terenów osiedlenia Polaków, a wiele materiałów dokumentujących życie kulturalne naszej diaspory jest w kraju niedostępnych. Prosimy więc o nadsyłanie informacji oraz dokumentów (wydawnictwa, fotografie, plakaty, reprodukcje dzieł sztuki itp.) na adres redakcji naszego słownika: Towarzystwo Naukowe KUL, 20-616 Lublin, ul. Gliniana 21, „Leksykon kultury polskiej poza krajem”.

Nadesłane materiały będą wykorzystane w miarę możliwości – „Leksykon...” powinien przedstawić najwybitniejsze osiągnięcia polskiej kultury poza krajem, konieczna jest więc selekcja, aby hasła dotyczyły rzeczywiście najważniejszych osób, instytucji i zjawisk.

Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego  
**Krzysztof DYBCIAK**  
 Sekretarz Komitetu Redakcyjnego  
**Zdzisław KUDELSKI**

Warszawa – Lublin, grudzień 1995

## Książki

### Historia Ukrainy w dwóch wariantach

Leżą przede mną dwie, wydane jakiś czas temu w Kijowie książki traktujące o najnowszej historii Ukrainy. Pierwsza z nich to praca Heorhija Kasjanowa: „Nezhodni: ukraińska inteligencja w rusi oporu 1960-80 r. (Niezgodni: inteligencja ukraińska w ruchu oporu w latach 1960-1980)”. Druga to pozycja autorstwa Wołodomyra Łytwyna: „Polityczna arena Ukrainy. Dijowi osoby ta wykonawci” („Polityczna scena Ukrainy. Główni aktorzy i wykonawcy”)\*.

„Nezhodni...” Kasjanowa traktują o niezależnych inicjatywach od początku lat 60-tych do początku lat 80-tych. Autor, w gruncie rzeczy, pisze biografię jednego pokolenia tzw. szestydesiatnykiw (pokolenie lat sześćdziesiątych). Pokolenie to weszło w twórcze społeczno-literackie życie na fali chruszczowowskiej odwilży.

Szestydesiatnicy, jako pierwsze po wojnie pokolenie Ukraińców, odważyli się upomnieć o prawa dla kultury i języka ukraińskiego. Chyba niepostrzeżenie, nawet dla siebie, stali się przywódcami odrodzenia duchowego swojego narodu. Książka Kasjanowa to opowieść o ludziach, których wrażliwość moralna i estetyczna pchnęła do działań społecznych, a w ostatecznym rachunku postawiła naprzeciw bezwzględnej maszynie państwa totalitarnego i którzy z tego starcia wyszli obronną ręką.

\* Heorhij Kasjanow; „Nezhodni: ukraińska inteligencja w rusi oporu 1960-80 r. (Niezgodni: ukraińska inteligencja w ruchu oporu w latach 1960-1980)”, Wyd. Łybid', Kijów 1995.

Wołodomyr Łytwin „Polityczna arena Ukrainy. Dijowi osoby ta wykonawci”, Wyd. Abris, Kijów 1994.

Zupełnie inny charakter ma książka Łytwyna. „Polityczna scena Ukrainy...” traktuje o ludziach, którzy znajdowali się na najwyższych poziomach władzy Ukrainy. Łytwin zaczyna swoje rozważania od gorbaczowowskiej przebudowy. W ten sposób jednym z pierwszych jego bohaterów jest Wołodimir Szczerbicki, jeden z najdłużej pełniących swoje obowiązki I sekretarzy KC KPU. Praca Łytwyna pisana jest (w każdym razie takie ma się wrażenie) z perspektywy kół zbliżonych do władzy. Stąd dość specyficzny sposób opisu ukraińskiego życia politycznego. Mnóstwo tu anegdotek, ciekawostek, złośliwości, czasami wręcz plotek. Autor daje wiele dowodów na to, że jest doskonale zorientowany w zakulisowych grach różnych koterii, grup interesów, środowisk.

Szczególnym walorem obu publikacji jest wielość źródeł, do których odsyłają nas autorzy. Dla amatorów historii najnowszej niezwykle smakowitym kąskiem są informacje zaczerpnięte przez Kasjanowa i Łytwyna z archiwów. A obie prace obfitują w materiał archiwalny. Po raz pierwszy szeroki krąg odbiorców ma okazję zapoznać się z zawartością ukraińskich i rosyjskich archiwów. Omawiani autorzy cytują informacje zaczerpnięte z Państwowego Archiwum Organizacji Społecznych Ukrainy (jedno z najciekawszych archiwów ukraińskich), Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, z obwodowych archiwów Lwowa i Kijowa, Rosyjskiego Centrum Przechowywania i Badania Dokumentów Historii Najnowszej. Pieczołowicie wymieniam nazwy archiwów, ponieważ jeszcze niedawno trudno było sobie wyobrazić, że materiały w nich zgromadzone ujrzą kiedyś światło dzienne. Ale po kolei...

Książka Kasjanowa to historia monumentalna naszych ukraińskich sąsiadów. Dane, które podaje Kasjanow odnośnie do skali represji powojennych na Ukrainie, jeżą włos na głowie nawet czytelnikowi obeznanemu z represjami stalinowskimi w Polsce. Bo jakże opanować przerażenie, kiedy autor, na podstawie archiwów, pisze o pięciu i pół milionach (!!!) Ukraińców represjonowanych po wojnie, z których zrehabilitowano na fali chruszczowowskiej odwilży zaledwie (!) dwa miliony sześćset osiemdziesiąt cztery tysiące osób (s. 15).

W takim kontekście historycznym narodziło się pokolenie szestydesiatników. Po czasie wielkiego terroru, wbrew

ciągle obowiązującemu socrealizmowi, pojawili się w Kijowie młodzi, niezwykle utalentowani twórcy. Na wzmiankę szczególnie zasługują spośród literatów Wasyl Symonenko, Lina Kostenko, Iwan Dracz, Mykoła Winhranowskiy, Wasyl Stus, Wołodimir Drozd, Jewhen Hucało, Walerij Szewczuk. Z krytyków literackich trzeba wymienić Iwana Dziubę i Jewhena Swerstiuka. Z malarzy Panasa Załywachę, Ałłę Horską czy Hałnę Sewruk. Kino ukraińskie, które przeżywało wówczas prawdziwy renesans, reprezentowane jest przez Serhija Paradzanowa, Jurija Ilienkę, Hryhorija Osykę. W życie teatralne wkracza Łeś Taniuk.

Początkowo, przynajmniej część z nich, nie widziała sprzeczności pomiędzy panującym systemem a możliwością autentycznej twórczości. Chruszczowowska liberalizacja dawała złudzenie możliwości odrodzenia kultury ukraińskiej w ramach struktur oficjalnych: czołowi szestydesiatnicy utworzyli na początku 1960 roku Klub Twórczej Młodzieży pod egidą kijowskiego komsomołu.

Działalność Klubu nawiązywała do tradycji pracy organicznej. Urządzano wieczory literacko-artystyczne i objazdy członków klubu po Ukrainie. Ale już jesienią 1962 roku członkowie Klubu stworzyli komisję, która miała zbadać plotki o masowych grobach w Bykowni koło Kijowa. Efektem pracy było memorandum, w którym autorzy domagali się postawienia pomnika ofiarom represji stalinowskich. W tym momencie władza uznała, że aktywiści Klubu przekroczyli dopuszczalne granice i w jakiś czas później Klub rozpędzono. Od końca 1964 roku szestydesiatnicy byli już pod stałą opieką KGB. Wielkim wstrząsem dla całego pokolenia lat sześćdziesiątych był pożar Centralnej Kijowskiej Biblioteki Naukowej, którego echem w samwydawie (ukraiński drugi obieg) był słynny i bardzo ważny artykuł „Z okazji procesu nad Pohrużalskim” (podpalacz biblioteki).

Na pierwszą falę aresztowań nie trzeba było długo czekać – nastąpiła ona na przełomie sierpnia i września 1965 roku. Dziwne to były aresztowania. Z czołowych szestydesiatników aresztowano tylko Iwana Switłychnego (którego wkrótce zwolniono), pozostałe ofiary represji były zdecydowanie mniej znane. Sporo było lwowiaków m.in. Mychajło Horyń, Bohdan Horyń, Iwan Hel, Mychajło Osadczy, Mychajło Kosiw.

Wydaje się, że władzy nie tyle chodziło o zaarrestowanie rzeczywistych animatorów odrodzenia ukraińskiego, co o zastraszenie najbardziej aktywnego środowiska kijowskiego. Bez powodzenia...

Pomimo zaostrożenia się cenzury (nagle przestano drukować Wasyla Symonenkę, film Ilienki „Krynycia dla sprahłych” poszedł na półki, pracę nad filmem „Kijowskie freski” Paradżanowa przerwano na etapie prób) i wyraźnego już „ochłodzenia” 22 maja 1967 roku, doszło pod pomnikiem Szewczenki w Kijowie do bezprecedensowej manifestacji patriotycznej.

W następnym roku całkiem „oficjalny” Ołes Honczar pisze powieść „Sobór”, która staje się punktem odniesienia dla Jewhena Swerstiuka w jego rozważaniach zawartych w tomie esejów pt. „Sobór w rusztowani”. W tym samym roku światło dzienne, poprzez samwydaw, ujrzała również praca Iwana Dziuby „Internacjonalizm czy rusyfikacja?” I niewątpliwie te prace stanowiły o nowej jakości ukraińskiego odrodzenia duchowego. Wszystkie świadczą o głębokiej trosce autorów o stan języka, kultury i tradycji ukraińskiej. Ale o ile Dziuba w „Internacjonalizmie...” chce jeszcze ulepszyć istniejący system na leninowską modłę to Swerstiuk w „Soborze...” system ten z pobódek moralnych i estetycznych odrzuca.

Odpowiedzią władz jest kolejna fala represji, która na Ukrainie zyskała miano „wielkiego pogromu”. Dziesiątki ludzi trafia do więzień. Ale w przeciwieństwie do aresztowanych w połowie lat 60-tych większość aresztowanych podczas „wielkiego pogromu” nie złożyła samokrytyki i jako przeciwnicy systemu trafiają do łagrów. Wyroki są bardzo wysokie: od pięciu do dziesięciu lat więzienia oraz trzy lata zesłania.

„Wielki pogrom” był cezurą w ukraińskich działaniach opozycyjnych także dlatego, że ukształtował właściwie kadrowe środowisko ukraińskich dysydentów. Kto pomyślnie zdał próbę 1972 roku (czas „wielkiego pogromu”) w późniejszych latach działał w opozycji. Kto wtedy się ugiął, rezygnował z dalszej działalności opozycyjnej. Najbardziej dramatycznym odejściem z szeregów opozycyjnych było odejście Iwana Dziuby, który zdecydował się złożyć samokrytykę.

Następnym etapem w działalności ukraińskich opozycjonistów było stworzenie 9 XI 1976 roku Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. Inicjatorzy Grupy (Ołes Berdnyk, Petro Hryhorenko, Iwan Kandyba, Łewko Łukianenko, Oksana Meszko, Myrosław Matusewycz, Myrosław Marynowycz, Ołeksia Tychyj, Nina Strokata-Karawańska, Mykoła Rudenko) podkreślając aspekt humanitarny swoich działań jednocześnie od samego początku podkreślali, iż nie może być mowy o przestrzeganiu praw człowieka tam gdzie łamie się prawa narodu do swobodnego rozwoju politycznego, kulturowego i gospodarczego.

Jak łatwo się domyśleć odpowiedzią władz na stworzenie Grupy Helsińskiej były rewizje, aresztowania i wyroki sądowe. W ostatniej fazie działalności Ukraińska Grupa Helsińska działała tylko w łagrach. Niemniej, w przeciwieństwie do rosyjskiej czy litewskiej nigdy nie zawiesiła swojej działalności.

Historia Ukrainy lat 60-tych do 80-tych według Kasjanowa to historia wydzierania przez inteligencję ukraińską małych kawałków wolności, a nade wszystko historia dawania świadectwa. Świadectwa przede wszystkim tego, że nie wszyscy ulegli tyranii państwa totalitarnego. Szestydesiatnicy dali świadectwo, że inteligencja ukraińska była w stanie oprzeć się dwóm podstawowym zagrożeniom płynącym ze strony tego państwa, tzn. nie dała się skorumpować – „upaństwowić” i zswietyzować.

Ale Kasjanow nie jest bezkrytycznym chwałcą opozycjonistów ukraińskich. Autor „Niezgodnych...” ma świadomość, że czas walki i dawania świadectwa nie może być nadzwyczaj płodny pod względem intelektualnym. Pisze Kasjanow: „Paradoksalnie, ale w latach 60-tych XX w. trzeba było powrócić do problemów, które nurtowały ukraińską inteligencję w 60-tych latach XIX w., na początku XX i w latach 20-tych naszego wieku: obrony języka ojczystego, kultury, ich popularyzacji, odnowienia historii narodowej, etnografii. Przyczyny takiego podejścia kryły się nie tylko w ograniczoności doświadczenia kulturowego i politycznego samych szestydesiatników (...). Spowodowane to było realną sytuacją w kulturze ukraińskiej, rusyfikatorską praktyką kierownictwa partyjnego i wzrastającą agresywnością zrusyfiko-



wanego „mieszczanstwa” (s. 18). Tak więc historia szestydesiatników dla Kasjanowa to historia pokolenia zmagającego się z totalitaryzmem a jednocześnie w swej walce uwięzionego w konieczności powtarzania wzorców zachowań stworzonych w zupełnie innej epoce historycznej. Ta konieczność stanowi o dodatkowym tragizmie biografii pokolenia szestydesiatników.

Z zupełnie innym podejściem do najnowszej historii Ukrainy spotykamy się w książce Łytwna „Polityczna arena Ukrainy”. Darmo by tu szukać słów: dyktatura, dysydenci, rusyfikacja, ograniczona suwerenność bądź, (o zgrozo!), zniewolenie. Łytwn traktuje Ukrainę lat 80-tych i 90-tych, jako jedno z wielu „normalnych” państw. No, może odrobinę specyficzną, bo jednak pojawia się jakieś „centrum”, które w pewnych momentach wywiera decydujący wpływ na to, co się dzieje na Ukrainie. Ale bez przesady. Dlatego dla Łytwna nie jest żadną przełomową datą ani powstanie Ruchu (pierwszej masowej organizacji antykomunistycznej na Ukrainie), ani pierwsze pluralistyczne wybory z marca 1990 roku. Ogłoszenie przez Ukrainę niepodległości w 1991 roku też nie skłania go do głębszej refleksji. Ot, jeszcze jedna manipulacja jakiejś koterii politycznej...

Właściwie wszyscy uczestnicy ukraińskiego życia politycznego są w „Politycznej scenie Ukrainy” pokazani jako ludzie ograniczeni, małostkowi, dbający nade wszystko o prywatę. Głównym ich problemem jest jak „dorwać się do koryta”, do władzy, a ta jak wiadomo służy zaspokajaniu najniższych instynktów. Pojęcia „dobro społeczne”, „interes społeczny”, „racja stanu” są w książce Łytwna nieobecne. Podczas lektury ma się wrażenie, że nie tylko w książce, ale również w myśleniu autora. Taką wizję polityki i polityków opatruje nasz autor pseudonaukowymi wywodami w rodzaju: „Prezydentów do przywództwa napędza i pragnienie zrealizowania swoich ambicji i pretensji, zazycie sławy i popularności. Nie jest wykluczone, że odgrywa tu pewną rolę pragnienie władania losami wielu milionów ludzi. Szereg politologów i socjologów uważa, że władza nie jest instrumentem dla czegoś, ale przede wszystkim to wartość sama w sobie” (s. 408).

Od zasady, którą przytoczyłem wyżej są właściwie dwa wyjątki. Z pewną sympatią i jakąś nostalgią pisze Łytwn o

Wołodmyrze Szczerbickim – jednym z ostatnich I Sekretarzy Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy. Szczerbicki, który powszechnie był uważany za jednego z najbardziej twardogłowych komunistów w Związku Sowieckim, w książce Łytwna przemienia się w męża stanu, który „niemało zrobił dla rozwoju Ukrainy, wzmocnienia jej potencjału gospodarczego i naukowo-technicznego” (s. 168).

Nawet zachowanie Szczerbickiego tuż po wybuchu w elektrowni atomowej w Czarnobylu (wbrew zdrowemu rozsądkowi urządzono manifestację 1-majową w Kijowie, kiedy promieniowanie tam ponad 100-krotnie przekraczało normalny poziom) nie budzi większych zastrzeżeń Łytwna. Raczej współczucie: „Nie budzi wątpliwości jedno – Czarnobyl – to osobista tragedia Szczerbickiego. Mógł zostać bohaterem narodowym, gdyby w tamtym czasie zajął stanowisko niezależne od centrum” (s. 177). Ale czytelnik próżno oczekiwałby refleksji nad tymże systemem i jego wpływie na ludzi mu powolnych.

Drugim bohaterem pozytywnym Łytwna jest obecny prezydent Ukrainy Leonid Kuczma. Ale wydaje się, że życzliwe potraktowanie jego postaci było wynikiem, delikatnie mówiąc, niechęci autora do Leonida Krawczuka, która przebija niemal z każdej strony tekstu. Celem moich rozważań nie jest obrona byłego prezydenta Ukrainy, niemniej trudno mi sobie wyobrazić obiektywną ocenę jego prezydentury, jeżeli nie weźmie się pod uwagę roli, jaką odegrał w uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości, czego nasz autor nie zrobił i chyba zrobić nie zamierzał.

Następnym denerwującym elementem pracy Łytwna jest jego skłonność do łatwych uogólnień. Łytwn nie ma wątpliwości, ma pewność i spieszy się podzielić swoją pewnością z czytelnikiem. Tak się też dziwnie składa, że najwięcej swoich miazdzących sądów funduje pod adresem demokratów czy narodowych demokratów. Dlatego, po pewnym czasie czytelnika przestają dziwić sądy w rodzaju: „Chęć odwetu – to w ogóle najsilniejsza broń narodowych demokratów (...). Troska o własny interes zagłusza im instynkt zachowania narodu i spokoju społecznego” (s. 365).

A że Łytwnowi narodowi demokraci kojarzą się z inteligencją, to i jej jako całości się obrywa: „Parafrazując N.

Bierdiajewa można powiedzieć, że historia inteligencji ukraińskiej – to historia kompletnego samozniszczenia. (...) Pierwsze doświadczenia zmian demokratycznych na Ukrainie i w innych republikach postsowieckich pokazały, że inteligencja przy władzy jest o wiele gorsza od tych, których zamieniła” (s. 353). Jednym słowem: chwała robotniczo-chłopskiemu państwu – nie było ono takie złe.

Podobnych sądów można by przytaczać jeszcze więcej. Ale nie jest to najbardziej zajmujące zajęcie. W czasie lektury nasuwa się refleksja, że sposób opisu rzeczywistości, który prezentuje Łytwyn przypomina rodzime dziennikarstwo.

Niemniej książka Łytwyna nie jest pozbawiona walorów. Oprócz już wymienionych źródeł archiwalnych, paradoksalnie, kolejnym jest krytykowany przez mnie sposób myślenia autora „Politycznej sceny Ukrainy”. Albowiem na tę książkę można patrzeć również jak na świadectwo spustoszenia intelektualnego, które jest dziedzictwem kilkudziesięcioletniej sowietyzacji Ukrainy. Niestety uprawnione jest domniemanie, że w podobny sposób rozumuje znacząca część rodaków pana Łytwyna.

Warszawa, 12.09.1995 r.

*Bogumiła BERDYCHOWSKA*

## Życie na pograniczu

Pojęcie pogranicza jest wieloznaczne – najogólniej rzecz biorąc, można przez nie rozumieć obszar styku dwóch lub więcej obszarów: geograficznych, państwowych, wreszcie kulturowych. Tak na przykład na obszarach pogranicza znaleźli się młodzi wówczas twórcy londyńskiej grupy „Kontynenty”, poruszający się jednocześnie w dwóch przestrzeniach językowych: angielskiej i polskiej. Człowiekiem pogranicza – i to wielokrotnego – był bez wątpienia Konstanty Jeleński, który, pisząc o swej „czwórjęzyczności”, poczynił istotną uwagę: „Języki literackie ‘pisarza poliglota’ są jak naczynie

połączone: postępy w jednym płaci się regresją w drugim”. Jednakże nie ulega wątpliwości, że taka dwu- lub wielojęzyczność pozwala nie tylko poruszać się swobodnie po obszarach różnych kultur, lecz nadto ułatwia ich kojarzenie, czasami nawet prowadzi do ich osmozy. Trudno przecenić znaczenie wielojęzyczności polskich pisarzy końca XIX stulecia: impulsy twórcze były tu tyleż efektem dynamiki wyobraźni własnej, co zdolności wprowadzania – i zarazem reinterpretacji – w przestrzeń własnej kultury „innych światów” kultur poznawanych w oryginale. Że daje to czasem niezwykle osiągnięcia, zaświadcza twórczość Conrada, który doskonałość pisarską osiągnął w czwartym – po polskim, rosyjskim i francuskim – języku swego życia. Pewne jest jedno: na stykach językowych światów następuje często (choć, oczywiście, nie zawsze) wzrost zdolności kreacyjnych.

Wspominam o tym w związku z obecnymi zmianami w kulturze polskiej. Już choćby sam fakt, iż kilka głośnych w ostatnich latach debiutów – Nataszy Goerke, Izabeli Filipiak, Janusza Rudnickiego – to utwory pisarzy żyjących poza krajem, wydaje się interesujący. W latach osiemdziesiątych zresztą swą przestrzeń życiową poza Polską odnalazło wielu twórców, nie tylko pisarzy – by przywołać choćby Andrzeja Worona z Berlina, którego teatr należy do najciekawszych zjawisk dramaturgii niemieckiej. W wielu krajach świata żyją dziesiątki, jeśli nie setki polskich artystów i naukowców. Jedni wrastają w świat kultury kraju osiedlenia i niemal zupełnie zrywają kontakty z Polską, inni żyją właśnie w przestrzeni pogranicza. Wraz z zakończeniem misji emigracji politycznej, zmienił się status Polaków żyjących poza granicami kraju – znamienne jest tu wyznanie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który wprost powiedział, iż z emigranta politycznego przeobraził się w polskiego pisarza mieszkającego za granicą.

Takich ludzi jest wielu. Dla różnych przyczyn zdecydowali się nadal – po zmianach politycznych – żyć poza Polską: wrosli w kraj osiedlenia, nie chcą zmieniać sytuacji swoich dzieci, nie mają po prostu ochoty na kolejną przeprowadzkę – przyczyn jest wiele, najistotniejsze jednak wydaje się to, iż nie mają one w tej chwili uzasadnień politycznych, związane są przede wszystkim z osobistymi wyborami życiowymi. Zarazem też, gdy chodzi o społeczny status emigracji lat osiemdziesiątych, tej najmłodszej, w ciągu ostatnich dziesięciu lat uległ on zasadniczej zmianie. Przede wszystkim – poprawiła się ich sytuacja i, co nie zawsze lecz często za

tym idzie, zwiększyły potrzeby kulturalne. Efektem tego stanu rzeczy jest interesujący ruch czasopiśmienniczy – dawna prasa emigracyjna zastępowana jest obecnie przez nowe pisma kulturalne. Tak dzieje się w Stanach Zjednoczonych, gdzie przez pewien czas w Chicago wydawano pismo literackie *Dwa końce języka* prezentujące głównie poezję grupy twórców o nazwie „Niezapłacony Rent”, a obecnie publikowany jest kwartalnik *2B* – periodyk dwujęzyczny, dokumentujący zjawisko funkcjonowania jednocześnie w obszarach kulturowych Polski i USA.

Podobnie dzieje się w Niemczech. Od pewnego czasu ukazują się w Hamburgu pismo literackie *B-I*, w Monachium powstał redagowany przez byłych pracowników sekcji polskiej RWE *Tygodnik Emigracyjny*, wreszcie w Berlinie wydawane są trzy pisma – powstały jeszcze w latach osiemdziesiątych kwartalnik *Słowo*, pismo *Kolano* o ambicjach literackich, wreszcie półrocznik *Wir. Słowo* mające już w dorobku 30 numerów – redagowane przez Andrzeja Szulczyńskiego, wcześniej także współredaktora wydawanego w Berlinie Zachodnim kwartalnika literackiego *Archipelag* – od lat działa na styku kultur polskiej i niemieckiej, analizuje wzajemne stosunki między oboma państwami, roztrząsa zagadnienia przeszłości – nakładem pisma ukazały się wspomnienia Marion Graefin Doenhoff o Prusach Wschodnich, ukazują się tu też tłumaczenia literatury niemieckiej. *Kolano* – opatrzone podtytułem „Pismo Literacko-Niekulturalne” (niemal obowiązkowy w pismach „młodych” element prowokacji: przypomnieć w tym kontekście warto stały dział podziemnego *Pulsu* zatytułowany „Przegląd kulturalny i niekulturalny”) – przynosi w artykule wstępnym następujące spostrzeżenia: „Dziś, po piętnastu latach, obraz społeczności polskiej w Berlinie przypomina nieswieży bigos podawany w podrzędnej knajpie kolejowej: śmierdzi i jest niestrawny. Jesteśmy zatimizowani, niezdolni do podjęcia wspólnej działalności w obronie naszych interesów. (...) Uciekamy w prywatność i konsumpcję nie zdając sobie sprawy, że jako nacja nie stanowimy poważnego partnera ani dla władz niemieckich, ani dla sąsiadów za drzwiami, ani dla innych mniejszości”. Tekst kończy wezwanie do „samoorganizacji, wzajemnej solidarności, umiejętnego sformułowania własnych interesów”. Szkoda tylko, że w piśmie pojawiają się wypowiedzi nasiąknięte jakimś kompleksem niższości wobec kultury niemieckiej, ale to sprawa osobna. W podobnym

kierunku – sformułowania własnych interesów, tworzenia polskich grup wpływów – zmierza publicystyka *Tygodnika Emigracyjnego*.

Na tym tle wyraźnie inny charakter ma redagowany przez Ewę Śląską *Wir*, pismo dwujęzyczne, w którym zagadnienia polityczne – podobnie zresztą jak w chicagowskim *2B* – stanowią dość dalekie tło podejmowanych poszukiwań. Ważniejsze są relacje między dwiema kulturami, istotna staje się konieczność godzenia w swych poszukiwaniach polskość z czymś wobec niej zewnętrznym, splot doświadczeń, z których jedno jest „własnym”, drugie – „nabytym”. Tu właśnie, na styku, pojawiać się zaczynają pytania o tożsamość i ciągłość. Właśnie tym zagadnieniem poświęcony został pierwszy numer *Wir-u*.

Pismo powstało jako organ utworzonej w 1994 roku polsko-niemieckiej grupy literackiej w Berlinie. We wprowadzeniu do numeru pierwszego (marzec 1985) pisze Ewa Maria Śląska: „Grupa literacka ‘Wir’ skupia autorki i autorów polskich i niemieckich. Znalezli się tu więc zarówno Polacy jak i Niemcy, zwłaszcza ci, którzy po drugiej wojnie światowej pozostali w Polsce bądź opuścili ją dopiero później. Przypadek i historia sprawiły, że te różnice objawiły się na łamach *Wir-u* również jako różnice pokoleniowe. Retrospektywne spojrzenie w głąb historii współczesnej, tak charakterystyczne dla prezentowanych tu tekstów starszego pokolenia, jest też spojrzeniem tych, którzy po wojnie jako Niemcy skonfrontowani zostali z politycznym wymiarem polskość. Z kolei w młodym pokoleniu dochodzą do głosu przede wszystkim autorki i autorzy polscy, po-’Solidarnościowi’ emigranci, których łączy status cudzoziemca w Niemczech. *Wir* usadowił się więc w centrum historycznych zawirowań. Dzięki temu udało się nam pochwycić zewnętrzną niejako, ujętą z dystansu projekcją Polski, a jednocześnie zintensyfikowaną przez bezpośrednie doświadczenie obraz Niemiec”. Wspólnymi tematami pierwszego zeszytu są problemy „dwujęzyczności” oraz „podwójnej tożsamości”. Przynosi on m.in. teksty Britty Wuttke, autorki doskonale dwujęzycznej, debiutującej jeszcze w Polsce powieścią – żywo komentowaną przez krytykę – „Homunculus z tryptyku” (1977), Śląskiej – autorki dwóch powieści: „Poematu z ametystem” i „Dochożenia”, Ursuli Hoentisch – autorki głośnej swego czasu w NRD powieści „My, dzieci uciekinierów”, Renaty Schumann, Henryka Bereski – jednego z najwybitniejszych tłuma-

czy literatury polskiej, Marii Aniśkiewicz, Agnieszki Rudniańskiej i Iwony Mickiewicz.

Zeszyt drugi (listopad 1995) poświęcony jest „poetkom z ciemności”. We wprowadzeniu czytamy: „O poetach Powstania Warszawskiego napisał Stanisław Stabro, że z rodu Anhellich są i wyliczył sześciu mężczyzn i jedną zaledwie kobietę. Tragiczni i utalentowani mężczyźni wywodzą swój ród od Anhellego, romantycznego samotnika zbawiającego świat samym swym anielskim istnieniem. Ród Anhellego w niebie bierze swój początek, ród kobiet z ciemności i mroku. (...) ‘Z ciemności pochodzę, ja, kobieta’ napisała Kolmar i miała na myśli zarówno udrękę kobiecości, mroczną tajemnicę macierzyństwa, ciemne tajemnice pożądań, których tak się lękają mężczyźni, jak i własne doświadczenie poetyckiego odkrywania nie istniejących światów, uporczywej walki genialnego natchnienia z nocną pomroką”. Cytuję te słowa, gdyż dobrze charakteryzują zarówno klimat całego numeru i intencje redaktorki, jednej z najbardziej aktywnych polskich działaczek feministycznych. Uderza przede wszystkim patos samego wstępu i wielu tekstów, zwłaszcza komentujących twórczość prezentowanych poetek polskich i niemieckich – Gertrud Kolmar, Maschy Kaleko, Else Lasker-Schueler (nie tak całkiem zapomnianej, skoro w 1994 roku ukazał się obszerny wybór jej wierszy w tłumaczeniu Eugeniusza Wachowiaka), Edith Stein, Eleonory Kalkowskiej, Haliny Birenbaum, Henryki Łazowerówny, Krystyny Krahelskiej, Zuzanny Ginczanki, Grażyny Chrostowskiej, Giny Gieysztor, Leoni Jabłonkówny i Ireny Bobowskiej. Ten numer *Wir-u* jest z pewnością bardzo interesujący dla historyka literatury, jest też próbą skonstruowania konstelacji „odmiennych głosów” poezji kobiecej. Jak dalece udaną, trudno przesądzać – w każdym razie jest to dążenie do postawienia problemu. Oczywiście – wybór prezentowanych autorek nie jest z pewnością wyczerpujący: z pewnością w tym właśnie kontekście warto by przypomnieć mniej u nas znaną Rose Auslaender, także Nelly Sachs czy, spośród autorek polskich, choćby Annę Świrszczyńską. To nie zarzut: wydaje się jednak, że warto ten wątek kontynuować także w następnych numerach pisma, konsekwentnie go rozbudowywać. Tym bardziej, że zdaje się on dla redakcji ważny.

Kolejny numer *Wir-u* zapowiadany jest na wiosnę 1996 roku. Ma być poświęcony problemom literatury NRD i PRL, także ich wzajemnym relacjom. Nie ulega wątpliwości, że ten

półrocznik stanowi jedną z najcenniejszych inicjatyw kulturalnych, podejmowanych w ciągu ostatnich lat przez polskie środowiska poza krajem. Jest też dobrą ilustracją potencjału intelektualnego, jakim dysponują te żyjące poza Polską skupiska dawnych emigrantów politycznych. W nowej sytuacji nie tylko odnajdują nowe zadania, lecz także – jak w tym wypadku – budują rzeczywisty dialog kulturowy. Osobiście uważam, że tego rodzaju inicjatywy zasługują nie tylko na zainteresowanie i życzliwą uwagę, lecz także – jeśli to niezbędne dla ich rozwoju – na konkretną pomoc kraju: to nie są co prawda inicjatywy polityczne, lecz ich znaczenia nie sposób przecenić. Inwestowanie w tego typu projekty – konkretne i przynoszące wymierne efekty – jest inwestowaniem w przyszłość.

Leszek SZARUGA

## Bezpośredniość

Obie książeczki, o których tu będzie mowa\* przysłyły pocztą prawie równocześnie i jest w tym może coś symbolicznego, gdyż reprezentują dwa gatunki bardzo obecnie rozpowszechnione, a które mnie się już bardzo serdecznie znudziły: tomik poezji (Bieszk) i zbiór recenzji, artykułów, wrażeń z podróży i innych niewyraźnych form doraźnych (Sommer). Chcę jednak napisać o nich nie przez masochizm, a z tej przyczyny, że po pobieżnym przejrzeniu (stary nawyk) przeczytałem je uważniej i uznałem, że zasługują na omówienie. Rzecz w tym, że obie te pozycje są właśnie niereprezentatywne dla gatunków, do których formalnie należą, czyli wiersze składające się na (*nota bene* bardzo ładną

\* Adam Bieszk, „Żegnanie”, Fundacja Literacka TIKKUN, Warszawa 1995, 45 str., ISBN 83-85683-14-3;

Piotr Sommer, „Smak detalu i inne ogólniki”, Stowarzyszenie Literackie ‘Kresy’, Lublin 1995, 147 str., ISBN 83-900667-7-7.

graficznie) książeczkę „Żegnanie” są zaskakująco mało „poetyckie” w uprzykrzonym sensie *sacrum rhetoricum*, zaś szkice Sommera rzeczowo (choć może zbyt ostentacyjnie drwiąco) przetrzepują różne współczesne formy teatryku literackiego, poczynając od „wielkiej paraboli”, a kończąc na luźnych (także myślowo) wypowiedziach Uznanych Autorytetów.

Wiersze Adama Bieszka są liryką miłosną, a ściślej: lirycznym refleksem bólu zawiedzionej „późnej miłości”, jak to formułuje tytuł najlepszego chyba w zbioru (i dedykowanego Wisławie Szymborskiej) utworu. Ponieważ charakterystyka taka brzmi odstrasza – *gros „liryki miłosnej”* to płaskie lub/i pretensjonalne kicz – chcę przytoczyć z tej wypowiedzi kilka fragmentów dla unaocznienia jej dobrej jakości. *Późna miłość / jest inna. / Odrzucona / rozumie, że nie mogło być inaczej. / Nie myśli o samobójstwie, / (no bo kto zapłaci rachunek za gaz?) / Cierpiąc / wie, że to nie potrwa do końca życia, / najwyżej kilka miesięcy, a może nawet krócej. / [...] Potrafi więc spokojnie porozumieć się z rozsądkiem, / lecz tylko ona wie za jaką cenę. / I zna odpowiedzi na wszystkie pytania / prócz tego jednego: czy jej ofierze starczy jeszcze sił, / by ją przeżyć.*

Słowo „wypowiedź” lepiej oddaje ton tekstów Bieszka, niż termin „wiersze” implikujący, że oto poeta „śpiewa” a czytelnik winien chłonąć w zachwyceniu. W tym wypadku jest inaczej: czytelnik ma wrażenie, że jego czytelnicza osoba i ocena są dla autora nieistotne, że stara się on tylko uporządkować własne doznania po prywatnej katastrofie, a jedynym liczącym się adresatem byłaby owa kobieta, która odeszła. „Jest tylko Beatrycze – i właśnie jej nie ma”. Istnieje w chemii pojęcie spalania bezpłomieniowego i przyszło mi do głowy w trakcie lektury tych rzeczywiście przejmujących tekstów jako stosowny odpowiednik wyrażonego w nich przeżycia, które jest niewątpliwie autentyczne (wskazuje na to też data powstania całości: marzec-czerwiec; jeśli przez trzy miesiące pisze się wyłącznie o bólu to znaczy, że naprawdę boli). Autentyczność nie jest oczywiście żadnym kryterium estetycznym (por. Irzykowskiego: „może on nawet płakał pisząc, ale co z tego?!”) Chcę więc dodać, że główną wartością „Żegnania” wydaje mi się suwerenna bezpośredniość z jaką autor – człowiek niewątpliwie nie młody i nie naiwny – wypowiada słowa, o których wie, iż znajdują się w niebezpiecznej strefie granicznej pomiędzy powagą a melodramatem, a ich jedynym glejtem jest fakt, że nie są puste. Tutaj

glejt ten okazuje się wystarczający, choć łatwiej to pokazać, niż opisać. Więc jeszcze jeden cytat: *Dwadzieścia lat / z niedobrowolnych wyrzeczeń / budowałem w trudzie / twierdząc samotności, / nim wreszcie / poczułem się w niej u siebie. / Dziewięć lutowych dni / wystarczyło tobie, by zostały z niej / zgliszcza, / I nie mam teraz gdzie żyć.*

Późna miłość – ironicznie zwana *démon du midi* – jest jak wietrzna ospa czy świnka nabyte w dojrzałym wieku: nie tylko ma cięższy przebieg niż powinna, ale otacza ją też aura „niestosowności”, toteż poezja od Horacego (*Carmina* I, 25) po Gałczyńskiego („Piosenki naczelnika wydziału grobownictwa”) raczej ją wykipiwa niż gloryfikuje. Tomik Adama Bieszka jest oryginalny przez to, że oddaje bez żenady i bez mazgajstwa rzeczywistą demoniczność tego fenomenu.

Piotr Sommer (ur. 1948) jest poetą, tłumaczem poezji angielskiej i krytykiem. Omawiana tu książka reprezentuje głównie jego działalność krytyczną z okresu mniej więcej dziesięciu ostatnich lat. Dwadzieścia szkiców składających się na nią to przeważnie szkice dotyczące określonych książek i pisarzy polskich, ale przy okazji poruszają one szersze zagadnienia leżące autorowi na sercu, m.in. kwestię dokładności tłumaczeń i poprawności językowej (nie tylko w wąskim sensie gramatycznym). Jak już wspominałem, dużo tu też drwiny z czy to zbyt powierzchownych, czy to zbyt zaskorupałych opinii i „postaw” literackich lwów (Miłosz, Herbert) i innych zwierząt heraldycznych tej domeny („pokolenie ‘68”, Ryszard Kapuściński, Andrzej Szczypiorski). Książka jest wyrazem chwalebnej tendencji do „debalonizacji” zarówno życia jak i stylu literackiego w Polsce – mistrzem Sommera w tej dziedzinie jest Miron Białoszewski – i choćby z tej racji winna wzbudzić zainteresowanie. Zawartość pojęcia debalonizacji (*my copyright*) w dziedzinie poezji niech określi następujący cytat z zamykającego książkę tematu pt. „Mówienie na zamówienie” (str. 142):

„Różnica [między poezją postulowaną przez autora a (jego zdaniem) dętą] zawiera się w postawie wobec języka, ale nie tylko języka. Również w odpowiedzi na pytanie, czy się chce pokazywać wszem i wobec, że się właśnie zniosło swoje poetyckie jajo – gładkie, obmyte, podlakierowane rymem, zaokrąglone wyższym niżby człowiek zazwyczaj sobie życzył tonem – czy też raczej się tym czytelnika nie epatuje. Nie

mówi mu się każdą sylabą: słuchaj no chłopie, to się jak sam widzisz nazywa utwór poetycki i ja go właśnie dla ciebie, uważasz, pięknie tu wyrzyczowałem”.

Ilustrując kryterium Sommera omówioną powyżej książeczką Adama Bieszka można powiedzieć, że to właśnie bezpretensjonalność ocala ją przed umieszczeniem w koszyku z nabiałem.

M. BROŃSKI

## DO czy OD demokracji?

Wbrew swemu tytułowi, książka Marka Beylina: „Dziennik kampanii wyborczej, Kłapa '95”<sup>\*</sup> nie jest relacją politycznych potyczek i zakulisowych gier, tak częstych w okresie przedwyborczym, lecz opisem i komentarzem codziennych wydarzeń między 11 października 1994 a 19 listopada 1995 roku. W tym sensie, zajmuje się również toczącą się kampanią wyborczą. Beylin opiera się na wiadomościach wszystkim dostępnym: po prostu uważnie czytał gazety, głównie *Gazetę Wyborczą* i *Rzeczpospolitą* oraz oglądał telewizję. Szkoda, że nie sięgnął od czasu do czasu po *Trybunę*, by skonfrontować omawiane fakty z ocenami przeciwnego sobie obozu politycznego.

W centrum zainteresowania autora jest sposób budowania demokratycznego państwa, może nawet bardziej demokracji niż państwowości. Tropi więc starannie te wszystkie sprawy, których rozwiązywanie było sprzeczne z regułami demokracji lub, których pojawienie mogło jej zagrażać. Beylin wywodzi się z ruchu korowskiego, był m.in. przez kilka lat członkiem redakcji podziemnej *Krytyki*; podkreślam ten fakt, gdyż jest on rzadkim przykładem politycznego publicysty, który nie stosuje rozpowszechnionej dziś w Polsce zasady Kalego: wszystko, co robię ja lub obóz, do którego należę jest cacy, cacy, natomiast przeciwnicy są: głupi, perfidni, moralnie zdyskwalifikowani i sprzedajni. Beylin nie waha się przypomnieć przyjaciółom z Unii Wolności błędów przez nich popełnionych podczas ich rządów oraz wytknąć im nielojalności

<sup>\*</sup> Marek Beylin: „Dziennik kampanii wyborczej, Kłapa '95”, Wydawnictwo „Flok” Warszawa, 1995, s. 297.

wobec Jacka Kuronia, którego jest zwolennikiem.

Czytając jego zapiski i komentarze, nawet przy uwzględnieniu faktu, że Beylin zwraca uwagę przede wszystkim na zjawiska społecznie naganne; nie można się opędnąć od myśli, że do demokracji w stylu zachodnim droga w Polsce daleka. I żadnym pocieszeniem nie jest, że u innych, w tym niektórych naszych sąsiadów, jest jeszcze gorzej. Rzecz nie polega tylko na tym, że narusza się reguły gry demokratycznej, w czym Belweder Wałęsy przodował, lecz że podnoszą się głosy i to płynące z miarodajnych kół politycznych, traktujące demokrację instrumentalnie np. jako środek do zbudowania wolnego rynku bądź negujące jej zasady w imię skuteczności politycznej i obrony fundamentalnych wartości. Bohaterem tych kół jest Pinochet, przedstawiany bez mała jako zbawiciel Chile. Na tym tle, jak słusznie zauważa Beylin, pojawiają się koncepcje ustanowienia w Polsce silnej władzy prezydenckiej, z L. Wałęsą jako mężem opatrnościowym.

Kronika, daleka od politologicznej nudy, jest więc lekturą pouczającą, zwłaszcza teraz, gdy obóz zwycięski niekiedy zachowuje się tak, jakby zyskał poparcie 99% obywateli, pokonani natomiast przedstawiają się jako moralni zwycięzcy (to już po raz drugi są moralnymi zwycięzcami!) szkalując i łącząc przy okazji Polaków głosujących na A. Kwaśniewskiego.

Kronika jest pouczająca, gdyż demaskuje kilka polskich mitów: jedności obozu solidarnościowego; rozwagi politycznej i umiarkowania; bezwarunkowego odrzucenia przeszłości komunistycznej przez zdecydowaną większość Polaków. Tym czasem były obóz solidarnościowy jest pod każdym względem głęboko podzielony. Beylin zadaje pytanie, co może łączyć Wrzodaka z Olechowskim nie mówiąc już o Mazowieckim – nic, odpowiada, chyba tylko doraźne gierki polityczne. I odnotowuje z pewnym zażenowaniem, jak niedawni krytycy Wałęsy przyłączyli się do niego po pierwszej turze, bez żadnego wahania włączając się w chór apologetów. Poza podziałami politycznymi dochodzą jeszcze ambicje osobiste, których okazałą sceną stał się Konwent Św. Katarzyny. W tym wyścigu do władzy (w dodatku bez żadnej możliwości jej zdobycia) zapomina się o wielu pryncypiach, których heroldami było się do niedawna, odrzucając przy tym kompromis jako rodzaj politycznej ułomności. Beylin niejednokrotnie odnotowuje wyniki sondaży opinii politycznych, często zaskakujących wynikami, tak różniącymi się od prasowych komentarzy. Wynika z nich jednocześnie, że dla znacznej większości dorosłych Polaków przeszłość nie jest ciemną dziurą ani okresem do jednomyślnego potępienia. Niezwykle wysokie

notowania generała Jaruzelskiego wiele powinny dawać do myślenia solidarnościowej klasie politycznej, ale jakoś nie dają. Łatwiej bredzić o wpływie niebieskiego koloru na zwycięstwo Kwaśniewskiego niż cofnąć się do czerwca 1989 roku i odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego 5 milionów Polaków oddało głos na M. Rakowskiego.

Czytając tę ponad roczną kronikę czytelnik zdaje sobie nagle sprawę, że podczas kampanii nikt nie spowodował narodowej dyskusji wokół żywotnych problemów obchodzących Polaków. Gazety były pełne polemik, politycznych haseł i pomówień, rzucane były oskarżenia i obelgi, ale dyskusji nie było. Każdy obóz polityczny zachowywał się tak, jakby był jedynym dysponentem koncepcji na pomyślność rozwoju Polski. Nawet Kuroń, broniony przez Beylina, nie narzucił się z żadnym tematem. Zgłaszane przez niego projekty grzeszyły zbytnią technicznością nie mającą nic wspólnego z programem trafiającym do wyobraźni społecznej. Jeszcze jedna stracona okazja do zbiorowych rozmyślań nad wspólnym, koniec końców, losem.

Bohaterami kroniki Beylina są politycy. Wypadają źle. To, co uderza czytelnika, to upowszechnienie się kłamstwa jako metody politycznej. Przy czym kłamią jak małe dzieci, którym do głowy nie przychodzi myśl, że łatwo sprawdzić ich wersję. Tak np. zachowują się posłowie (SLD przoduje), gdy twierdzą, że nie głosowali za jakąś ustawą, podczas gdy głosowali lub odwrotnie. Mijał się z prawdą A. Kwaśniewski w słynnej już sprawie swojego magisterium i mijał się z prawdą L. Wałęsa, który wieczorem mówił co innego niż rano i który z reguły „szedł na zapartego” i wmawiał wszystkim, że nic takiego nie powiedział co wszyscy usłyszeli, że nie dosłyszeli, że wszyscy przekręcają jego myśli (co skądinąd nie było takie trudne) itd.

Kłamstwa, podejrzenia rzucane ot tak sobie, insynuacje (oskarżenia o ukrywanie pochodzenia żydowskiego), wypieranie się rzeczy oczywistych, stały się jak gdyby drugą naturą klasy politycznej. W tej zagęszczonej atmosferze narastającej nienawiści, zwłaszcza po pierwszej turze, wygrywa A. Kwaśniewski. W kronice Beylina wyczuwa się niecierpliwość i znużenie irracjonalności gry politycznej, stracił swój początkowy spokój i dystans wobec opisywanych wydarzeń. Należał do tych 2% Polaków, którzy w drugiej turze wyborów nie oddali głosu na żadnego z kandydatów. W tym pozostał wierny samemu sobie. Odrzucając podział Polaków na dwa wrogie obozy, Beylin należy do znikomej mniejszości Polaków i niewykluczone, że długo w niej pozostanie.

Grażyna POMIAN

## Nadane nowe wydawnicze

- Ogień niestrzeżony.* Pracownie malarzy polskich XIX i początku XX wieku. Część II. Katalog. Str. 107 i 1 nlb. (Wyd. Muzeum Sztuki w Łodzi, 1995).
- KARPOWICZ (Michał), FILIPIAK (Mirosław). *Elita jazdy polskiej.* Str. 236. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Volumen, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1995).
- GNAT-WIETESKA (Zbigniew). *1 Pułk Strzelców Konnych 1806-1994.* Str. 240. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Volumen, Wydawnictwo Bellona).
- Grafika wenecka XVIII wieku ze zbiorów polskich.* Galeria „Księży Młyn” – oddział Muzeum Sztuki w Łodzi, 7 marca-17 kwietnia 1995. Katalog. Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Muzeum Sztuki w Łodzi, 1995.)
- Douglas Davies. *Redness.* Katalog. Str. 58 i 2 nlb. (Wyd. Muzeum Sztuki w Łodzi, 1995.)
- VELDTRUP (Dieter). *Prosopographische Studien zur Geschichte Oppelns als Herzoglicher Residenzstadt im Mittelalter.* Str. 541 i 1 nlb. (Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1995.)
- SIEKIERSKI (Maciej), LAZARSKI (Christopher). *Guide to the Polish Independent Publications, 1976-1990, in the Hoover Institution Archives.* Str. 501. (Wyd. Hoover Institution Stanford University, 1995).
- ŁOJEK (Jerzy). *Dzieje pięknej Bitynki.* Opowieść o życiu Zofii Witkowej-Potockiej (1760-1822). Str. 443 i 5 nlb. Fotografie. (Wyd. ALFA, Warszawa 1995).
- Kultura i sztuka w Gliwicach.* Informator. Str. 48. (Wyd. Miejski Ośrodek Kultury, Gliwice 1995.)
- NOWARA (Lesław). *Świat według Ludka.* Str. 69 i 5 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 1995.)
- ŻURAKOWSKI (Stanisław). *Ot, bajki... nie bajki.* Str. 95. Londyn 1995.
- MICIŃSKI (Bolesław), STEMPOWSKI (Jerzy). *Listy.* Oprac. A. Micińska, J. Klejnocki, A. St. Kowalczyk. Str. 348. (Wyd. LNB. Warszawa 1995.)
- GIBAS (Jarosław). *Gniazda aniołów.* Str. 139 i 5 nlb. (Wyd. MARABUT, Gdańsk 1995).
- CHWIN (Stefan). *Hanemann.* Str. 202. Biblioteka „Tytuł”. (Wyd. MARABUT, Gdańsk 1995).
- KURON (Jacek), ŻAKOWSKI (Jacek). *PRL dla początkujących.* Str. 348 i 4 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995).
- BATOWSKI (Henryk). *Zachód wobec granic Polski 1920-1940.* Niektóre fakty mniej znane. Str. 234 i 2 nlb. (Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1995).
- DOWGIAŁŁO (Jan), SARNER (Harvey). *From Science to Diplomacy.* A Pole's Experience in Israel. Str. 80. (Wyd. Brunswick Press, Cathedral City, USA, 1995).
- KOPŁOWICZ (Abramek). *Poèmes et tableaux scénique d'un poète de treize ans.* (Litzmannstadt-ghetto, 1943). Tłumaczenie z polskiego Irene Kanfer. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Editions Saint-Germain-Des-Pres, Paryż 1995).
- KANDEL (Felix). *Regard sur des adieux prolongés.* Tłumaczenie z rosyjskiego Maya Minoustchine. Str. 282. (Editions Noir sur Blanc, Paryż 1995).

## POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

10.12.95

Niemieckie radio „Deutschland Radio” oraz Instytut Goethego przyznały doroczną nagrodę Mme de Staël *Tygodnikowi Powszechnemu* oraz jego redaktorowi Jerzemu Turowiczowi. Nagroda ta jest przyznawana corocznie za wybitne osiągnięcia publicystyczne zagranicznemu dziennikarzowi lub czasopismu spoza obszaru niemieckojęzycznego, dotycząca aspektów polityczno-duchowego życia dzisiejszych Niemiec. Nagroda wynosi 10 tysięcy marek. Do nagrody jest dołączona dodatkowa nagroda w wysokości 5 tysięcy marek dla wskazanego przez redakcję *Tygodnika Powszechnego* publicyści zajmującego się problematyką niemiecką. Nagrodę tę otrzymał Wojciech Pięciak.

29.12.95

Rada Miasta Przasnysza podjęła uchwałę o nadaniu jednej z nowo powstałych ulic imienia Stefana Kisielewskiego.

14.1.96

Zmarł w Warszawie w wieku 88 lat Stanisław Łukasiewicz, dziennikarz, literat i nauczyciel. Autor m.in. głośnych książek „Nauczyciele”, „Byłem sekretarzem Bieruta”.

15.1.96

Jury Nagrody Publicystycznej im. Adolfa Bocheńskiego przyznało nagrodę za rok 1995 Panu Aleksandrowi Małachowskiemu za całokształt pracy publicystycznej. Jury wzięło również pod uwagę programy jakie prowadził Pan Małachowski w radiu i telewizji. Dodatkowo Jury przyznało dwie nagrody specjalne. Otrzymali je: reżyser Ludomir Motylski za film o Adolfie Bocheńskim, oraz Pan Stanisław Rostworowski (Oficyna Wydawnicza „Nałęcz”) za wznowienie przedwojennej książki Adolfa Bocheńskiego „Między Niemcami a Rosją”.

23.1.96

W Cieszynie odbyło się spotkanie posłów Sejmowej Komisji Łączności z Polakami Za Granicą z reprezentantami mniejszości polskiej z Zaolzia. Poruszono przede wszystkim sprawę szkolnictwa oraz czeskiej ordynacji wyborczej, która praktycznie eliminuje mniejszość polską w wyborach parlamentarnych. Komisja postanowiła zaprosić ministra Spraw Zagranicznych, Dariusza Rosatiego, dla przedyskutowania problemów.

24.1.96

Prezydent Borys Jelcyn odwołał Rudolfa Pichoję ze stanowiska

szefa Państwowej Służby Archiwalnej Rosji. Pichoja, w czasie swego urzędowania, opublikował szereg dokumentów dotyczących stosunków polsko-sowieckich, m.in. dokumenty o Katyniu, niektóre tajne protokoły Biura Politycznego KPZS dotyczące stanu wojennego w Polsce i dokumenty o pomocy finansowej KPZS dla PZPR.

8.2.96.

Zmarła w Petersburgu w wieku 89 lat Lidia Czukowska wybitna pisarka, niestrudzony bojownik o prawa do wolności i demokracji.

## ZACHÓD – EMIGRACJA

9.12.95

Zmarła w Paryżu, pozostawiając po sobie jak najlepszą pamięć, Janina Heydé, urodzona w 1911 r., długoletnia współpracowniczka „Libelli”.

18.12.95

Zmarł w Genewie w wieku 98 lat Tadeusz Zażuliński, dyplomata. W czasie ostatniej wojny był posłem RP przy rządzie Królestwa Egiptu w Kairze.

20.12.95

Zmarła w Londynie w wieku 74 lat Elżbieta (Bisia) Carroll z domu Tyszkiewicz, *primo voto* L. Łubieńska

1.1.96

Polska została wybrana do Rady Bezpieczeństwa ONZ jako niestały członek z dwuletnim mandatem. Oprócz Polski niestałymi członkami wybrano: Chile, Egipt, Gwineę Bissau i Koreę Południową. Rada Bezpieczeństwa składa się z 15 członków: 5 stałych z prawem weta (USA, Rosja, Wielka Brytania, Francja i Chiny) oraz 10 niestałych wymienianych po połowie co roku.

5.1.96

Zmarł w Londynie w wieku 85 lat Janusz Kowalewski. Więzień łagrów sowieckich, żołnierz Drugiego Korpusu. Po wojnie, w latach 1954-57, był redaktorem *Ostatnich Wiadomości* w Mannheim. W latach 1957-59 redagował *Tydzień Polski* w Londynie. W latach 1984-86 był redaktorem *Orla Białego*. Był współpracownikiem wielu pism emigracyjnych w Anglii, Australii, Francji i Stanach Zjednoczonych, a przede wszystkim *Wiadomości* londyńskich. Najbardziej znaną jego książką był cykl opowiadań „O żołnierzu ciulaczu”.



6.1.96

Zmarł w Londynie w wieku 89 lat Janusz Jasięńczyk (pseudonim literacki Janusz Poray-Biernacki), prozaik, publicysta, autor szeregu książek, które w swoim czasie były bardzo popularne, jak „Po Narwiku był Tobruk” (1947), „Walter 7.65” (1951), „Słowo o bitwie. Tryptyk powieściowy” (1955).

7.1.96

Zmarł w Green Bay (Wisconsin-USA) w wieku 76 lat John Gronouski. W czasie prezydentury Johna Kennedy'ego był naczelnym poczmistrzem. W 1968 r. został ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Polsce. Przez szereg lat był prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku.

8.1.96

Zmarł pod Paryżem w wieku 98 lat Paul Vialar, pisarz francuski, wnuk po kądzieli Ludwika Nabelaka, Belwederczyka, powstańca listopadowego, jednego z wybitnych działaczy Wielkiej Emigracji we Francji. Po śmierci deputowanego Jeana Paula Palewskiego Paul Vialar był przez kilka lat prezesem Towarzystwa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji.

16.1.96

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało ciekawy cykl odczytów w Institut Catholique de Paris: 16 stycznia – prof. Jan Myciński „*Comment la maison d'Anjou a accédé au trône de Pologne*”; 15 lutego – prof. Michel Masłowski „*Le modèle romantique de la personnalité dans la littérature polonaise*”; 27 lutego – Ewa Bobrowska-Jakubowska „*Le milieu des artistes polonais à Paris dans les années 1900-1918*”; 12 marca – prof. Edmond Marek „*Nicolas Copernic, humaniste et homme de foi*”; 16 kwietnia – C. Pierre Zaleski „*L'énergie nucléaire: un enjeu pour l'humanité. Ses problèmes, particulièrement en Europe de l'Est*”.

18.1.96

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się wieczór z odczytami Jeana Tularda „*La légende napoléonienne aujourd'hui*” oraz Andrzeja Nieuważnego „*La légende napoléonienne en Pologne au XXème siècle*”. Była to ostatnia impreza artystyczna w Stacji pod dyrekcją Jerzego W. Borejszy, który 31-go stycznia br. zakończył swoje urzędowanie jako dyrektor Stacji.

19.1.96

Zmarła w Paryżu w wieku 87 lat Léonor Fini, wybitna malarka, towarzyszka życia Konstantego A. Jeleńskiego.

20.1.96

Zmarła w Londynie w wieku 101 lat Magdalena Dubanowiczowa, wybitna działaczka społeczna, b. prezeska Zjednoczenia

Polek w Wielkiej Brytanii, autorka wielu książek, m.in.: „Na mongolskich bezdrożach. Wspomnienia z zesłania. 1940-42”.

21.1.96

Zmarł w Paryżu w wieku 66 lat Roman Cieślewicz, wybitny grafik.

22.1.96

Zmarł w Londynie w wieku 84 lat Ludwik Łubiński. Przed wojną sekretarz ministra Becka, w czasie wojny oficer łącznościowy we Francji, Szkocji i na Bliskim Wschodzie. W 1943 r. był szefem misji wojskowej na Gibraltarze, wreszcie adiutantem gen. Andersa. Po wojnie członek organizacji niepodległościowych i wieloletni przewodniczący Skarbu Narodowego.

26.1.96

W Nowym Jorku została otwarta wielka retrospektywa polskiego kina pod nazwą „Objawienie i barwy ochronne: polskie kino od roku 1930 do chwili obecnej”. Zostanie pokazanych 49 filmów fabularnych i dokumentalnych. Z okazji przeglądu odbędą się dwa międzynarodowe sympozja poświęcone polskiej kinematografii. W pierwszym z nich „Początki stanu wojennego” weźmie udział Agnieszka Holland oraz historyk filmu Bolesław Michałek. W drugim seminarium poświęconym współczesnej kinematografii: „Kino dziś”, prowadzonym przez Macieja Karpińskiego, uczestniczyć będą m.in. Krystyna Janda, Andrzej Wajda, Krzysztof Zanussi. Organizatorem imprezy jest Towarzystwo Filmowe przy Lincoln Center, a współorganizatorami są Polski Komitet do Spraw Kinematografii oraz Fundacja Kościuszkowska. Retrospektywa będzie trwała do 7-go marca br. ■ W Stowarzyszeniu Polskim w Genewie wojewoda warszawski, inż. Bohdan Jastrzębski, wygłosił odczyt „Współczesna administracja publiczna w Polsce – aktualne procesy i kierunki zmian – szanse i zagrożenia”.

13.2.96

W Centre du Dialogue w Paryżu odbyło się spotkanie poświęcone historii działalności Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Francji z udziałem dr. Piotra Konopki, dr Barbary Grosspierre-Lisowskiej i dr Ewy Teslar. Poprzednio odbyły się spotkania: 29.1. br. Aleksander Smolar wygłosił odczyt „Polskie niepewności”; 19.1.br. odbył się wieczór jubileuszowy z okazji 70-lecia Polskiego Radia pod przewodnictwem Krzysztofa Michalskiego z udziałem Krzysztofa Rutkowskiego. 9.2. br. Michał Heller wygłosił odczyt „Rosja między wyborami parlamentarnymi i prezydenckimi”.

22.2.96

W Domu Kombatanta w Paryżu odbył się odczyt Sekretarza Gen. SPK Marka Jesionkowskiego pt. „W pięćdziesięciolecie SPK – początki i szanse na przyszłość”.

## Kronika kanadyjska

Rząd federalny wprowadził pewne zasadnicze zmiany w przepisach i zasadach systemu emigracyjnego. Od lutego (w niektórych wypadkach od marca) 1966 r. kwalifikację na emigranta na podstawie systemu punktowego, posiadają osoby z pełną znajomością języka angielskiego lub francuskiego, odpowiednim stopniem wykształcenia zawodowego lub posiadające jakieś specjalności, umożliwiające szybkie wejście na rynek pracy. Emigracja rodzinna została wysoce utrudniona. Sponsor będzie przez dziesięć lat odpowiedzialny za opiekę zdrowotną, a więc kosztą leczenia itp., musi wykazać się rocznym dochodem ponad 41.000 dol. (dotychczas wystarczał dochód w wysokości 33.000 dol.). Nowi emigranci sponsorowani przez rodziny nie będą mogli korzystać z opieki społecznej. ■ W ramach programu oszczędnościowego rządu federalnego uległ likwidacji program informacyjny państwowej rozgłośni CBS, nadawany w różnych językach do szeregu państw, w tym do Polski. ■ Nagrodę Fundacji A. Jurzykowskiego w dziale nauki otrzymał w Kanadzie dr Stanisław Dubicki, immunolog, profesor University of Toronto, autor szeregu prac specjalistycznych, wieloletni – od 1961 r. wykładowca na uniwersytecie w Toronto. ■ Polsko-Kanadyjskie Towarzystwo Muzyczne przygotowało bogaty program dla uczczenia 80-lecia Wacława Iwaniuka. Złożyły się na to poezje jubilatą i muzyka jazzowa amerykańskiego kompozytora Gershwina. Program przygotowała Maria Nowotarska a wiersze prezentowali Ludwika Juchniewicz, Agata Pilitowska, Szymon Gębski. Program wykonano dwukrotnie tego samego dnia, 14 stycznia, w sali wypełnionej do ostatniego miejsca. ■ Konsulat Generalny RP w Montrealu i Kanadyjsko-Polska Izba Handlowa na zebraniu 24 stycznia gościły ambasadora RP Diema, który wygłosił przemówienie na temat polityki zagranicznej Polski. Zebranie miało charakter towarzyski: śniadanie, napoje. Członkowie Izby płacili za udział 35 dol., a goście 40 dol. ■ W sali konsulatu odbył się 29 stycznia koncert muzyki polskiej dla uczczenia Krzysztofa Pendereckiego, obecnego na tej imprezie. Obok jego utworów, wykonano muzykę Szymanowskiego, Bacewicza i Lutosławskiego. ■ Lucien Bouchard, czołowy

rzecznik separatyzmu Quebecu, złożył mandat poselski w Izbie Gmin i stanął 29 stycznia na czele rządu prowincji. Premier Parizeau zgłosił rezygnację bezpośrednio po plebiscycie, uznawszy wynik za osobistą klęskę swojej wieloletniej polityki: suwerenność, niepodległość Quebecu. Bouchard jest również orędownikiem niepodległości Quebecu a zarazem bardziej popularnym niż jego poprzednik, lecz bardzo ostrożnym. W programowej deklaracji uwypuklił problem gospodarczy, podkreślając, że należyte rozwiązanie obecnych komplikacji przygotowuje społeczeństwo do referendum, do niepodległości. ■ Fundusz Wieczysty Millenium rozdzielił w bieżącym roku ponad 50.000 dolarów na pomoc studentom a 110.000 dol. otrzymały uniwersytety, szkoły i biblioteki. Wydana suma – jak głosi komunikat – „pochodzi z wypracowanego dochodu z inwestycji naszego kapitału”. ■ Fundacja Adama Mickiewicza w okresie sprawozdawczym: listopad 1994 – listopad 1995 r. otrzymała ze zbiorów 9.150 dol. w tym: organizacje 3.985 dol., indywidualne datki 5.265 dol. W okresie tym przeznaczono 17.500 dol. na swencje kulturalne: doroczne dotacje uniwersytetom Caleton (Ottawa/Mc Master/Hamilton) i Toronto Univ., stypendia akademickie 5.000 dol. nagrody szkolne 1.500, książki na Wschód, pomoc dla szkół – 3.500 dol. Na następny okres przewiduje się spadek wpływów.

Toronto, 30 stycznia 1996

B.H.

## Z ostatniej chwili

27 lutego 1996 roku zmarła nagle w Lailly-en-Val w wieku 73 lat Maria Łamzaki Mawro. Po spopieleniu zwłok zostanie pochowana w Polsce. Maria Łamzaki była przez 25 lat sekretarką w Instytucie Literackim. W zmarłej tracimy nie tylko oddanego współpracownika ale przede wszystkim przyjaciela.

Jerzy GIEDROYC

## Listy do Redakcji

7.2.96

Szanowny Panie Redaktorze!

Piszę ten list, ponieważ moje sympatie układają się po stronie lewicy i chciałbym bardzo, żeby socjaldemokracja w Polsce była z prawdziwego zdarzenia.

W odróżnieniu od wielu moich znajomych myślę, że przynajmniej znaczna część członków SdRP szczerze hołduje ideom socjaldemokracji i nazywanie ich postkomunistami jest mylące i niesprawiedliwe. Rzecz jednak w tym, kto dominuje w tej partii, czy może ona już obecnie jako całość domagać się uznania swej socjaldemokratycznej tożsamości?

Nie przesądzają o tym wyniki wyborów do Sejmu, ani zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Dzieje naszego wieku wykazały, że trudna sytuacja społeczna skłaniać może wyborców do wręcz katastrofalnych opcji politycznych. W Polsce potwierdził to *casus* Tymieńskiego. Istotnym sprawdzianem demokracji każdej partii pozostaje jej stosunek do demokratycznych instytucji swojego państwa.

Okazją do takiej próby stała się tzw. sprawa Oleksego. Dla jej wyjaśnienia uruchomiono różne demokratyczne procedury, których domagał się m.in. sam były premier. I oto w trakcie toczących się oficjalnych dochodzeń zostaje on wybrany przytłaczającą większością głosów na przewodniczącego SdRP. Kordialne gratulacje przekazuje mu b. członek tejże partii, który uważa się za prezydenta wszystkich Polaków. Czyż mieści się to w obyczajach współczesnej socjaldemokracji? Czyż nie jest to oczywista demonstracja lekceważenia demokratycznych instytucji powołanych do wyjaśnienia tej sprawy?

Być może zarzuty wysunięte wobec Józefa Oleksego są paskudnymi pomówieniami. Być może przyjaźnił się on z agentem KGB z czystej potrzeby serca. Sprawa jednak ma charakter państwowy i wymaga nie partyjnych lecz bezstronnych orzeczeń.

Postkomuniści podejrzani o stare nawyki, czy wiarygodni współcześni socjaldemokraci? To pytanie pozostaje otwarte. Odpowiedzi na nie udzielić mogą tylko oni sami. Ich stosunek do „sprawy Oleksego” raczej zaciemnia wizerunek własny i co najmniej opóźnia pozytywny werdykt – nie w sprawie b. premiera lecz całej SdRP.

Z głębokim szacunkiem i serdecznymi pozdrowieniami

Andrzej ALBRECHT

Drugi Panie Redaktorze,

W liście do Redakcji (*Kultura* 1/580-2/581), p. Józef Lewandowski zarzuca mi dwa błędy, zawarte jakoby w moim artykule „Niemcy a wojna” (*Kultura* 11/578). Twierdzi mianowicie, że w wojskowym ruchu oporu hitlerowskich Niemiec nie było żadnej grupy Stauffenberga, nie wie zatem, gdzie ją znalazłam – że działała natomiast grupa oficerów, skupionych wokół generała Tresckowa, z którą von Stauffenberg był związany. „Przemilczenie von Tresckowa – pisze pan Lewandowski – redukowaniem oporu do von Stauffenberga i jego (nieistniejącej) grupy – jest uchybieniem prawdziwe, istotnym nie tylko dla historyka”.

Drugi mój błąd miałyby polegać na tym, że „czyste ręce” Wehrmachtu w porównaniu np. z SS „zaliczam do sfery legend”... aczkolwiek Wehrmacht – pisze dalej p. Lewandowski – był częścią zbrodniczej maszyny hitlerowskiej, a wielu jego generałów i oficerów popełniło zbrodnie... „to jednak utłośnienie Wehrmachtu z SS nie ma uzasadnienia. Jest *klamliwą legendą*”.

W sprawie pierwszej: Określenie „grupa Stauffenberga” jest w Niemczech ogólnie przyjęte i stosowane na przemian z nazwą sprzysiężenia z „20 lipca”. (20.07.1944 – data zamachu Stauffenberga na Hitlera). Przy tym, w przekazie całej sprawy postacie Tresckowa i Stauffenberga nie stoją wobec siebie w żadnym stosunku konkurencyjnym. Obaj przecież – co wynika także z listu p. Lewandowskiego – byli uczestnikami tego samego sprzysiężenia. Obaj opracowywali od 1943 r. plan zamachu na Hitlera (poprzedzonego zresztą kilkoma innymi próbami – próbował i Tresckow, a nawet, gdyby zamach się udał, plan powstania i objęcia władzy. Obaj więc, wraz z innymi podobnie myślącymi, wchodzili w skład nieformalnej grupy opozycji wojskowej – co nie oznacza wcale, że nie było w armii innych ośrodków opozycyjnych. Moralnego ani intelektualnego autorytetu Tresckowa, jego promieniowania, kompetencji ani wybitnej roli w przygotowaniach do „20 lipca” nie pomniejszam ani o jotę, ale tak się stało, że to właśnie nazwisko Stauffenberga a nie Tresckowa przylgnęło do tej grupy, że to ono funkcjonuje do dziś jako skrót myślowy, sygnał wywoławczy całej sprawy. Podobne skróty i sygnały, występujące zresztą we wszelkich formach komunikacji między ludźmi, muszą być dozwolone także w publicystyce – w przeciwnym razie trzeba by zawsze pisać wszystko o wszystkim.

Należy więc spytać dlaczego tak się dzieje. Dlaczego jedno nazwisko wysunęło się przed drugie oraz przed szereg innych, świetnych nazwisk? Dlaczego w wielkich, mniejszych i wręcz małych miastach niemieckich, znajdujemy nader często ulice Stauffenberga a bardzo rzadko Tresckowa, nie mówiąc już o innych? Dlaczego to samo dotyczy różnych w ogóle form upamiętniania zamachu? Sądzę, iż po prostu dlatego, że to Stauffenberg zamachu dokonał, że był jego sprawcą fizycznym, że to on właśnie podłożył bombę w głównej kwaterze Hitlera. P. Lewandowski jako historyk

wie lepiej ode mnie, że nie jest to jedyny przykład ostrzejszego wdzierania się w pamięć i wyobraźnię ludzką *konkretnego*, choćby chybnego czynu, niż równie odważnej ale mniej spektakularnej akcji koncepcyjno-przygotowawczej. Ponieważ ponadto adresatem naszych publikacji jest czytelnik polski (z natury rzeczy – poza specjalistami – mniej niż Niemcy obeznany w przedmiocie), wolno mi chyba założyć, że i jemu nazwisko Stauffenberga jest bliższe niż inne, że zatem w określeniu „grupa Stauffenberga” nie dopatrzysz się przemilczania czy redukcji kogokolwiek lub czegokolwiek.

W sprawie drugiej: wagę oporu w armii niemieckiej doceniam całkowicie – najlepszy dowód, że jako jeden z przykładów opozycji w Niemczech hitlerowskich, przytoczyłam właśnie owo sprzyśnięcie wojskowe. Natomiast proceder porównawczy „Wehrmacht-SS” nie ja wymyśliłam. Bywa on wcale jeszcze nierzadko stosowany, prawie instrumentalizowany przez osoby należące do niemieckich pokoleń wojennych. Ma służyć obronie ich własnej przeszłości za pomocą ryczałtowego rozgrzeszenia *całego* Wehrmachtu przy równoczesnym wskazywaniu na *wyjątkowego* jakoby sprawcę wszelkich zbrodni i okrucieństw – SS. Dzięki coraz obfitszej w ostatnich latach dokumentacji na temat Wehrmachtu, o czym wspominałam w artykule, ta legenda porównawcza powoli się wykrusza, ale nie wykruszyła się jeszcze do końca.

Cenię wysoko troskę historyka o prawdę i precyzję – nie mogę się jednak przyznać do grzechów nie popełnionych. Natomiast całkowicie podzielałam przeświadczenie o konieczności różnicowania oraz podważania wszelkich schematów w analizie problemów niemieckich. Podobnie bowiem jak p. Lewandowski, nie ufam uproszczeniom, stereotypom, przymiarkom ideologicznym i śpiewkom propagandy sowieckiej.

Z głębokim szacunkiem i serdecznymi pozdrowieniami

Kamila CHYLIŃSKA

Warszawa, 14.12.95 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 11/578 *Kultury*, w rubryce „Wydarzenia Miesiąca” podana została informacja o nominacji nowych ambasadorów RP. W trzech przypadkach zniekształceniu uległy ich nazwiska. Ambasadorem RP w Słowenii jest mianowicie Pan Jan Tombiński, w Austrii Pan Prof. dr hab. Jan Barcz a w RFN Pan dr Andrzej Byrt.

Warto dodać, że w ostatnim kwartale 1995 r. ambasadorem RP w Bernie został Pan Marek Jędrys a Konsulem Generalnym w Anglii i Walii zostaje Pan Jacek Starościak.

Z wyrazami szacunku

Paweł DOBROWOLSKI

(Rzecznik Prasowy Ministerstwa Spraw Zagranicznych)

Żywiec, 30.01.1996

Jerzy Giedroyc, Maisons-Laffitte

Szanowny Panie,

Z wielkim zażenowaniem przeczytałem korespondencję pani Eweliny Puczek zamieszczoną w *Dzienniku Zachodnim* w dniu 28.01.1996 r. po spotkaniu z Panem.

Jestem blisko 50-letnim lekarzem, który całe swoje życie (szkołę, studia i pracę zawodową) przeszedł w PRL-u. Czytając Pana wypowiedź o Prezydencie Lechu Wałęsie jestem zbulwersowany Pana opinią. Cóż Pan może powiedzieć na temat Polski i oceniać Prezydenta siedząc cały czas za granicą i będąc na utrzymaniu zachodnich rządów. Czy Pan wie jak wygląda komunizm od środka i jego poplecznicy? To Wałęsa i Solidarność pokazała ludziom jak można godnie żyć. To dzięki Wałęsie i Solidarności Polska przestała być zaściankiem Europy. To po zwycięstwie Solidarności, wyjeżdżając na urlop na Zachód, nie czułem się pariasem Europy i byłem dumny, że jestem Polakiem.

Polski naród nie potrafi, niestety, żyć samodzielnie. Gdy tylko poczuł nieco swobody to każdy chce rządzić nie patrząc na ogólne dobro kraju (prawie 300 partii różnych zapatrywań), i dlatego szczytne ideały Solidarności legły w gruzach, a z powrotem wielkimi krokami wkracza „czerwone”.

Nigdy nie należałem do Solidarności i nie byłem zwolennikiem osoby Wałęsy, ale to co propagowała Solidarność i Jej Przywódca pozwoliło mi czuć się wolnym Polakiem. Pana wypowiedź na temat Wałęsy i jego programu jest, co najmniej delikatnie mówiąc, dziwna, gdyż najczarniejsze lata Polski spędził Pan w wolnym kraju nie widząc co to znaczy niewola. Łatwo doradzać i pluć z obcego kraju, ale znacznie trudniej było do niego przyjechać i dla tego kraju pracować.

W czasie moich wyjazdów zagranicznych często udawało mi się zdobywać *Pańską Kulturę*, ale teraz cieszę się, że z końcem Pańskich dni *Kultura* zniknie. Swoimi wypowiedziami stara się Pan zniweczyć szlachetne działanie ludzi w Polsce w walce o prawdziwą demokrację i swobodę. Kraj nasz potrzebuje otuchy w walce z powracającym komunizmem a nie dobijania go. Ojczyzna nasza była wiele lat w niewoli i pod obcym jarzmem, a demokracji nie da się zbudować w 2-5 lat, więc proszę Pana w moim imieniu oraz wielu moich przyjaciół, niech Pan więcej nie szkodzi ideom ludzi chcących prawdziwej swobody i demokracji w Polsce.

Z poważaniem

Krzysztof JÓZWIECKI

Os. Reymonta 17

34-300 Żywiec

Baden, 96-01-29

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. Pędziwola zawiera tyle pomówień, oraz po prostu nieprawdy, że czuję się zmuszony odpowiedzieć.

Sugerowanie, że zobaczywszy Polskę, przeżyłem szok jest nieprawdą, bo wyraźnie piszę, że spożycie np.: artykułów wędliniarskich, względnie sprzedaż samochodów i innych artykułów technicznych w Polsce jest wysoka, działalność kulturalna ożywiona, podróżowanie ekspresami przyjemne, a niektóre z nich mają nawet poziom europejski. Piszę dosłownie: „Cała Polska sprawia wrażenie kraju o dobrej koniunkturze i szybkim rozwoju gospodarczym...”. Chyba większych komplementów napisać nie można.

Nie pisałem również o zasikanych i odrapanych klatkach schodowych, bo takich, pomimo wizyt w wielu domach, nie widziałem. P. Pędziwol wkłada mi po prostu w usta swoje relacje.

Wiele niedociągnięć w Polsce krytykowanych jest znacznie dosadniej w prasie krajowej, a nawet w *Kulturze*, aniżeli w moim artykule. Wyborcy w demokratycznych wyborach powierzyli w Polsce władzę parlamentarną i urząd prezydenta lewicy z wyraźnym mandatem, aby zwolnić tempo reform ze względu na ich wysokie koszty społeczne. Poglądy takie żywe są również wśród znacznej części inteligencji. Jedną z najlepszych definicji socjalizmu mówi, że jest to ustrój, który polega na użyciu aparatu państwa w celu złudnego usiłowania wzbogacenia się każdego obywatela kosztem wszystkich innych. Jest chyba jasne, że socjaldemokraci mając taki mandat będą chcieli swą politykę realizować w tym kierunku. Sygnałów ostrzegawczych w prasie polskiej nie brakuje.

W artykule moim nie pisałem nigdzie o hulaszczym i rozrzutnym rozkradaniu i przejadaniu, oraz przepijaniu dorobku PRL-u. Tu znowu p. Pędziwol wkłada mi w usta swoje relacje. Jednak w prasie krajowej pojawiają się ciągle ostrzeżenia, że w Polsce za dużo się konsumuje, a za mało inwestuje. Wnioski są chyba jasne.

16 lat mojej pracy w Polsce poświęciłem projektowaniu i budowie kotłowni, a i w Szwajcarii nie pozostawałem od nich daleko. Kilka kotłowni, które widziałem w Polsce było ohydnych z estetycznego punktu widzenia nie dlatego, że bym był przeciw kotłowniom, ale dlatego, że były niedbale zaprojektowane i źle usytuowane.

Z powyższego wynika, że wykluczając złą wolę, p. Pędziwol artykuł mój, albo niedokładnie przeczytał, albo go nie zrozumiał. Będę wdzięczny jeśli zechce on przyjąć moje wyjaśnienia ze zrozumieniem.

Łączę wyrazy szacunku

Kazimierz KARNKOWSKI

Edmonton, 25 stycznia 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

Pięć uwag na temat nekrologu o Janie Badenim (grudzień 1995). Urodził się w roku 1921, a nie 1922. Skąd wiem? Było nas pięciu przyjaciół, zostało dwu i ustawiliśmy się 1919, 1920, 1921, 1922, 1923; 1922 był mój, 1921 jego. Adam Zamojski w *The Independent* z 27 października 1955, anonim w *The Times* z tejże daty, Krzysztof Muszkowski w *Tygodniu Polskim* z 11 listopada 1995 podają zgodnie 15 lutego 1921 jako datę urodzenia.

Po drugie, rodzinny majątek Koropiec był nie koło Stanisławowa, a na Podolu.

Po trzecie, był kolatorem nie 16 kościołów na Wschodzie, a sześciu na Podolu: dwu rzymskich, dwu greckich, dwu prawosławnych. W niedawnym liście dawał wyraz zaniepokojeniu, że to jednak poważne obciążenie finansowe.

Po czwarte, królewskie lotnictwo opuścił może jako podpułkownik (*Wing Commander*, pisze Stefania Kossowska), ale na niedawnym, a ozdobnym dokumencie potwierdzającym mój udział w kosztach odnowienia pomnika polskiego lotnika w Northolt występuje jako major (*Squadron Leader*), jedno z dwu polskich nazwisk, reszta to sami marszałkowie lotnictwa w większości uszlachceni (*sirs*). Jak jest w zwyczaju angielskim był zapewne podpułkownikiem dopóki spełniał funkcje wymagające tego stopnia, po czym powrócił do swojego permanentnego stopnia majora.

Po piąte, przypuszczam, że nigdy nie był żołnierzem Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. W naszych rozmowach tego nie utrzymywał. W sztabie kairskim pracował dla dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie. Generał Zajac tam wtedy dowodził. W okresie bitwy pod El-Alamein zostaliśmy z Jasiem odkomenderowani do Pułku Ułanów Karpackich dla obrony tam (używano francuskiego słowa *barrages*, również w arabskim) na Nilu między Kairem i Aleksandrią. El-Alamein leży 20 km na zachód od Aleksandrii. Pułk ułanów wtedy już od wielu miesięcy odłączył od brygady, nie wziął udziału ani w bitwie pod Gazalą I ani w bitwie pod Gazalą II.

Sześć uwag na temat artykułu o prasie polonijnej w Kanadzie (grudzień 1995). Po pierwsze niezasłużenie się oberwało polskiemu konsulowi w Ottawie za utrzymywanie, że jest w Kanadzie 740 tysięcy ludzi polskiego pochodzenia. Nie wymyślił to konsula, a wynik spisu ludności 1991. Mało kto rozumie natomiast, że z tych 740 tysięcy, 468 tysięcy ludzi polskiego pochodzenia to potomkowie mieszanych małżeństw. Te same 468 tysięcy występuje po raz drugi, niektórzy po raz trzeci i czwarty, jako 468 tysięcy ludzi pochodzących również z innych grup narodowościowych, jeśli obywatel miał dwa, trzy albo więcej narodowości wśród swoich przodków. Moi studenci obliczyli 8 milionów takich 'sztucznych' Kana-

dyjczyków i jest na ten temat rozdział wyjaśniający sprawę w nadchodzącej książce Federacji Demografów Kanadyjskich.

Po drugie, te 468 tysięcy osób omówione powyżej autorzy przyjęli jako jedyne osoby polskiego pochodzenia i od tej cyfry rozpoczynają rozważania na temat Polonii kanadyjskiej. Tymczasem jest siedem definicji i każda daje inną liczbę. Powtarzam, prawdziwą, najwyższą liczbą osób polskiego pochodzenia jest liczba 'konsula' – 740 tysięcy. Np. maksymalna liczba potencjalnych czytelników pism polskich jest 240 tysięcy, ale mówiących w domu po polsku już tylko 104 tysiące.

Po trzecie, nie jest prawdą, że 'ucichł *Kwartalnik SPK*'. Autorzy zapewne mają na myśli *kwartalnik SPK w Kanadzie*. Dalej wychodzi regularnie. Niewątpliwie z czasem przestanie wychodzić, ale nie będzie to objawem słabości i marazmu Polonii kanadyjskiej, lecz rezultatem demograficznego starzenia się tej części społeczeństwa polonijnego. Anglicy mawiają 'stary wojak nie umiera, zanika'.

Po czwarte, prawdą jest może, że „niewielu nowo przybyłych wchodzi do starych organizacji”, ale ich pierwszym obowiązkiem musi być usadowienie w społeczeństwie i ekonomii kanadyjskiej. Czasami sobie myślę, że Kongres Polonii Kanadyjskiej powinien mieć przepis, że dopiero po dojściu do \$50.000 (powiedzmy \$35.000?) można wstępować do organizacji polonijnych. Nie jest to próg trudny do przekroczenia w Kanadzie. Współzawodnictwo tu nikłe, łatwo zostać profesorem, łatwo się dochrapać do \$100.000 (powiedzmy \$70.000).

Po piąte, trudno wiedzieć co znaczy stwierdzenie, że „[n]ie ma prawdziwych kontaktów z innymi mniejszościami”. Jutro mam prawdziwe spotkanie w klubie profesorskim z przewodniczącym Kongresu Ukraińsko-Kanadyjskiego i dyrektorem jego biura, za kilka dni z prawdziwymi aktywistami niemieckimi, a jeszcze dalej z prawdziwymi aktywistami żydowskimi. Kilka dni temu byłem z małżonką na prawdziwym bankiecie 20-lecia kongresu chińskiego. Zeszli się nie tylko Tawajńczycy i imigranci z Hong Kongu i Singapuru, ale i z samej republiki, choć straty językowe wśród dzieci są chyba większe niż wśród Polaków. Moim zastępcą w prezesurze Stowarzyszenia Demografów Edmontońskich jest prawdziwy Izraelczyk, choć teraz już, jak ja Kanadyjczyk. Kilka lat temu zasiadałem w Komitecie polsko-ukraińsko-niemieckim, który nadzorował wydanie podręcznika dla szkół średnich. Nie wszystkie sprawy wygrałem, jak to zwykle w Komitecie, ale podręcznik jest lepszy niż by był bez naszej obecności. Naprawdę nie zmyślam, ale w tej chwili (czwartek, 25 stycznia 1995) zadzwonił Edmontończyk pochodzenia kaszubskiego (Mike Cashaback, przepraszał za cudaczną pisownię). Dwie sprawy: artykuł kuzyna ze stanu Nowy Jork, który może zainteresować prasę polonijną w Edmtonie; uważa kaszubski za dialekt polski i chciałby siebie, czy dialekt w sensie bardziej ogólnym, włączyć do nurtu polskiego. Umówiliśmy się w moim biurze uniwersyteckim, przy końcu dnia.

Może to i prawda, że organizacje polonijne są słabe, że kongres jest słaby. Przecież kilka lat temu z ramienia Kongresu Polonii

Kanadyjskich poddałem z kolegą z uniwersytetu krytyce podręcznik historii dla szkół średnich. Na wielu stronach maszynopisu wytknęliśmy serie błędów historycznych, jak również wyskoków „polako-żerzych”. Usunięto większość ważniejszych, choć chwalebna bohaterstwa i dyscypliny dywizji SS podczas drugiej wojny światowej pozostała i dalej truje duszyczki dzieci albertańskich, bardzo niewinnych w materiałach światowych. W roku 1995 Polonia albertańska obchodziła stulecie osadnictwa polskiego w Albercie. Głucho o tym stuleciu u kronikarza kanadyjskiego w *Kulturze*, ale 42 wydarzenia w ciągu roku wpompowały w ekonomię albertańską \$ 299.000. Dziwiłem się niektórym priorytetom: na pomnik Polonia indywidualnie złożyła ponad \$ 50.000 (rząd prowincji dał \$ 62.500, bo trzy lata temu dał podobną sumę na pomnik stulecia osadnictwa ukraińskiego), a na książkę \$ 11.000. Czy kolega Śmieja i redaktor Heydenkorn byłiby zdania, że powinienem być dlatego wyłączyć się z działalności? Powracając do stulecia ukraińskiego, pomnik został wykonany przez członka Polonii edmontońskiej (Danek Mozdzen-ski) tego samego, który wykonał pomnik noblisty Lestera Pearsona, w Ottawie, a główny artykuł historyczny dla kwartalnika studiów ukraińskich napisała młoda historyczka (Anka Reczyńska) z Uniwersytetu Jagiellońskiego zaproszona w tym celu do Edmonto-nu. W ostatnich dniach 1995 został zarejestrowany fundusz wieczysty Polonii albertańskiej, głównie o celach kulturowych, raczej niż charytatywnych. „Słaby” Kongres wpłacił \$5.000 dla otworzenia rachunku bankowego, spodziewam się dalszej wpłaty \$140.000 przed końcem maja, za kilka dni odbędzie się pierwsze zebranie rady nadzorczej. Na porządku dziennym jest pięć trudnych wniosków, trudnych do dyskusji, do zrozumienia, do przeprowadzenia, ale wszystkie będą źródłem siły „słabego Kongresu”.

W dwu sprawach szanowni autorzy mają rację: „niemal na wszystkich uczelniach są polscy pracownicy naukowci. Nie widać, żeby ...gdzieś działali społecznie” i „[n]ie ma ludzi do roboty za darmo”. W obu sprawach padliśmy ofiarami kultury antropologicznej nowego świata. Pieniądz jest wskaźnikiem sukcesu; tylko niedołęga i leniwiec jest ubogi. Przy dorocznej dyskusji podwyżek dziekan by się tylko uśmiechnął gdyby mu czy jej (a jakże!) cytować prasę polonijną, czy artykuły po polsku. Książki i artykuły w czasopiśmie fachowych liczą się i zapewniają podwójne i potrójne podwyżki.

Ale powróćmy do głównego tematu: dlaczego tyle błędów? Czasami sobie myślę, że redaktor *Kultury* wręcz zachęca autorów do niedbałstwa. Przecież *Kultura* po tylu latach ciągle jeszcze nie wypracowała jednolitego systemu cytowania źródeł. Niekiedy w tym samym artykule nie można odróżnić tytułów rozdziału czy artykułu od tytułów książki czy czasopisma.

Z poważaniem

Karol J. KRÓTKI  
University Professor Emeritus

8 lutego 1996

W 50-tym numerze *Tygodnika Solidarność* z 15.12.1995 opublikowano tekst „Ciosek do towarzyszy zza Łaby”. Publikacja opiera się na telegramie ambasadora NRD w Warszawie Horsta Neubauera, skierowanym 2 grudnia 1981 r. do kierownictwa SED. Dokument ten, opatrzony sygnaturą ‘SED 38393/3’ odnalazł w Centralnym Archiwum Partyjnym w Berlinie niemiecki historyk Michael Kubina i on również przedstawił ów telegram w referacie, wygłoszonym 9 sierpnia 1995 r. na V Światowym Kongresie Studiów nad Europą Środkową i Wschodnią w Warszawie.

Fragmenty telegramu ogłosiłem w artykule „Stan wojenny: fragmenty scenariusza” (*Kultura* nr 9 z 1995 r.). *Tygodnik Solidarność* nie podaje ani nazwiska M. Kubiny, ani nie wspomina mego artykułu z *Kultury*, co wywołuje wrażenie, iż tekst „Ciosek do towarzyszy zza Łaby” jest pierwszą publikacją telegramu Neubauera w języku polskim. Podano pod nią nazwisko tłumaczki – p. Teresy Wójcik. Nie odpowiada prawdzie zamieszczona w *Tygodniku Solidarność* informacja, jakoby tekst telegramu przedstawiono 9 sierpnia 1995 r. w Warszawie w języku oryginału oraz w języku angielskim. M. Kubina udostępnił ten dokument wyłącznie w języku niemieckim. Nie wiem, co miałyby być podstawą tłumaczenia, dokonanego jakoby przez p. Wójcik, jest jednak mało prawdopodobne, aby czysty przypadek sprawił, że tekst w *Tygodniku Solidarność* składa się dokładnie z tych samych fragmentów, które wybrałem do publikacji w *Kulturze* (całość telegramu obejmuje ponad 5 stron gęstego maszynopisu); dokonano w nich jedynie pięciu skrótów, które i ja przeoczyłem, dokonując przekładu z niemieckiego: „Nie potrafię (jeszcze) ocenić...”

We własnym tłumaczeniu starałem się o maksymalną zgodność z brzmieniem i formą oryginału, zachowując zarówno liczne równoważniki zdań, jak i małe litery, którymi w całości wydrukowany jest oryginalny dokument. Tekst w *Tygodniku Solidarność* sprawia wrażenie bardziej lub mniej wiernej adaptacji, co w wypadku materiału archiwalnego budzi poważne zastrzeżenia. Co więcej, pewne fragmenty telegramu wyróżniono w *Tygodniku Solidarność* tłustym drukiem, nie informując czytelnika, że podkreślenia pochodzą od redakcji. Tytuł, którym opatrzono całość, wystawia ponadto pomysłodawcy niezbyt chwalebne świadectwo w dziedzinie geografii.

Nie sposób również doszukać się logicznego związku między telegramem Neubauera a poprzedzającą publikację zachętą ze strony redakcji: „Ten tekst powinni przeczytać wszyscy. Zwłaszcza ci, którzy głosowali na Kwaśniewskiego...” Jeśli chodzi o propagandę skierowaną przeciwko obecnemu prezydentowi RP, to – jak sądzę – większy sens miałyby ona przed wyborami niż po nich, zwłaszcza, że *Tygodnik Solidarność* postanowił posłużyć się w tym celu dokumentem dostępnym w Polsce od 9 sierpnia 1995 r.

Publikując w *Kulturze* fragmenty telegramu kierowałem się wyłącznie interesującą w sensie historycznym treścią dokumentu,

tym bardziej, że dotyczy on faktu nie znanego polskiemu czytelnikowi. O rozmowie Ciosek–Geremek wspomina co prawda M.F. Rakowski w wydanej w 1985 r. po niemiecku książce „Ein schwieriger Dialog” (Econ Verlag, Duesseldorf – Wien, str. 130), chodzi tu jednak o zupełnie inną książkę, niż wydany w Warszawie dwa lata wcześniej przez „Książkę i Wiedzę” „Trudny dialog”. Z niemieckiej publikacji Rakowskiego wynika, że rozmowa miała miejsce 27 listopada 1981 r. a sprawozdanie z niej Ciosek przekazał również ówczesnemu wicepremierowi.

Wypowiadałem się już obszerniej na temat nie zawsze właściwego wykorzystywania przez polską prasę materiałów z niemieckich archiwów (*Zeszyty Historyczne* 112 z 1995 r.), nie chcę się zatem powtarzać. Opublikowanie przez *Tygodnik Solidarność* spreparowanego dokumentu w celach propagandowych, nie mających związku z jego treścią, trudno określić inaczej niż nadużycie. Bez komentarza pozostawiam fakt, że redakcja tego pisma nie uznała za wskazane zamieszczenia mego listu w tej sprawie.

Tomasz MIANOWICZ

Toronto, 10 stycznia 1996 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 12/579 *Kultury* przeczytałem z zainteresowaniem artykuł pt. „Prasa polonijna w Kanadzie – dziś” pióra B. Heydenkorna i F. Śmieji.

Przeraziła mnie wiadomość o odejściu na wieczną wartość dwóch pism, dobrze mi znanych: *Wici Harcerskie* oraz *Kwartalnik SPK*. Dla pewności sprawdziłam półkę z magazynami. Owszem są. Okazuje się, że oba pisma żyją i dobrym zdrowiem się cieszą.

Łączę wyrazy szacunku,

K. ORŁOWSKA

Bruksela 12/12/95

Szanowny Panie,

Uważam, że opinie Redakcji co do jakości nadesłanego materiału, wyrażone w rubryce „Odpowiedzi Redakcji” są często jednostronne, aroganckie, pełne uprzedzeń i zrozumiałości. Czy wobec nawału pracy, decyzja o publikacji w ogóle wymaga usprawiedliwienia, a jeśli tak, czy nie mogłaby być utrzymana w trochę innej, mniej obraźliwej dla autorów, formie?

Z poważaniem

Adam SZARF

7 II 96

Szanowny Panie Redaktorze,

W swym „Dzienniku pisanym nocą” (*Kultura*, Nr 1-2, 1996, s.30-31) Gustaw Herling-Grudziński wypowiedział się na temat listów Isaiaha Berlina do niżej podpisanego, opublikowanych (za jego zgodą) w *Res Publice Nowej* (Nr 7-8, 1995, s.101-116). Nie mogę polemizować z niepochlebnymi (nie pierwszymi zresztą) uwagami autora pod moim adresem. Zastanawia mnie jednak dlaczego autor nie poinformował czytelników w jakim mianowicie czasopiśmie mogą odnaleźć tę publikację; dlaczego nie wspomniał, że ów wybór listów znanego i cenionego w Polsce myśliciela opatrzony jest przede mną obszernym komentarzem interpretacyjnym; dlaczego, formułując zarzut publikowania krytycznych uwag Berlina o osobach trzecich, pominął milczeniem moje stwierdzenie (patrz s. 102), że właśnie takie fragmenty zostały z publikacji celowo usunięte; dlaczego wreszcie wprowadził czytelników w błąd oświadczając, że listy te zawierają głównie komplementy pod moim adresem i „niewiele ciekawego” dla osób z zewnątrz. W rzeczywistości bowiem listy te zawierają refleksje Berlina na temat Rosji i drogiej mu tradycji myśli rosyjskiej, marksizmu, filozoficznych koncepcji wolności, „nowej lewicy” zachodniej końca lat sześćdziesiątych, sytuacji polskiej w okresie Solidarności i stanu wojennego, moich ocen tej sytuacji (znanych wielu osobom w Polsce), oraz, *last but not least*, ogólnej „sytuacji świata” w okresie postkomunistycznym. Redakcja *Res Publici* uznała, słusznie moim zdaniem, że nie są to tematy nieciekawe dla jej czytelników.

Najbardziej zdumiewa mnie jednak – i skłania do napisania niniejszego listu – twierdzenie autora, że Berlin wymierza „kopniaki poniżej pasa” Solżenicynowi i Pasternakowi; że jego opinie o tych pisarzach są tak „niewiarygodnie prostackie”, że autorowi trudno było „powstrzymać się od rumieńca wstydu”. W rzeczywistości Berlinowska charakterystyka Solżenicyna tylko tym różni się od typowych opinii zachodnich liberałów, że oddaje mu sprawiedliwość jako „autentycznemu bohaterowi”, „szlachetnemu, dzielnemu i czcigodnemu człowiekowi”. O Pasternaku zaś nie ma w tych listach ani jednego słowa! Utwierdza mnie to w podejrzeniu, że autor tylko przekartkował to, co tak ostro krytykuje.

Na zakończenie informacja. Wydawca prac Berlina, p. Henry Hardy, zbiera korespondencję Berlina z myślą o wydaniu jej w całości. Poproszony zostałem przez niego o przysłanie mu kopii wszystkich listów Berlina będących w moim posiadaniu. Biorąc pod uwagę żywe zainteresowanie Berlinem w kręgach liberalnej inteligencji polskiej zastrzegłem sobie prawo do publikacji części tych listów w języku polskim.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Andrzej WALICKI

Woodland Hills Ca. 18 stycznia 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* nr 9, 1995 r. str. 167 – w korespondencji ze Zjazdu Polskiego Instytutu Naukowego, chochlik drukarski spowodował dwa błędy w nazwiskach.

Mianowicie: nagroda im. Kazimierza Funka (a nie Kunka), i dr Roald Hoffmann (a nie Ronald).

Dr Kazimierz Funk (1884-1964) biochemik, odkrywca witamin. Dr Roald Hoffmann urodzony w Polsce w 1937, nazwany przez rodziców imieniem Roalda Amundsena, odkrywcy Południowego Bieguna.

Pozostaję z szacunkiem

Maria WOLSKA WEGNER

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.*

*R.G., Polska* – Przekazaliśmy autorowi *Innego Świata* Pana pochlebne słowa o jego pisarstwie. „Marzę o pisaniu”, powiada Pan w liście, „mam osiemnaście lat”. Cierpliwość i nauka, to nasza jedyna rada. Krótkie opowiadanie *Kaczka* jest bardzo nieporadne.

*A.T.B., Francja* – Jest Pan poetą, drukowaliśmy często Pana wiersze. Niech Pan nim pozostanie, poetyzowana proza usycha pod Pana piórem.

*B.Sz., Francja* – Wiersze Pana francuskiego przyjaciela, w Pana przekładzie na polski, wydają się nam ekstraktem retoryki.

*A.S., Niemcy* – Tyle już razy powtarzał się w naszej poezji motyw „Jaka ma być Polska?”, że mimo woli wywołuje odruch nudy.

*M.P., USA* – W Pani wierszach brak choćby przebłysku poezji.

*Z.I., Anglia* – Dwie wersje Pani wiersza *Z moim rakiem rozmawiam tak są przejmujące, jakkolwiek czuje się w nich także bolesny uśmiech przez łzy. Zastanawiamy się, czy można w ogóle taki wiersz napisać.*

*A.P., USA* – Oba Pana wiersze są bez wartości.

*S.D., Polska* – „Czuły Oświęcim samotności”? Czy zrozumie ten wiersz Różewicz, któremu jest dedykowany?

*Ks. J.S., Polska* – Wybraliśmy do druku wiersz *Siła*.

*A.L., Polska* – Naskrobane przez Pana kurzą łapą wiersze są ledwie czytelne. Więc jak je ocenić?

*R.W., Polska* – Nie zamieścimy. Teksty b. słabe.



*TR.K. Mount Carmel, CA (USA)* – Nie podzielamy Pana rozważań nad losami Polski. Listu nie zamieścimy.

W związku z korespondencjami z Londynu, a zwłaszcza z ostatnią „Ciury” (*Kultura* 1/2, 1996), podpisanymi QUIDNUNC otrzymaliśmy szereg listów z protestami. Głównym zarzutem jest anonimowość autora. Ponieważ QUIDNUNC odpowiada w bieżącym numerze na te zarzuty – uważamy, że jego odpowiedź jest wystarczająca i otrzymanych listów nie zamieścimy. Mamy nadzieję, że QUIDNUNC będzie swoje korespondencje kontynuował. (Redakcja)

W poprzednim numerze *Kultury* zamieściliśmy krótką notę o śmierci ks. Jana Frani, rektora Polskiej Misji Katolickiej w Szwajcarii i o niedobrej atmosferze jaka zapanowała w Misji po jego śmierci, powodując rozdziewki w miejscowej Polonii. Nasza nota miała charakter czysto informacyjny bez zajmowania stanowiska wobec tych rozdziewków. Mimo to otrzymaliśmy kilka obszernych listów z komentarzami i protestami. Listów tych nie zamieścimy, gdyż w tym konflikcie – który ma zresztą charakter czysto lokalny – nie jesteśmy stroną. (Redakcja)

## SPROSTOWANIE

Poznań, 7 stycznia 1996 roku

Szanowny Panie Redaktorze,

Do mojego znacznie okrojonego artykułu o poezji Emmy Andijewskiej, pt. „Poezja wyobraźni”, *Kultura*, grudzień 1995, za sprawą nie próżnującego w komputerze chochlika wkradł się przykry błąd. W oryginale pisałem o skomplikowanych doświadczeniach pokolenia ukraińskich poetów lat 60, natomiast w tekście pojawiło się wyrażenie „skompromitowane doświadczenia”. Zmiana intencji jest tak znaczna, iż proszę o sprostowanie.

Na marginesie chciałbym zwrócić uwagę PT. Czytelników (jak również Korekty), że osoby występujące w *Kulturze* pod nazwiskami Bogusław Bakuła, Bolesław Bakuła i Bogumił Bakuła (niezradko w jednym tekście) są w istocie tą samą osobą, która stanowczo obsta je przy pierwszej wersji imienia i nazwiska.

Bogusław BAKUŁA

Teodor Müller, Bad Homburg (Niemcy) – po raz 7-my . . . .	F. 160,00
Bronisław Partyka, Fort Orange FL, (USA) – po raz 14-ty – Dol. 31,00 . . . . .	F. 155,00
Eugenia Piórkowska, New York (USA) – po raz 7-my – Dol. 34,00 . . . . .	F. 170,00
Irena i Andrzej Pleszczyński, Santa Barbara CA (USA) – po raz 27-my – Dol. 87,00 . . . . .	F. 445,00
Tomasz Płodowski, Montclair NJ (USA) – po raz 28-my – Dol. 38,00 . . . . .	F. 190,00
Inż. arch. Zdzisław Pręgowski, Winterthur (Szwajcaria) – ku pamięci drogiej Małżonki Vereny Heleny Witzig-Pręgow- skiej, zmarłej 28 listopada 1995, matki Janusza, Ewy i Krystyny – F. szw. 300,00 . . . . .	F. 1.257,86
Władysław Raczyński, Puybonnet, Charante (Francja) – zamiast kwiatów na grób Tadeusza Rzewuskiego, Przyja- ciela wielu ludzi i niezmordowanego działacza na rzecz wolnej i lepszej Polski – po raz 2-gi . . . . .	F. 1.000,00
Stefan Rose, Paryż – po raz 17-ty . . . . .	F. 1.400,00
Lila Semkow, Frankfurt/M (Niemcy) – dla uczczenia pamięci niezapomnianej Przyjaciółki Marii Topperman, w pierw- szą rocznicę jej śmierci – DM 100,00 . . . . .	F. 340,00
Michał Sieńko, South River NJ (USA) – po raz 20-ty – Dol. 10,00 . . . . .	F. 50,00
Dr Władysław W. Socha, Upper Grandview NY (USA) – po raz 19-ty – Dol. 34,00 . . . . .	F. 170,00
Jan Stefańczyk, Nicea (Francja) . . . . .	F. 400,00
Maria Strelcyn z rodziną, Manchester (Wielka Brytania) – dla uczczenia pamięci naszego Przyjaciela Jana Halperna w 3-cią rocznicę Jego śmierci . . . . .	F. 100,00
Sławomir Szwarc, New Britain, CT (USA) – Dol. 20,00 . . .	F. 100,00
Hanna Kamler i Maciej Szymański, Beaconsfield, Quebec (Kanada) – zamiast kwiatów na grób Jerzego Dobrzań- skiego, zmarłego 28 października 1995 w Toronto – Dol. can. 50,00 . . . . .	F. 175,00
W czwartą rocznicę śmierci Juliana Brysza – Wanda i Irena (Szwajcaria) . . . . .	F. 500,00
Henryk Zegadło, Soller Mallorca Baleary (Hiszpania) – po raz 6-ty – DM 15,00 . . . . .	F. 50,00
Tadeusz Żaba, Ennetbaden (Szwajcaria) – po raz 5-ty . . . .	F. 400,00
Adela i Władysław Żeleński, Paryż – zamiast kwiatów na grób zmarłego w Londynie 22 stycznia 1996 Ludwika Łubień- skiego, wiernego i serdecznego Przyjaciela . . . . .	F. 500,00
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) – na Fundusz Katedry Polskiej w Jerozolimie £ stg 20,00 . . . . .	F. 154,00

DZIĘKUJEMY

Ogłaszając w grudniowej (1995 r.) *Kulturze* wpłatę na FUNDUSZ «KULTURY», którą złożył p. Krzysztof Feliks PYTEL z Malmö (Szwecja), opuściliśmy nazwisko jego matki – Józefy PYTEL.

PRZEPRASZAMY

## KSIĄŻKI

Bogumiła Berdychowska:	<i>Historia Ukrainy w dwóch wariantach</i> . . . . .	137
Leszek Szaruga:	<i>Życie na pograniczu</i> . . . . .	144
M. Broński:	<i>Bezpośredniość</i> . . . . .	149
Grażyna Pomian:	<i>DO czy OD demokracji</i> . . . . .	152
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> . . . . .	155
—	<i>Wydarzenia miesiąca i kronika kanadyjska</i> . . . . .	156
A. Albrecht, K. Chylińska, P. Dobrowolski, K. Józwicki, K. Karnkowski, K.J. Krótki, T. Mianowicz, K. Orłowska, A. Szarf, A. Walski, M. Wolska Wegner:	<i>Listy do Redakcji</i> . . . . .	162
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> . . . . .	173
B. Bakuła:	<i>Sprostowanie</i> . . . . .	174

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1<sup>ère</sup> trimestre 1996.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

## KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04

Fax: (33-1) 39-62-57-52

## PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-rocznia    roczna

## Ceny na rok 1996

<b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>ARGENTYNA:</b> « <i>Libreria Polaca</i> », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRALIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRIA:</b> <i>Księgarnia Polska</i> , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BELGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BRAZYLIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>DANIA:</b> O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>HOLANDIA:</b> <i>Barbara Malak-Minkiewicz</i> , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 . . . . .	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
<b>IZRAEL:</b> <i>Księgarnia Polska</i> , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>KANADA:</b> <i>Krystyna Krakowska</i> , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; <i>Baltazar Krasuski</i> , 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; <i>Księgarnia Polska w Ottawie</i> , <i>Andrzej Lifsches</i> , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; <i>Z. Micherdziński</i> , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115 . . . . .	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
<b>NIEMCY:</b> <i>Kubon &amp; Sagner</i> , Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; <i>Księgarnia Wawel</i> , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60 . . . . .	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
<b>NORWEGIA:</b> <i>Zb. Tyszko</i> , Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>SZWAJCARIA:</b> <i>Krystyna Wasung</i> , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84 . . . . .	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
<b>SZWECJA:</b> <i>Wojciech Luterek</i> , Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. <b>PG-KONTO 614 87 10-4</b> . . . . .	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
<b>U.S.A.:</b> <i>Ada Dziewanowska</i> , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; <i>St. Kwiatkowski</i> , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; <i>Halina Kościuch</i> , 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; <i>POLONIA Bookstore</i> , 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; <i>Księgarnia Ludowa</i> , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; <i>Szwede Slavic Books</i> , 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; <i>Księgarnia «Nowego Dziennika»</i> , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386 . . . . .	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
<b>WIELKA BRYTANIA:</b> <i>Orbis Books (London) Ltd.</i> , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>WŁOCHY:</b> <i>Elżbieta Zahorska</i> , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58 . . . . .	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

**MOJE STRONY ŚWIATA**

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 491 – ZESZYTY HISTORYCZNE

**ZESZYT STO CZTERNASTY**

zawiera opracowania: A. Paczkowski: *Aparat Bezpieczeństwa w latach odwilży: casus polski*; G. Mazur: *Agonia Armii Krajowej 1944-1945*; K. Tarka: *Spór o Wilno. Ze stosunków polskolitewskich w latach drugiej wojny światowej*; E. Kossoy: *Ziarno i plewy*; A. Misiuk: *Sojusze wywiadowcze II Rzeczypospolitej w latach 1918-1939*; J. Szymański: *Wojenne losy inteligencji polskiej; Zjednoczona Organizacja Partyzancka w Wilnie (Z.P.O.)*; C. Mondral: *... złęgo początki*; M. Rudzki: *Winiетки okupacyjne*; M. Pruszyński: *Bohdan Skaradziński o wojnie 1920*; A. Łodyński: *Kronika Konina*; J.K. Machniewicz: *Dokument z leitmotiwem*; P. Daszkiewicz: *Opowiadania Koństantego Jelskiego*; **OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240

Cena F. 90,00